

**Knut Hamsun**

**Na zarośniętych ścieżkach**

*Pa gjengrodde stier*

## Wstęp

Oddajemy do rąk Czytelników książkę szczególną. *Na zarośniętych ścieżkach* to ostatni utwór wielkiego norweskiego pisarza Knuta Hamsuna, laureata Nagrody Nobla, książka, która stała się duchowym testamentem twórcy. Powstawała ona w okresie od maja 1945 do czerwca 1948 roku. W tym czasie Knut Hamsun był internowany, początkowo w szpitalu, a później w domu starców. Kilka miesięcy na przełomie lat 1945 i 1946 spędził w Klinice Psychiatrycznej w Oslo.

Knut Hamsun został bowiem po zakończeniu wojny oskarżony o sprzyjanie faszyzmowi oraz kolaborację z Niemcami i wytoczono mu proces za zdradę kraju. Pisarz miał wtedy 85 lat i prawie nie słyszał. Władze nie zdecydowały się zamknąć tak sędziwego starca w więzieniu, ponadto Hamsun był człowiekiem zbyt znanym. Do wybuchu drugiej wojny światowej był wielkim, niekwestionowanym autorytetem moralnym Norwegów, zbyt wiele także znaczył w świecie, by jego stosunek do faszyzmu mógł pozostać nie osądzony, a „sprawa” Hamsuna otwarta.

Nic jednak nie było proste ani oczywiste. Zarzucano pisarzowi zdradę kraju, oskarżano go, że poparł nazizm, był bowiem zwolennikiem teorii pangermanistycznej i nowego, germańskiego ładu w Europie, że nie potępił Niemców za to, co robili w Norwegii i innych krajach okupowanych. I tak w istocie było. Hamsun pisał artykuły popierające nowy niemiecki ład, ale czy za samo pisanie karze się w demokratycznym kraju więzieniem? Oskarżano go, że był członkiem quislingowskiego Nasjonal Samling, partii faszystowskiej. On sam temu zaprzeczał, a prokurator nie znajdował dostatecznych dowodów. W tej sytuacji zrodził się ów niesłychany pomysł, by sędziwego pisarza poddać badaniom psychiatrycznym dla sprawdzenia, czy jego postępowanie nie było wynikiem jakiegoś defektu osobowości. Cztery miesiące upokorzeń i udręki, które omal nie doprowadziły do psychicznego załamania, i w rezultacie tego wydano opinię, że Knut

Hamsun nie jest ani nie był psychicznie chory, ale że jego „siły psychiczne wciąż słabną”.

Nic się nie wyjaśniło, pisarz wrócił do domu starców, gdzie pozostawał pod nadzorem i czekał, zaś władze działały na zwłokę. Termin rozprawy wielokrotnie odraczano, pewnie w nadziei, że sprawa rozwiąże się sama. Hamsun natomiast bardzo tego procesu chciał. Od początku powtarzał, że gotów jest ponieść odpowiedzialność za wszystkie swoje czyny. Chciał procesu, żeby móc publicznie przedstawić swoje stanowisko, wyjaśnić swoje motywy i swój punkt widzenia. Doszło do tego dopiero w grudniu 1947 roku. Sąd rejonowy w Grimstad uznał Knuta Hamsuna winnym i na podstawie ustawy o zdradzie kraju skazał na grzywnę, której wysokość była dla pisarza rujnująca. W czerwcu 1948 roku Sąd Najwyższy zatwierdził wyrok sądu pierwszej instancji i tym samym sprawa została oficjalnie zamknięta.

Ale przypadek Hamsuna był dla Norwegów problemem zbyt bolesnym, by mógł go rozstrzygnąć sąd. Pytania i wątpliwości pozostały i powracają do dzisiaj.

Utrata niepodległości była katastrofą, z którą większość narodu norweskiego nie pogodziła się ani na moment. Ruch oporu działał praktycznie od pierwszych dni okupacji, objął naprawdę ogromne rzesze ludzi, zapisał piękne karty bezprzykładnego bohaterstwa, poniósł liczne i bolesne ofiary. W tej sytuacji fakt, że w kraju powstał rząd kolaboracyjny i że pewna – nieliczna, ale jednak – grupa Norwegów przeszła na stronę okupanta, odbierano jako hańbę, której wybaczyć nie można i nie wolno. Jak to się mogło stać? – pytano. Co sprawia, że w chwilach narodowej próby niektórzy opowiadają się po stronie wroga? Co innego zresztą tak zwani zwyczajni ludzie, mniej świadomi, bardziej podatni na wpływy, ulegli wobec siły, p. zarażeni wreszcie, pragnący ratować własną skórę, a co innego ktoś, kto mógł się stać sumieniem narodu.

Jeśli nawet przestępstwo Hamsuna polegało tylko na tym, że pisał artykuły popierające faszyzm – mówili ci, którzy go oskarżali – to i tak wina jego jest ogromna. Był autorytetem moralnym, w najtrudniejszych chwilach on powinien był wskazywać drogę. Nigdy się nie dowiemy, na decyzjach ilu zwykłych ludzi zaważyła właśnie jego postawa.

Zastanawiano się nad tym, nie tylko zresztą w Norwegii, w latach czterdziestych. Wtedy spory były gwałtowne. Dziś namiętności znacznie przygasły, ale sprawa wciąż jest aktualna. Torkild Hansen, duński pisarz, autor wielkiej pracy dokumentalnej *Proces Hamsuna* (1978) powiada, że przypadek Hamsuna jest wyzwaniem także dla współczesności, stanowi bowiem uniwersalny przykład tragicznej zdolności człowieka do popełniania błędów w sytuacjach ostatecznych.

Knut Hamsun był i pozostanie jednym z największych twórców literatury światowej. Jest wciąż wydawany i czytany, a w ostatnich latach obserwuje się nawet swoisty renesans jego twórczości, zarówno w Europie, jak i w innych regionach świata, zwłaszcza w Ameryce. Wciąż wznawiana jest też książka *Na zarośniętych ścieżkach*, o której wybitny norweski pisarz, Sigurd Hoel, powiedział: „Jako przejaw talentu książka ta jest czymś w rodzaju cudu” (cyt. za: Aleksander Rogalski, *Knut Hamsun*, Czytelnik, 1981).

Jest rok 1945 .

26 maja komisarz policji z Arendal przyjechał do Norholm i nałożył 30-dniowy areszt domowy na moją żonę i na mnie. Nie zostałem o tym uprzedzony. Żona oddała mu, na żądanie, moją broń. Potem musiałem jeszcze napisać do komisarza, informując, że mam też dwa duże pistolety z ostatniej olimpiady w Paryżu, i że może je odebrać, kiedy zechce. Przy okazji napisałem, że domowego aresztu nie można chyba rozumieć dosłownie, mam przecież gospodarstwo, pola daleko od domu, trzeba tego doglądać.

W jakiś czas potem przyjechał posterunkowy z Eide i zabrał te dwa pistolety.

\*

14 czerwca zostałem przeniesiony z domu do szpitala w Grimstad, kilka dni wcześniej żonę moją zabrano do kobiecego więzienia w Arendal. Tak więc nie mogę już doglądać gospodarstwa. Pech chciał, że na razie będzie tym wszystkim kierował tylko jeden młody chłopak. Ale nie ma rady.

W szpitalu pewna młoda siostra zapytała mnie, czy chcę się zaraz położyć – w „Aftenposten” napisano mianowicie, że „załamalem się i wymagam opieki”. Dzięki ci, dziecko, ale nie jestem chory, odparłem, nie ma w szpitalu zdrowszego człowieka ode mnie, jestem tylko głuchy! Przyjęła to zapewne jako przechwałki, ale nie chciała wdawać się ze mną w rozmowę. Nie, rozmawiać ze mną stanowczo nie chciała i tak samo zachowywały się wszystkie siostry podczas całego mojego pobytu w szpitalu. Jedyne wyjątek stanowiła przełożona pielęgniarek, siostra Maria.

\*

Kręcę się po terenie szpitala. Starszy budynek na wzniesieniu i

poniżej nowszy – właściwe pomieszczenia szpitalne. Ja mieszkam na wzgórzu i, jako pacjent, jestem w tym budynku sam, na piętrze mieszkają trzy młode siostry, poza tym nikogo.

Chodzę i oglądam. Wszędzie tutaj dużo starych dębów, ale wiele z nich padło dawno temu, a z pni wyrastają dzikie zagajniki, do niczego nieprzydatne. Ku zachodowi rozciąga się widok na kilka małych zagród.

Policjant, który mnie tu przywiózł powiedział, że nie powinienem „oddalać się od tego pomieszczenia”. Pewnie znowu nie trzeba tego rozumieć dosłownie, ale chciałbym być posłusznym aresztantem, toteż nie odważyłem się nigdy odejść dalej niż na rzut kamieniem. Jakie to zresztą dziwne, ja, który nigdy, w żadnym kraju nie miałem do czynienia z policją, choć tyle się włóczyłem po świecie, tak, tak, bo przecież dotknąłem własną stopą czterech kontynentów, teraz, w tak podeszłym wieku zostałem aresztowany. No, ale skoro miało się tak stać, musiało się przecież stać, zanim umrę.

\*

Dzień mija za dniem. Trzy młode siostry, właściwie uczennice, na zmianę przynoszą mi na górę jedzenie, stawiają na stole, natychmiast odwracają się na pięcie i znikają. – Bardzo dziękuję! – wołam za nimi. Czuję się trochę osamotniony, ale przecież nawykłem do samotności, w domu też ze mną nie rozmawiali, bo jestem głuchy i męczący. Po jedzeniu wynoszę tacę z pustymi naczyniami na korytarz, skąd mogą ją zabrać.

I znowu mogę albo wyjść na dwór, albo układać pasjansa. Nie wziąłem niczego do czytania, a moje gazety do szpitala nie dochodzą. Po kilku dniach zapytałem jedną z młodych dziewcząt:

– Widziałem listonosza, nie było dla mnie żadnych gazet?

Ku mojej wielkiej radości odpowiedziała. Mówiła przy tym głośno i wyraźnie:

– Panu nie wolno czytać gazet!

– Coś takiego! A kto to powiedział?

– Komisarz policji z Arendal.

– Ach tak. Bardzo dziękuję.

Siostra przełożona znalazła jednak na to radę i pozwoliła mi poszperać w szafie, w której trzymają stare książki i roczniki czasopism. Są to rzeczy podarowane szpitalowi przez życzliwych ludzi, podręczniki szkolne, pisemka dla dzieci i młodzieży, zbiory felietonów prasowych, *Dla Biednych i Bogatych*, *Santalowie*, *Ewangeliści*, a pośrodku tego wszystkiego skarb: książka napisana przez Topsøe.

Postanawiam czytać powoli, żeby mi na długo starczyło, szczególnie dużo obiecuję sobie po kilku tomach felietonów z „Morgenbladet”. Widzę, że należały do biblioteki Smitha Petersena. Ów Smith Petersen mieszkał kiedyś w Grimstad i był to wielki pan.

Wbrew postanowieniu, by racjonować lekturę, rzuciłem się łapczywie na książkę Topsøe i pochłonałem ją jednym tchem. Topsøe, o którym Brandes nie chciał pisać. A teraz obaj nie żyją.

\*

Przychodzi jakiś policjant, przedstawia mi kilka pytań na piśmie i zapisuje moje odpowiedzi. Nie interesuje mnie to. Zdaje się, że dla władz jest ważne, by wiedzieć, co posiadam – w „Morgenbladet” rozpisywano się mianowicie o moim „wielkim majątku”. Zdałem sprawę z tego, co posiadam.

Potem przez kilka dni panował spokój, jeśli nie liczyć tego, że jeden policjant przyszedł z „postanowieniem o przejęciu zarządu nad majątkiem” i drugi policjant z „decyzją o oficjalnym oskarżeniu”.

- Chciałbym mieć pański piękny rower – mówię do niego.
- Nie chce pan przeczytać decyzji? – mówi on.
- Nie, akurat tego nie, dobry człowieku.

\*

23 czerwca zostałem przewieziony do sędziego śledczego. Przyjął mnie niezwłocznie, łagodnie uśmiechnięty.

- Pan musi mieć chyba więcej pieniędzy, niż pan zeznał, prawda? Na chwilę zaniemówiłem i wpatrywałem się w niego.
- Nigdy nie przywiązywałem wagi do pieniędzy – powiedziałem w

końcu.

– Oczywiście, że nie, ale...

– Mój majątek jest dokładnie taki, jak zeznałem, około 25 tysięcy gotówką, 200 akcji wydawnictwa Gyldendal oraz posiadłość Norholm.

– No tak. A dochody z praw autorskich?

– Owszem, gdyby pan sędzia mógł mi coś o nich dzisiaj powiedzieć, byłbym bardzo wdzięczny. Nie wydaje się to dziwne w mojej obecnej sytuacji.

O, Boże, jakże ja go rozczarowałem. I jak rozczarowałem wszystkich innych, którzy wietrzyli „wielki majątek”. Chociaż mój majątek jest naprawdę duży, nazbyt duży. Nie pragnę zabierać go ze sobą do grobu.

Przesłuchanie było drobiazgowo i niczego nie wyjaśniło. Na wiele pytań sędziego odpowiadałem wymijająco, by niepotrzebnie nie irytować tego życzliwie usposobionego pana. Asesor Stabel jest wprost niesamowity w swojej nienawiści do Niemiec i wierzy jak dziecko w moralne, niewzruszone prawo aliantów do unicestwienia narodu niemieckiego, starcia go z powierzchni ziemi. Chciałbym jeszcze, oprócz, tego co już zostało podane do publicznej wiadomości, wspomnieć o kilku drobnych sprawach z przesłuchań.

Sędzia zapytał, co sądzę o tym nacionalsocjalistycznym towarzystwie, w którym znalazłem się tutaj w Grimstad.

Odparłem, że byli w tym towarzystwie ludzie lepsi ode mnie. Przemilczałem jednak, że istniały tam nie mniej niż cztery odłamy, żeby wspomnieć tylko o tym jednym aspekcie..

Zabrzmiało to tak, że w ogóle byłem za dobry na to, by należeć do nazistowskiej szajki.

– Są wśród nich także sędziowie – powiedziałem.

Tak, niestety. A jak odnosiłem się do budzących przerażenie przestępstw Niemców w Norwegii, które to czyny dopiero teraz wychodzą na światło dzienne?

– Nic o tym nie wiem, ponieważ komisarz policji zabronił mi czytać gazety.

Nic nie wiedziałem o mordach, terrorze, torturach?

Nie. Dotarły do mnie tylko jakieś wzmianki, ale dopiero tuż przed



aresztowaniem.

– Otóż jeden drań nazwiskiem Terboven, który dostawał rozkazy bezpośrednio od Hitlera, dręczył i wyrzynał norweski naród przez pięć lat. Ale, Bogu dzięki, wytrzymaliśmy. Czy uważa pan, że Niemcy to kulturalny naród?

Nie odpowiedziałem nic.

Sędzia powtórzył pytanie.

Patrzyłem na niego, ale nie odpowiadałem.

– Gdybym ja był komisarzem policji, to mógłby pan czytać wszystkie gazety. Pańska sprawa wyznaczona jest na 22 września.

\*

A zatem trzy miesiące.

Czytam, chodzę i układam pasjansy.

By dać jakieś zajęcie nogom na moim ograniczonym, ciasnym kawałku ziemi, wdrapuję się aż na szczyt wzniesienia. Zbocze jest bardzo strome i muszę się tu i tam mocno podpierać zaostrzonym na końcu kijem, żeby nie zjechać w dół. A to jeszcze nie wszystko: tak obrzydliwie kręci mi się w głowie, że najchętniej bym zwymiotował, muszę przystawać i długo przetykam ślinę. Pewnie zbyt późno wziąłem się za wspinaczkę. Odbywam tę wyprawę codziennie od nowa i nabieram coraz większej wprawy, ale kiedy już znajdę się na szczycie, dygoczę na całym ciele.

Na górze jest spora płaszczyna. Siedzę tam i rozglądam się po okolicy – widać kilka wież strażackich, wejście do portu w Grimstad, a kilka mil dalej rozciąga się Skagerrak. Na początku muszę siedzieć spokojnie, nie ośmielam się wstać i zachowywać jak człowiek, mój mózg jednak drga i pracuje. Spoglądam na zegarek – mój Boże, potrzebowałem jedynie paru nędznych minut na całą wspinaczkę, a teraz siedzę na tej swojej górze i puszę się, jakbym czegoś dokonał. Żeby wszystko się dobrze skończyło, muszę teraz pomyśleć, jak zejść w dół po drugiej stronie wzniesienia i przemknąć do szpitala tak, by nikt mnie nie widział.

Udaje mi się, z łatwością schodzę na dół. Okazuje się, że jest tu

droga, ale nie mam odwagi nią pójść, bo mógłbym kogoś spotkać. A kiedy spoglądam na zegarek, widzę, że wciąż minęło niewiele czasu, powinienem po prostu zawrócić i jeszcze raz przeprowić się przez wzniesienie.

Także i tym razem nie było to trudne, choć przy wspinaniu potknąłem się i upadłem na rękę. A strome zbocze w dół do szpitala pokonałem, zjeżdżając na wiązce pokrytych liśćmi gałęzi.

Tak, wszystko to zostało nieźle wymyślone i dobrze wykonane, trudno zaprzeczyć. W późniejszych wyprawach na wzgórze też nie wprowadzałem żadnych zmian. Jedyne czego mógłbym się obawiać, to to, że jakiś policjant będzie mnie szukał w szpitalu akurat podczas mojej nieobecności.

Kiedy jednak po kilku dniach, a nawet tygodniach, zastanawiałem się nad pożytkiem z tych wypraw na wzgórze, nie byłem już taki zadowolony. To chyba nie najbardziej odpowiednia praca dla moich stawów i mięśni, kosztowała mnie zbyt wiele wysiłku, wracałem spocony i zmęczony, a moje ciało nie stawało się przez to ani trochę bardziej elastyczne. Nogi wciąż się przede mną uginają. Do tego buty nie wytrzymały obciążenia, od jakiegoś czasu świecą po prostu dziurami, i z wierzchu, i od spodu. A innych butów nie mam.

Siostra oddziałowa pokazuje się bardzo rzadko. Ma za mało pracowników i musi sama gotować. Ale kiedy raz ją zobaczyłem, powiedziała jakby nigdy nic, że powinienem więcej chodzić po okolicy. Pokazała mi nawet drogę do leżącej dość daleko spalonej willi Smitha Petersena i powiedziała, że powinienem tam pójść.

– Zrobię, jak siostra radzi. Bardzo dziękuję.

To mi bardzo pomagało. Mogłem chodzić szybko lub wolno, jak chciałem. A w jednym z obejść był mały piesek, który czekał na mnie za każdym razem i witał się ze mną radośnie.

Mimo wszystko nie chciałem na stałe rezygnować z wypraw na wzgórze. To ja sam je odkryłem, były tam drzewa i kamienie, które rozpoznawałem, czułem, że otacza mnie tam przyjazny szum, choć przecież jestem głuchy i nie słyszę już szumu drzew.

Siedzę na rozstaju dróg, trzymając w ręce kartkę pocztową do domu w Norholm. Napisałem na tej kartce, żeby spróbowali znaleźć mi jakieś buty i teraz czekam, że może ktoś pójdzie tędy do wsi i zechce zabrać kartkę.

Pierwszym przechodniem jest młody chłopak, w wieku może szesnastu lat o mrocznej, nieprzystępnej twarzy, lecz ja mimo to wstaję, wyciągam kartkę i mówię:

– Czy zechciałby pan być tak dobry i wrzucić tę kartkę do skrzynki?

Chłopiec drgnął, twarz nachmurzyła mu się jeszcze bardziej i zanim zdążyłem dokończyć, słyszę burczenie i widzę, że on idzie dalej, nie zwracając uwagi na moją prośbę.

– Pan pewnie nie idzie do wsi! – wołam za nim, jakbym chciał go wytłumaczyć.

On jednak nie odpowiada. Po prostu idzie.

Skoro tak mi się nie powiodło przy pierwszej próbie, nie mam już odwagi zwrócić się do nikogo innego i wracam do szpitala.

\*

Nie ulega wątpliwości, że ów młody chłopak mnie znał. Dobrze wiedział, że jestem aresztantem i chciał pokazać swój wyniosły stosunek do takiego człowieka, którego nie wiadomo po co ziemia nosi.

Dorobiliśmy się w Norwegii politycznych aresztantów. Do naszych czasów więzień polityczny był dla nas jedynie żądnym przygód bohaterem rosyjskich powieści, nigdyśmy nikogo takiego nie widzieli, samo pojęcie było u nas nieznane. Thrane, Kristian Lofthus, Hans Nielsen Hauge się nie liczą. Ale teraz mamy takiego, który się liczy; mówi się, że występuje w czterdziestu, pięćdziesięciu, sześćdziesięciu tysiącach egzemplarzy. A może dużo, dużo więcej. Całe gromady takich przemierzają norweski kraj.

Trudno, niech będzie, co ma być.

Ludziom więzień polityczny kojarzy się z przestępstwem kryminalnym, może chodzi taki z karabinem maszynowym, należy się

wystrzegać jego noża, zwłaszcza młodzież i dzieci powinny się mieć na baczności. Przekonałem się o tym w ciągu ostatnich tygodni i miesięcy, to była wstrząsająca obserwacja. Co by szkodziło temu młodemu człowiekowi okazać uprzejmość i zabrać moją pocztówkę? Ja się nie użalam, stwierdzam tylko, jak się sprawy mają. Naprawdę nie wiadomo, jak wysłać tę moją kartkę. Rozumiem, że młode siostry chciałyby być wolne, kiedy idą do miasteczka. Listonosz też kartki nie wziął.

Czytam, chodzę i układam pasjansy.

\*

A propos noża. Wpadł mi w ręce jakiś fiński nóż, a ja nie rozumiem skąd się wziął. Bardzo ładny nóż z melchiorowym trzonkiem i w skórzanym futerale. Pytam człowieka, który sprząta dziedziniec, ale to nie jego. Muszę chyba zapytać siostrę przełożoną.

Przyszedł do mnie jakiś pan w szarym letnim garniturze, uklonił się, ale nic nie powiedział. Wychodził pewnie z założenia, że go znam, ale tak nie jest. Potem coś wymamrotał, zdawało mi się jakby mówił, że jest doktorem i wymienił nazwisko. Nie dosłyszałem i musiałem zapytać jeszcze raz. Erichsen? Ale ja znam tylko jednego doktora Erichsena i on podobno został aresztowany, tak słyszałem. Obcy pan zaczął szukać czegoś w portfelu, pewnie swego biletu wizytowego, ale nie znalazł i dał spokój. Staliśmy, jakby nie wiedząc co począć.

– Czy pan czegoś ode mnie chce? – spytałem.

Potrząsnął głową, że nic nie chce, i zrozumiałem, że chciał się tylko ze mną przywitać.

– Bardzo dziękuję. To miło z pańskiej strony. Ja się teraz spotykam przeważnie z policjantami, jestem więźniem, wie pan, zdrajca kraju...

– Jak się panu tu powodzi? – pyta gość.

– Znakomicie.

Wkrótce potem poszedł. Był bardzo uprzejmy, niestety mówił nie dość głośno jak dla mnie.

\*

Szczerze mówiąc, nie brak mi dowodów ludzkiej życzliwości. Jest tu taka droga na skróty, ścieżka w górę, na moje wzniesienie, i wielu chodzi tędy, a nie drogą koto właściwego szpitala. Siadam tam od czasu do czasu, bo można tam trwać w bezmyślnym spokoju, obserwować mrówki i czuć się mądrym. Ludzie przechodzą obok, niektórzy pozdrawiają. Znają powód, dla którego tutaj siedzę, a jednak pozdrawiają.

Pewnego dnia zatrzymuje się przy mnie pewna starsza pani i patrzy. Wstaję i uchylam kapelusza. Pani zaczyna mówić, powiadam, że nie słyszę, lecz ona mówi. Po czym pokazuje na niebo, a ja kiwam głową. Ona raz po raz wskazuje na niebo, jakby tam mogła się znajdować dla mnie jakaś rada, a ja kiwam. Pani zatrzymuje jakąś inną przechodzącą damę, rozmawiają i zgadzają się ze sobą, a kiedy odchodzą podają mi rękę. Sama życzliwość.

A ja, w swojej bezmyślności, nie poprosiłem, by zabrały moją kartkę!

Kręcę głową nad tą gapowatością i za karę wspinam się po najbardziej stromym zboczku. Koniecznie muszę coś zrobić, i to zaraz, bo moje buty są coraz bardziej podarte. Mają już chyba osiem lat, kupiłem je tamtego roku, kiedy byłem w Serbii.

Znalazłem się po drugiej stronie wzniesienia i szedłem dalej, dopóki nie zobaczyłem kościelnej wieży. Byłem teraz, rzecz jasna, na zakazanym terenie, ale jeśli podkradnę się dostatecznie daleko – jeszcze tylko mały kawałek – to mógłbym wyregulować zegarek według zegara na kościelnej wieży. Poza tym właściwie przyszedłem tutaj po to, żeby się rozejrzeć za skrzynką pocztową.

Z prawej strony miałem zupełnie wymarłą ulicę. Skierowałem się w dół tej ulicy, ale obleciał mnie strach, stąpałem więc na palcach. Na końcu drogi zobaczyłem sklep żelazny Grefstada, a przy drzwiach skrzynkę na listy.

Czy mogę być taki bezczelny? To już tylko parę kroków. Rozglądam się ukradkiem, ale nigdzie ani śladu człowieka. W następnej chwili przecinam ulicę niczym pocisk, wciskam moją kartkę do skrzynki i znowu jak pocisk z powrotem, po czym ruszam spokojnie przed siebie.

Nie zaszedłem daleko pod górę, gdy czuję na karku czyjś oddech. Policjant. Taki stałem się ostatnio nierozsądny i przewrażliwiony, że drgnąłem gwałtownie.

– Chciałbym tylko powiedzieć, że zegar na wieży spóźnia się dwadzieścia minut – mówię mu.

– Ma pan zegarek?

On wyjmuję z kieszonki zegarek i porównujemy.

– To panu jednak nie pomoże – powiada policjant. – Nie wolno panu chodzić po ulicach. Co też panu przyszło do głowy?

Staram się wytłumaczyć wszystko, że to tylko kartka pocztowa, parę słów. Proszę spojrzeć, niech no pan popatrzy na moje buty.

– Mówimy o dwóch różnych sprawach – powiada policjant.

– Niestety, chyba tak – przyznaję. – Proszę mi wybaczyć. Czy to zresztą nie pan przywiózł mnie wtedy do szpitala?

– Nie – odpowiada krótko. – Zresztą wszystko jedno, kto to zrobił.

– Oczywiście. Ale chodzi o to, że koniecznie musiałem wysłać tę kartkę, dlatego przyszedłem tu w poszukiwaniu skrzynki.

– Proszę posłuchać – powiada policjant. – Polecono panu nie opuszczać szpitala, więc ja nie chcę pana więcej widzieć w mieście. Rozumie pan?

– Tak – odpowiadam. – I myślę właśnie, że miałem pecha. Powinienem być przecież chwilę zaczekać, to mógłbym panu dać moją kartkę, pan by ją wrzucił do skrzynki i wszystko byłoby w porządku.

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym mówi:

– Tym razem nie sporządzą raportu, ale proszę zniknąć stąd natychmiast. Marsz!

\*

Jakie wspaniałe felietony drukowano dawnymi czasy w „Morgenbladet”. Nie wiem, jak to jest teraz, ale w czasach Smitha Petersena była to literatura wybierana z wielkim wyczuciem, i nie mógłbym dzisiaj życzyć sobie lepszej lektury. Tyle tylko, że starcza mi jej na bardzo krótko, choć felietony zajmują setki stron. Gdzieś na ziemi mam dom pełen książek i mógłbym je tu zaraz sprowadzić, całą

ciężarówkę, ale moje pieniądze zostały przecież obłożone aresztem, podobnie jak ja, proszę o tym pamiętać. Nie złości mnie to, uśmiecham się i nie protestuję. Jakaś miła pani z Jawy przysłała mi – przez Holandię – całą skrzynkę cygar, ona i jej mąż czytali kilka moich książek, pisze, uprzejme pozdrowienia i podziękowania. Że też chciało jej się robić coś takiego, dla obcego i tak daleko, niech jej to będzie wynagrodzone! Ludzie faworyzują starców. Pewnego dnia jednak wypalę ostatnie cygaro i co wtedy? Wtedy przestanę palić, przestanę. Robiłem to już przedtem trzy razy, zawsze na rok, dokładnie. Chcę być na tyle panem siebie, że mogę przestać palić. W porządku. Ale potem zaczynam znowu, więc po co to wszystko? Chcę być na tyle panem siebie, by znowu zacząć.

I teraz w żadnym razie nie zamierzam z tego rezygnować.

\*

W powszednie dni dzieje się tu niewiele. Jakiś stary człowiek wchodzi na wzgórze, ciągnąc za sobą na prostym wózku trumnę, a jego stara żona idzie z tyłu i podtrzymuje. Już po raz drugi za mojej bytności ta para idzie tutaj z trumną, w nocy ktoś umarł w szpitalu na dole i zwłoki zostały przeniesione do budynku na wzgórzu, zanim zostaną złożone w ziemi. Cicho i spokojnie, nic specjalnego. Stary rozwiązuje linę, idzie tam, gdzie ma być głowa i ciągnie, żona znowu podtrzymuje. I trumna zsuwa się gładko na ziemię.

– To chyba nie pan zostawił tutaj fiński nóż? – pytam.

– Nóż? – stary powtarza chyba moje pytanie, bo widzę, że obmacuje kieszenie, a potem potrzęsa głową.

Płynie wartki potok słów, stary chce wiedzieć coś więcej o nożu, gdzie był, jak wygląda? Ruszam w swoją stronę, jakbym sobie właśnie przypomniał, że coś ważnego czeka na mnie w pokoju.

I tak też jest. W rzeczywistości nie jestem wolny, muszę, jak wszyscy ludzie w tych czasach, każdego dnia cerować skarpetki i łątać sweter na łokciach. Do tego dochodzi mnóstwo drobnych czynności, o których nie chcę wspominać: muszę ścielić łóżko, wypalić poranne cygaro, zabijać muchy. Powinienem umocować nogę od krzesła, która

stale wypada i powinienem wbić gwóźdź w ścianę, bym miał na czym wieszać kapelusz, znalazłem nawet w tym celu spory kamień. W końcu powinienem też chyba odpowiedzieć na pewien list, który dostałem w ubiegłym miesiącu, ale kiepski ze mnie pisarz i odkładam go, niech czeka.

Wszystko powinno być zrobione.

O otoczeniu szpitala mam mniej do powiedzenia. Na dziedzińcu jest tylko goła ziemia, bez klombów z kwiatami. Pogoda ostra, wiatr niemal zawsze chłodny; ale jest blisko do drzew i do lasu pełnego ptaków i rozmaitych robaczek na ziemi. O, świat jest piękny także i tutaj i powinniśmy być wdzięczni, że dane nam jest żyć na nim. Wszędzie tu wielkie bogactwo barw, nawet wśród kamieni i wrzosów, a w paprotnikach widzi się nie spotykane gdzie indziej okazy, jeszcze czuję na języku smak korzenia paproci, który rozgryzłem.

Jakiś owad przelatuje nad wzgórzem i ożywia je na chwilę. W dole stoją dwie krowy uwiązane na powrozach, przykro na nie patrzeć; widzę, że ryczą i niecierpliwia się, bo nie zostały przeprowadzone i nie dano im wody.

Kiedy nadchodzi pora, dostaję jedzenie. Jedna z tych trzech młodych siostr stawia tacę na moim stole, odwraca się na pięcie i odchodzi.

– Bardzo dziękuję! – wołam za nią.

Nie, żadna z trzech pielęgniarek nie zmienia taktyki. To musi być chyba trudno wejść na górę i nie rozlać zupy czy kawy. Nie wiem. Ale na tacy wszystko pływa. I dobrze mi tak, zasłużyłem sobie. Na początku, kiedy mnie tu przywieziono, próbowałem im wytłumaczyć, że nikogo nie zamordowałem, niczego nie ukradłem, ani nie podpaliłem domu, lecz nie robiło to na nich wrażenia, nudziło je. Teraz już niczego nie tłumaczę, bo nie ma o co robić hałasu. Zupa oddzielnie, kawa oddzielnie, tak też jest dobrze. Ale czasem wyławiam z tacy list. Został otwarty i potem znowu zaklejony, policja przysłała go w takim stanie. Albo wycinek ze szwedzkiej gazety. Albo jakaś duńska aktorka przesyła mi pozdrowienia. Kiedy wyłowię list z tacy, suszę go na słońcu. Dobrze jest i tak. Szkoda tylko tych trzech siostr, młode i ładne wszystkie trzy, a tak źle wychowane.



\*

Tu następuje opowieść o spalonej willi Smith Petersena. Mogłaby ona być celem wycieczek, miejscem do oglądania.

Najpierw dochodzę do drewnianego mostku bez poręczy, a raczej kładki, po chwili nieoczekiwanie staję przy kilku ogromnych akacjach, chyba stuletnich, pełnych godności, pięć czy sześć sztuk, nie więcej, pozostałe pewnie dawno padły. Wspinam się po kamienistej, zaniedbanej drodze i dochodzę do ruin.

Willa była z drewna, resztki ścian wskazują na zwyczajny wiejski dom z nadbudówkami i przybudówkami, dostawianymi w miarę potrzeb. Nie mogę się zorientować, czy to było coś większego, przypuszczam jednak, że wewnątrz musiała być widoczna zamożność, wygody i komfort, luksus i przepych. Musiały się tu odbywać uroczystości, przeżywano podniosłe chwile i upojne noce, które wciąż jeszcze trwają w legendzie. Żyła tu dynastia Smith Petersenów, niektórzy jej członkowie pisali się z myślnikiem, inni bez. Jeden Smith Petersen z Grimstad był konsulem; wciąż jeszcze mówi się o nabrzeżu Smith Petersena, ale ja nie wiem nic o nikim z tej rodziny, kiedyś tylko dostałem list od jednego Smith Petersena, napisany żałośnie nieczytelnym pismem. Czy to nie on był francuskim konsulem? Jeździł pewnie w dwa konie ze stangretem w liberii ze złotymi guzikami, a to znaczyło dużo w jego czasach, teraz miałyby ze dwie limuzyny i musiałyby wybudować porządną drogę do rezydencji.

Nie to jednak próbuję zgłębić, zastanawiam się nad czym innym, nad tym mianowicie jak niewiele rzeczy pozostaje na dłużej. Że nawet dynastie giną. Nawet wielcy pewnego dnia padają. To nie pesymizm skłania mnie do tej zadumy, lecz świadomość, jakie wszystko jest niestałe, jakie dynamiczne jest życie. Wszystko jest w ruchu, pełne energii, wznosi się i opada, rozplywa na różne strony, rozkwita na moment i umiera. W *Havamal*, jednej ze starych pieśni nordyckich wyrażona jest wiara w nienaruszoną trwałość pośmiertnej pamięci. Na Madagaskarze natomiast znane jest powiedzenie: Tesaka nie lubi rzeczy długotrwałych!

Och, wy, gdaczące kury z Madagaskaru, dane jest wam to, co lubicie!

My, ludzie, nie jesteśmy tacy mądrzy, my nie chcemy porzucić iluzji, że przetrwamy dłużej. Stając twarzą w twarz z Bogiem i z własnym losem, próbujemy jeszcze dopraszać się pamięci i nieśmiertelności, popisujemy się własną głupotą, idziemy na dno bez stylu i godności.

Przypomina mi się pewien rysunek Engströma sprzed pięćdziesięciu lat: bardzo stare małżeństwo siedzi na ławeczce w ogrodzie i drzemie. Jest jesień. On ma długie wąsy, ręce wsparł na lasce. Toczy się cichutka rozmowa:

- Pamiętam pewną dziewczynę, która miała na imię Emilia.
- Mój drogi, to przecież byłam ja.
- Coś takiego, to byłeś ty?

Bjørnson miał świadomość własnej nietrwałości: czas wszystko zabiera! Co w takim razie my, pozostali, moglibyśmy powiedzieć? Jeśli o mnie chodzi, to siedzę i notuję, zapisuję jakieś drobne uwagi o spalonej drewnianej willi i rozmyślam nad przemijaniem. Dalej, koło sąsiedniej zagrody, mały piesek biega tam i z powrotem, widzę, że ujada na mnie, ale to mi nie przeszkadza. W mojej duszy panuje spokój, moje uczucia są czyste, a sumienie wolne. Dostaję listy z zapewnieniami, że będę czytany po wsze czasy, nawet uczestnicy ruchu oporu ślą mi miłe słowa. Niech będzie, jak chce. Ale przecież tak niewiele rzeczy trwa dłużej, czas je zabiera, czas zabiera wszystko i wszystkich. Tracę po trochu nazwisko w świecie, wizerunek, popiersie, nie będzie już dla mnie posągu.

Ale jest coś znacznie gorszego, nawet trudno o tym mówić. Myślałem zawsze, że nieźle potrafię porozumieć się z dziećmi. Przychodziły przecież do mnie ze swymi książeczkami, prosiły, żebym im wpisał swoje nazwisko, kłaniały się i dziękowały, i cieszyliśmy się wspólnie. Teraz mojego nazwiska używa się do straszenia dzieci.

Niech będzie, jak chce, także i z tym. Za sto lat, a może wcześniej, nazwiska dzieci, tak jak i moje, przeminą, zostaną zapomniane.

Nie mogę pojąć, co to był za człowiek, ten który kupił książkę Topsøe i wziął ją ze sobą do szpitala. Zgłębiałem to przez kilka dni. A teraz, kiedy przyszedłem, żeby znowu wziąć książkę, zniknęła.

Zniknęła.

Kto ją zabrał? Na nic się zda pytanie, i tak mi nie odpowiedzą, co najwyżej usłyszę: „Nie wiem!” Powinienem był dokładnie zbadać książkę, kartka po kartce, poszukać jakiegoś znaku, przykro mi, że zaraz tego nie zrobiłem, a teraz jest za późno. To był bardzo ładny, nie używany egzemplarz, równie dobrze książka mogła zostać kupiona przed pięćdziesięciu, a nawet przed stu laty, wszelkie daty gdzieś się zapodziały, nie mam się na czym oprzeć.

Kiedyś, w młodości, spotkałem rodzinę Topsøe, ale tylko panią z trojgiem dorastających dzieci, sam Topsøe już nie żył. Piękna i sympatyczna rodzina o szerokich zainteresowaniach, jedna córka grała na skrzypcach, druga studiowała zdaje się sztukę, nie pamiętam już.

Ale ów pacjent, który pewnego dnia przyszedł do szpitala w Grimstad z jedną z książek Topsøe w ręce, kim on był? W mojej beczynności i rozleniwieniu gram przed samym sobą małą komedię, udając że to dla mnie ważne, żeby wyjaśnić tę tajemnicę. W rzeczywistości wcale mnie to nie interesuje. Toteż powiedziałem sobie wprost: To są głupstwa, którymi się zajmujesz, to gorsze niż krzyżówka czy pasjans i nie myśl, że ja o tym nie wiem!

Skoro tak, to zabieram się do prania, chcę uprać kilka rzeczy, zrobić coś pożytecznego. Nie ma ciepłej wody, ale na szczęście wziąłem ze sobą mydło, poradzę sobie, znam tę sztukę z młodych lat spędzonych na prerii, gdzie też nie było ciepłej wody.

Nieoczekiwanie ktoś puka do drzwi. Jestem niekompletnie ubrany, ale mówię: „proszę”. To jakaś dama, młoda dziewczyna. A niech to! Dyszę ciężko. Bo stoję przed nią z nagim tarsem i nawet nie zdążyłem włożyć zębów.

Ona porusza wargami. Jest tak onieśmielona, że aż zbladła.

– Ja nie słyszę, panienko.

Pisze zatem na kartce: „Przepraszam, że zabrałam Panu tę książkę”.

– Jaką książkę? Topsøe? Ona nie jest moja.

„Wzięłam ją wczoraj z Pańskiego stolika”.

– Ach, tak. Znalazłem ją w szafie na korytarzu. To duńska książka.

„To niezwykle! – napisała. – Nie wiedziałam, że był jeszcze jakiś jeden Topsøe”.

Tymczasem ja zdążyłem się trochę oporządzić.

Pani pisze: „Koniecznie musi mi Pan wybaczyć! Pukałam wielokrotnie do drzwi, także wczoraj, naprawdę pukałam. W końcu weszłam”.

Ja w zakłopotaniu powiadam:

– Myślałem, że pani jest Dunką.

Ona potrząsa głową i pisze swoje nazwisko.

Później opowiedziała, że mieszka w małej letniskowej miejscowości nad morzem. Matka i ona. Przyjeżdżają tu każdego roku. Mają letni domek na wyspie. Niestety, teraz muszą już wyjeżdżać.

– Dlaczego chodzi pani z przyborami do pisania? Robi pani notatki przy czytaniu?

Rumieni się i pisze: „Wiedziałam, że pan jest głuchy”.

– Zechciałaby pani usiąść?

Pisze i pisze, ma piękne ręce, ładne paznokcie, na lewej dłoni dwa pierścionki. Nie ma makijażu, jest młoda i naturalna, chciałem powiedzieć: niewinna.

Zaczynam rozmawiać:

– Śmiać mi się chce, kiedy sobie przypomnę, w jakim stanie mnie pani zastała. Co też sobie pani musiała pomyśleć! Widzi pani, muszę czasem coś przeprać, mógłbym oczywiście posyłać do domu, ale na to trzeba czasu. Dopiero dzisiaj dostałem z domu parę butów, o które bardzo się starałem.

„Jaki Pan biedny!”

– Nie, nie, śmieję się z tego. To przejściowa sytuacja.

„To typowe dla Pana! Czasami śmiejemy się w domu wszyscy, kiedy czytamy coś zabawnego w pańskich książkach. Ale czasami...”

– Dużo państwa jest w domu?

„Mam jeszcze siostrę, ale ona jest mężatką i ma własny dom. Tak, że tylko ojciec, mama i ja”.

– Ojciec nie spędzał z paniami lata na wyspie?

„Nie. W tym roku nie. Został aresztowany”.

Pauza.

– To miło, że mnie pani odwiedziła.

„Nie. Dobrze wiemy, że Pan nie życzy sobie wizyt. Ale teraz już wyjeżdżamy, więc zostałam wysłana. Przez całą rodzinę”. – Ha, ha – zaśmiała się.

– Owszem, to miło z pani strony. Prawda, nie chcę nikogo widywać, ale to się tylko tak mówi. Widzi pani, ja jestem głuchy i nikt nie ma cierpliwości ze mną rozmawiać, tak że w końcu zapomniałem, jak się rozmawia.

„Zastanawiam się, czy Pan jest tak zupełnie głuchy. Mogłabym sprawdzić?”

Mówiła wolno, niskim głosem wprost do mojego lewego ucha, powiedziała coś obojętnego, potem spojrzała na mnie pytająco.

– Owszem – powiadam i kiwam głową.

– Naprawdę pan słyszał?

– Każde słowo, tak myślę. Skąd pani wiedziała, że na lewe ucho słyszę lepiej?

– Ponieważ pochyła się pan w lewo słuchając. Zauważyłam to.

Rozmawialiśmy i ona już nie pisała. Pochwaliłem, że jest taką bystrą obserwatorką, a ona powiedziała, że zaczęła pracować jako pielęgniarka. Dziękowałem jej, że przyszła, błogosławiłem ją za to.

– Opowiem o tym w domu! – zapewniła.

Szukała czegoś w torebce, znalazła i podała mi.

– Od mamy – wyjaśniła. – To jest włóczka do cerowania. Widziałam tu wczoraj skarpetkę, którą zaczął pan cerować... leżała na łóżku... z igłą.

– Ach tak?

– Tak. Ale proszę nie brać mi tego za złe. Nie mam zwyczaju zaglądać wszędzie w ten sposób i szperać...

– Ależ, drogie dziecko.

– Ja nigdy tak nie postępuję. Ale zobaczyłam wczoraj, że ceruje pan wełnianą skarpetkę lnianą nitką.

– No tak, tego nie potrafię.

– Ale pan pewnie nie ma, mama myślała, że pan nie ma wełnianej włóczki.

– Owszem mam, tylko zapomniałem o niej. Mam mnóstwo.

– Gdzie? Przecież nie mógł pan teraz kupić.

O, niebezpieczna mała, przyparła mnie do muru i musiałem powiedzieć:

– Zechce pani podziękować mamie ode mnie, ale to zbyt uprzejme z jej strony. Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego, wełniana włóczka w tych czasach!

Tak więc rozmawialiśmy ze sobą i szło nam bardzo dobrze. Choć wymagało to ofiary z jej strony, bo musiała być bardzo blisko mnie.

Mówiła, jak bardzo się cieszy, że mnie dzisiaj spotkała, bo jutro muszą jechać. Ja mówiłem, że bardzo jej dziękuję za to, że przyszła i jak bardzo mi smutno, że wyjeżdża.

– Naprawdę? – spytała. – O tym też opowiem w domu!

Kiedy poszła, siedziałem długo i myślałem. Błogosławione spotkanie dla mnie. Dzwoniąca cisza po niej. I oto książka Topsøe leży na stole, tak samo tajemnicza jak przedtem, ale już mi nie zależy na tym, żeby się dowiedzieć, kto był jej właścicielem w ubiegłym stuleciu. Nic nie może się równać z tchnieniem pulsującego życia.

\*

Dzień 2 września. Do mojego pokoju wchodzi policjant i oświadcza bez wstępów:

– Pan ma się przeprowadzić.

– Ach tak. Dokąd to?

– Do Landvik.

Zjawia się także siostra przełożona i mówi: „Landvik”. Pytam co to za miejsce, to Landvik? Nie otrzymuję odpowiedzi, lecz siostra przełożona wyjaśnia, że szpital został przeznaczony dla pacjentów chorych na polio i mój pokój będzie zajęty. Dziękuję za pobyt u niej i za pożyczenie wszystkich książek, które już przeczytałem. Potem pakuję walizkę i wychodzę za szoferem.

Nie pytam już więcej o miejsce zwane Landvik, jest mi obojętne,

dokąd jedziemy, skręcamy w jakąś boczną dróżkę, a za zakrętem, na dużym, białym budynku czytam: „Dom Starców”.

A, to dlatego siostra przełożona i ten policjant byli tacy tajemniczy. Nie chcieli mnie straszyć. Ale to przecież bardzo odpowiednie miejsce, bawi mnie ich delikatność.

Udaję, że nic mi to wszystko nie szkodzi i wysiadam powoli, bez pośpiechu. Ale to udawanie. W rzeczywistości czuję się zbity z tropu widokiem tak wielu starców w jednym miejscu.

Witam się z kierowniczką, dostaję pokój na pierwszym piętrze i macham na pożegnanie policyjnemu samochodowi. Jest niedziela i słoneczna pogoda, dlatego tak tłoczno na schodach. Mieszam się z tłumem, nikt się do mnie nie odzywa, ale to i tak na nic by się nie zdało, ich nowy kolega jest głuchy.

I tu, w domu dla starców, także przeżywam dni, tak jak nadchodzą. Nie robię nic dla siebie, ani dla innych, niech wszystko toczy się swoim torem. Przygody? Większe wzruszenia? Nic podobnego. Chyba, że można nazwać rozrywką to, iż czytam o uzupełnieniach do wykładu Goethego na temat kolorów i nie rozumiem nic.

Ale wdzięczny jestem policji za to, że się tu znalazłem, to dla mnie wymarzone miejsce. Tutaj chodzę na długie spacery i nikt mi nie mówi o żadnych granicach miasta, jem, śpię i czytam. Piszę też trochę, ale o tym nie wspominam, bo nie chciałbym nikogo drażnić.

Dom starców jest okazały, godny dużej miejscowości. Znajduje się tu lokal komunalny, różne biura i biblioteka publiczna, jest poczta, telefon, radio i przychodzi wielu ludzi z różnymi interesami, a wokół tego centralnego punktu rozłożyła się wieś. Najważniejszym urzędem jest chyba kasa, a w lokalu opieki społecznej siedzą dwie młode dziewczyny i piszą, dwie piękności pośród tego niewiarygodnego świata starców osiemdziesięcio-, dziewięćdziesięcioletnich.

Kiedy nie miałem prawa czytać gazet, robiłem to po kryjomu. W szpitalu było mi trudno, ale kiedy dostawałem pranie z domu, były tam zawsze jakieś gazety, z ręcznie przemycone, w ten sposób dowiadywałem się trochę o tym, co się dzieje, po raz pierwszy także o nikczemnych postępkach Niemców w naszym kraju. W mojej wiedzy uzupełnianej tym sposobem, wiadomościami przesyłanymi razem z

praniem, pozostawały oczywiście luki, lecz kompletnym analfabetą nie jestem.

Tutaj, w domu starców, jest mi łatwiej, zawsze mogę przeczytać w kuchni „Grimstadbladet”, a to znaczna pomoc. W ogóle wszystko jest tutaj łatwiejsze, kierowniczką to osoba wyrozumiała i z poczuciem humoru, trzyma dom w swoich rękach od 23 lat i chociaż to o połowę młodsza od niektórych z nas, przychodzi do nas regularnie, jak do dzieci, którymi trzeba się opiekować, przynosi czekoladę, łakocie i ciasto, mimo że wszystko jest racjonowane. Jedyne, czego nie zdołała dla mnie osiągnąć, to życzliwość bibliotekarza. To się nie udało. Bibliotekarz jest seminarzystą i nauczycielem, nie chce wypożyczać mi książek z biblioteki. Ani jednej.

Chociaż pewnie niektóre z nich sam napisałem. Nie wiem.

\*

Kiedy chodzę na moje spacerunki, nie oddalam się zbyt, żeby mi nikt nie zwracał uwagi. Spaceruję głównie ze względu na noc, bym miał tyle snu, na ile zasługuję. Sen jest lepszy niż jedzenie, snu nie można porównać z niczym. Sen nie polega na tym, że siedzę czy leżę i nagarniam sobie do głowy energię potrzebną organizmowi, nie, w żadnym razie proszę tak nie myśleć. Sen to jest nie mające sobie równych szaleństwo, we śnie mogę znaleźć w kieszeni pieniądze, których nigdy nie zgubiłem, ale których bardzo szukałem. We śnie uwalniam się ostatecznie od jakiegoś potężnego marynarza, którego chciałem zamordować, a który w odpowiedzi uszczypnął mnie sekatorem. Tak, sen jest niezwykłą baśnią, i życiem, i cudem.

Ale i jedzenie może się na coś przydać, oczywiście, że tak.

Nie jestem tu związany żadnymi stałymi porami – kiedy mi się podoba, biorę po prostu mój kostur i idę. Nie muszę się specjalnie tym kosturem posługiwać, zabieram go po prostu tak, jak się zabiera psa, nic więcej. Większość ludzi mówi o moim kosturze: laska. Laska spacerowa. „Czy mam przynieść panu jego spacerową laskę?” pytano mnie kiedyś w hotelach. Ale ja uważam, że to zbyt wytworne i zawsze mówię: kostur. Ma fason giętej laski, a na końcu gumową nasadkę,



został też jednak, niestety, na samym końcu owiązany niezbyt ozdobnym stalowym drutem, bo kiedyś pękł. Poza tym ma dużo znaków metrycznych, które czasami bardzo mi się przydają.

Pozdrawiam dzieci, które spotykam po drodze; niektórzy chłopcy słyszeli pewnie, że jestem głuchy, bo zabawiają się teraz w ten sposób, że podbiegają do mnie blisko i coś wykrzykują. Pozdrawiam także dorosłych, jeśli uważam, że wyglądają dość zachęcająco, jeśli są nieprzystępni i odwracają się, to mijam ich obojętnie. Ale pozdrawiam z chęcią, temu nie można zaprzeczyć, pozdrawiam zbyt chętnie. Nauczyłem się tego w dzieciństwie, mówiono wtedy, że to ładnie pozdrawiać, i jest to we mnie do dziś.

Pewnego słonecznego poranka w Pradze szukałem sklepu tytoniowego. Kiedy wszedłem do środka, zastałem tam mnicha-żebraka, pani za ladą podała mu właśnie monetę, a on dziękował i zamierzał wyjść. Była to scena tak egzotyczna dla mojego norweskiego serca, że natychmiast dołożyłem drugą monetę do poprzedniej. Mnich był zaskoczony, zaczął coś mówić, podnosił obie ręce, ja zapomniałem po co przyszedłem, nie kupiłem nic, wyszedłem ze sklepu, na ulicę, daleko. Potem chodziłem po mieście, zachwycony ludźmi i całym światem, pozdrawiałem każdego, kogo spotkałem, ludzie odpowiadali mi uśmiechami i także pozdrawiali, nikt mnie nie zatrzymywał, wszystko było piękne. Co sobie ludzie myśleli, co myślała ulica, nie wiem, pewnie uważali, że musiałem wcześniej wstać, skoro o tej porze zdążyłem już wyjść z winiarni. Co mnie to obchodzi! Jestem tym, kim jestem, a Praga jest wspaniałym miastem.

Czytałem kiedyś, dawno, dawno temu – jestem taki stary, że wszystko wydarzyło się dawno, dawno temu – otóż czytałem pewną historię o Sokratesie. Szedł on z przyjacielem ulicą i pozdrowił jakiegoś przechodnia. „On ci nie odpowiedział!” – zawołał przyjaciel oburzony. Sokrates uśmiechnął się i rzekł: „To mi naprawdę nie przeszkadza, że jestem bardziej uprzejmy niż on”.

Przychodzą mi do głowy różne rzeczy, które mógłbym przytoczyć na swoją obronę, ale przemilczę to. Czy mógłbym nie pamiętać o dawnych Norwegach, którzy pozdrawiali się wyciągniętą przed siebie prawą dłonią, żeby pokazać, że nie mają broni? Albo zapomnieć tamten

dzień w Oslo, kiedy stałem w windzie z japońskim ambasadorem, a obaj byliśmy tak uprzejmi, że żaden nie chciał wyjść pierwszy? Wcale też nie żałuję, że kiedyś w Wersalu wstałem i ustąpiłem miejsca damie, która wsiadła do tramwaju. Była to elegancka starsza pani w żałobnej woalce i naszyjniku z pereł, może jakaś księżna krwi, mogłaby mnie adoptować. W każdym razie dałem tym panom, tym Francuzom, lekcję uprzejmości, której nie zapomną: ja wstałem pierwszy.

Tak, ale to się działo za moich młodych lat, które nikogo już teraz nie interesują i dlatego nie warto o nich wspominać. Ale pamiętam, że nawet w Nordland, na wójtostwie w Salten, kiedy przychodziliśmy do kogoś, uprzejmie zdejmowało się czapkę, wkładało ją pod lewe ramię i pozdrowiało: „Pokój temu domowi!”, i „Szczęść Boże!”, kiedy ktoś zajęty był pracą oraz „Zostańcie w pokoju!”, kiedy wychodziliśmy.

To były nasze pozdrowienia.

\*

Dzisiaj, 22 września, ponowne wezwanie do sędziego śledczego.

Jest bardzo wcześnie rano, trochę za wcześnie jak na mnie i cały dom starców. Powinienem być oczywiście zostać uprzedzony, ale nie zostałem. Od czego jest telefon? Dla policjanta nie ma to znaczenia, on może po prostu wsiąść do samochodu i przyjechać, a więźniowi nie pozostaje nic innego, jak pójść za nim tak jak stoi. Chciałbym ubrać się porządnie, skoro mam spotkać sędziego śledczego. Nawetwcarskiej Rosji dawano więźniom chwilę. Tutaj tak nie jest.

Wymamrotałem jakieś przeprosiny, a stary wytworny sędzia mi wybaczył. Zresztą chciał ode mnie niewiele: Dzisiaj upływa termin mojej izolacji i powinniśmy go przedłużyć do 23 listopada. Sprawa została wyjaśniona, spisana i uzupełniona różnymi pytaniami, które sędzia przedstawił mi na piśmie, by uniknąć krzyczenia do moich głuchych uszu. Odpowiedziałem na nie po kolei i podtrzymałem dawniejsze oświadczenie, że odpowiadam za to, co zrobiłem.

Na tym skończyliśmy, mogłem zostać odwieziony z powrotem i ubrać się.

\*

Kolejne dwa miesiące – w porządku. Jeśli o mnie chodzi, to to niczego nie zmienia, ani na plus, ani na minus. Właściwie to nie należę do tutejszego środowiska, jestem kimś postronnym, ale starzy są przyjaźni i nie dają mi tego odczuć. Oni znaleźli się tu z własnej woli, wybrali to miejsce jako najodpowiedniejsze, by spędzić w nim ostatnie dni, ja natomiast zostałem sprowadzony przez policję, pod przymusem. Inni też mają swoje dolegliwości, niektórzy cierpią na bóle w plecach, inni słabują na nogi, ale ja jestem beznadziejny, jestem kompletnie pozbawiony wszelkich zainteresowań, przez co zupełnie się nie nadaję, żeby ze mną cicho o tym czy owym pogadać. To wcale nie mały feler, a mam jeszcze wiele innych: mogę się na przykład desperacko uczeplić jednego słowa i żeby coś powiedzieć, muszę najpierw powiedzieć coś innego. Nie ja jeden zostałem dotknięty tą dokuczliwą chorobą, to zresztą stara, piękna choroba i nazywa się afazja, wielki Swift w Anglii cierpiał na nią bardziej niż ja.

Zresztą o czym tu gadać, każdy ma swoje do dźwigania. Nic też nikomu nie przeszkadza w tym domu starców, możemy wchodzić i wychodzić, poruszać się gdzie chcemy, obserwować jedni drugich. Dom jest pełen, piętnaście czy dwadzieścia osób obojga płci, wielu nie wstaje z łóżka. Od czasu do czasu ktoś z nas umiera, to nieuniknione, ale na innych, pozostałych przy życiu, nie robi to większego wrażenia. Patrzymy, jak wynoszą białą trumnę, ale gdy wóz odjeżdża, wracamy do swoich spraw.

Czy to zresztą taka moda teraz, że trumna ma być biała? Nie wiem, co jest bardziej odpowiednie, ale za czasów mojego dzieciństwa trumny były czarne, w białych trumnach chowano tylko małe dzieci. W ogóle mody i zwyczaje zmieniają się też w zależności od miejsca: w tutejszej okolicy zostawia się flagę opuszczoną do połowy masztu przez cały dzień, w Nordland był zwyczaj, że natychmiast po złożeniu trumny do grobu podciągano flagę do szczytu masztu i tam już zostawała.

Oba sposoby mogą być dobre, pewnie oba są równie dobre.

\*

Idę sobie pewnego dnia na spacer i notuję jakieś drobiazgi, gdy dogania mnie obcy mężczyzna.

Dosyć to dziwne, bo poszedłem boczną leśną drogą, z dala od wszelkiego ruchu, i zdawało mi się, że nikt mnie nie widzi.

Mężczyzna tymczasem uśmiechał się blado i próbował dotrzymać mi kroku. Nie podobało mi się to i próbowałem zawrócić. Nie pomogło. Ukłonił się i nagle oświadczył zdumiewająco wyraźnie:

– Ja wiem, co pan za jeden!

Zwolniłem na chwilę, uśmiechnąłem się nad tą jego nieporadną próbą żartu i powiedziałem:

– Chciałbym iść sam.

Mężczyzna nie opuścił mnie, mówił o czymś obojętnym, rozumiałem tylko pojedyncze słowa.

Nie wyglądał na rozbójnika, ale był męczący, chciałem zawrócić i pójść swoją drogą, udawałem, że czytam to, co zapisałem, i nie przejmuję się nim. I nagle usłyszałem, że obcy posługuje się czystym dialektem z Saltvaering, gdy mówi:

– Niech się pan nie obraża na to!

Zalała mnie fala wspomnień na dźwięk tych kilku słów, sercem je usłyszałem.

– Pan pochodzi z Nordland? – zapytałem.

– O, tak! Ale wy mnie nie znacie.

Zwracał się do mnie na przemian per pan, wy, a nawet ty. Zadawał sobie trud, by mówić wyraźnie, krótkimi zdaniami i blisko mojego ucha. Prawdopodobnie tonacja i brzmienie jego głosu sprawiały, że rozumiałem większość.

Nie wspominam ani słowem o jego wyglądzie, ale bo też wyglądał pospolicie, nader pospolicie: średniego wzrostu, o sympatycznej twarzy, chudy, w średnim wieku. Może z potrzeby, a może z pokory, szedł boso, a buty, związane sznurowadłami, niósł na ramieniu.

– Bardzo się cieszę, że was zobaczyłem – powiedział.

Co za człowiek! O mało nie zacząłem zgrzytać zębami.

– I że chcecie mnie wysłuchać – oświadczył.

– Przecież ja jestem głuchy, już mówiłem. Jak miałbym słuchać?

– My obaj jesteśmy z Hamroya.

Coś takiego! Udałem, że nie robi to na mnie wrażenia, lecz mimo to spojrzałem na niego łaskawszym okiem.

Podał mi duży książkowy kalendarz sprzed wielu lat, oprawny w zniszczony półskórek, w którym wiele stron zostało wypełnionych drobnym pismem, i poprosił, żebym to przeczytał.

Mogłem się tego spodziewać; opowiadanie, opisanie życia.

– Nie zaczyna być już zimno w boscie nogi? – zapytałem wymijająco. – Niedługo październik.

– Zapisalem wszystko dokładnie, tak jak było – mówił, zajęty swoim.

O, jak ja to dobrze znam! Jeszcze do niedawna przychodziły do mnie pocztą paczki z prawdziwymi opowieściami o życiu i miłości, z wierszami.

– Nie mogę tego przeczytać – odpowiadam.

– Nie jestem w stanie.

– Skoro jednak obaj pochodzimy z Hamroya...

– Skąd pan jest?

– Z Klottran, nad Sagfjordem.

– A jak się pan nazywa?

– Ja? Martin. A piszę się Enevoldsen.

– Spróbuję na to popatrzeć – powiedziałem zmęczony, przewracając kartki kalendarza. – Ale nie mogę przeczytać w całości. Może jakiś fragment tu czy tam...

Widzę, że w opowiadaniu mowa jest o nauczycielu i o jakimś człowieku imieniem Berteus, parę razy dostrzegam też imię Alvilde, coś o pogodzeniu się z Bogiem, o wyjeździe do Klingenberg, i o pastarze, o łowieniu ryb, szukaniu rudy w górach...

Nie, w ten sposób nie mogę czytać, a on stoi i przygląda mi się. Oddałem mu kalendarz, ale jest oczywiste, że nie pozbędę się go tak łatwo, a w końcu też i nie mam na to ochoty. Patrzy na mnie tak błagalnie i jest w moich rękach.

Usiedliśmy we wrzosach i rozmawialiśmy, ja zapaliłem fajkę, on nie palił; on mówił. Zauważyłem, że boi się mnie za bardzo zmęczyć, pokazał kalendarz i powiedział:

– Najlepiej, żebyś przeczytał to w samotności.  
Ale ja chciałem raczej słuchać.  
– Zdumiewające jak dobrze cię słyszę – ja też zacząłem mu mówić po imieniu. – Lepiej niż innych.  
– Jestem przyzwyczajony, żeby mówić wyraźnie, kiedy przemawiam – wyjaśnił.  
– Jak to: przemawiam?  
– Na zgromadzeniach.  
Aha, na zgromadzeniach. – Ale ja nie słowa miałem na myśli, tylko dźwięk, brzmienie. Brzmienie słów. Jego głos nie był specjalnie silny, ale jakby stworzony dla ucha, wpływał w głąb. Mógłby czytać wiersze tym głosem.  
– Czytasz psalmy? – zapytałem.  
– O, nie. A zresztą tak, psalmy Dawida.  
– I śpiewasz coś?  
– Nie. Ale gram na fisharmonii.  
– A więc była pewna panna imieniem Alvilde? – powiedziałem nagle i spojrzałem na niego.  
Był wyraźnie zaskoczony, ale potwierdził:  
– Tak, miała na imię Alvilde. Skąd wiesz?  
– Przeczytałem w twoim zeszycie.  
– No tak, mogłeś przeczytać. Nawet dobrze, że przeczytałeś. Nie ma w tym nic złego.  
– Opowiedz mi teraz, jak doszedłeś do tego wszystkiego?  
– Z Bożej łaski! – odparł.  
– Oczywiście. Ale, jak to, przyszedłeś pieszo z Klettran w Sagfjorden i zacząłeś przemawiać na zgromadzeniach?  
– O nie, nie! – zawołał zakłopotany. – To pastor mnie do tego nakłonił. To było na pogrzebie, wtedy poczułem, że mam powołanie.  
– I zacząłeś przemawiać. Co wtedy powiedziałeś?  
– Nic nie powiedziałem. Ja się modliłem do Boga. To było na pogrzebie tego Berteusa. To wszystko jest tutaj opisane.  
Nie było rady, musiałem zacząć czytać. Nie nużyło mnie to, wręcz przeciwnie, te spokojne słowa i opisy układały się w bardzo dobrą opowieść, która powoli zaczynała mnie wciągać.

Czytałem.

\*

*Zaczęło się od tego, że był pewien człowiek imieniem Berteus, który przybył z Kvædfjord i osiedlił się u nas. Był żonaty i miał dziecko. Często przebywałem razem z nim, chociaż był ode mnie starszy i był głównym na łodzi. Nadzwyczajny człowiek, pod każdym względem, i był dla mnie niczym brat pomiędzy braćmi. Dostał drewno od Schoninga z Hillingen i ja pomagałem mu postawić chałupę, za co dostawałem wyżywienie i nie żądałem niczego więcej. Jesienią pojechał z powrotem do Kvædfjorden i wynajął się na Lofoty, jako szyper, miał sieci do łowienia w wodach przybrzeżnych. Żona została u nas, w tej swojej nowej chałupie. Nie chciałbym nic na nią mówić, ale to małe dziecko zostawało w domu samo, kiedy ona z innymi kobietami chodziła na jagody. W środku zimy przywieziono Berteusa do domu łodzią wiosłową, dostał nerwowej gorączki i leżał dwie doby. Leżał nie podnosząc się i mówił od rzeczy, a nikt nie chciał u niego być, bo gorączka była zakaźna, nawet żona nie odważyła się do niego wchodzić, bo ten mały mógłby się zarazić, mówiła. Dlatego stało się tak, że to ja siedziałem przy nim i dawałem mu ocukrzoną wodę, smarowałem mu tą wodą wargi za pomocą piórka, a on przez cały czas majaczył. Trwało to dwie doby, po czym skonał.*

*Byłem całkiem ogłuszony, kiedy to się stało, bo przecież wszyscy uważaliśmy, że on z tego wyjdzie, ale tak się nie ułożyło. Nie wiedziałem, co mam, na Boga, myśleć o tej nagłej śmierci, ani jak się z tym pogodzić, taki był zdrowy i silny, kiedy ciosaliśmy drewno na chałupę, a tu dostaje wezwanie, że ma się stawić! Leżałem po nocach i rozmyślałem o tym, ale nie mogłem odzyskać spokoju. Żona chciała go pochować na cmentarzu w Kvædfjord, lecz było to niemożliwe, dopóki jego kuter z załogą nie powróci z Lofotów, bo innej podwody nie mieliśmy. Kilku dobrych ludzi popłynęło łodzią wiosłową do Klingenberg po trumnę i trochę jedzenia na stypę, ale ja z nimi nie pojechałem. Co się ze mną stanie, jeżeli śmierć powoła i mnie tak, jak powołała Berteusa? Nauczyciel przychodził do mnie i próbował przetłumaczyć, żebym się tak tym nie*

przejmował, ale to mi w niczym nie pomogło. Z tego wszystkiego, brnąc przez śnieżne zasy, wspiąłem się na górski występ, który nazywamy Kleksen, a który podobny jest do orła, tam padłem na kolana i wzywałem w mojej rozpaczycy Boga Ojca i Jezusa. Dobrze mi to zrobiło, modliłem się potem o zrozumienie i żeby Bóg oświecił moją duszę, i prawdę powiedziawszy, moja modlitwa została wysłuchana jak nigdy przedtem. Minęło dużo czasu, słońce chyliło się ku zachodowi, w dole przy zabudowaniach widziałem wielu obcych ludzi, a i tamci wrócili z Klingenberg z trumną. I wtedy stało się tak, że spłynęła na mnie jasność i światło przepelnilo moją duszę jak największa rozkosz. Nie byłem w stanie się opanować, mówiłem głośno przez całą drogę do domu, nie mogłem przestać. Przyszedł pastor i zwłoki złożono do trumny, mieli zamykać wieko i uciszali mnie, bym milczał, lecz pastor powstrzymał ich gestem; on mnie konfirmował i znał mnie: „Zostawcie Martina w spokoju!” powiedział. Ja złożyłem ręce, wzniosłem je wysoko w górę i błagałem o łaskę i odpuszczenie dla duszy Berteusa i dla wszystkich, nie bardzo wiedziałem, co się ze mną działo, ani jak długo się modliłem, dopóki pastor nie wziął mnie za rękę i nie podziękował. Ale kiedy usiadłem, natychmiast zasnąłem na krześle, taki byłem zmęczony. Chwała niech będzie Bogu na wysokościach! To, co tutaj spisałem, mówi o Jego wielkiej i niezmiennej łasce, jaką na mnie zsyła od tamtego dnia na Kleksen aż do dzisiaj.

Czas mijał i nic więcej się nie działo. Wdowa miała przeprowadzić się do Kvædfjord i czekała tylko, aż kuter z załogą wróci i zabierze ją do domu. Nastal już kwiecień. Co miała począć z chałupą? Próbowwała ją sprzedać, ale się to nie udało, poprosiła zatem mnie, żebym zlecił sprzedaż posterunkowemu, co jej obiecałem. Kiedy wróciłem od posterunkowego, ona powiedziała, że przecież na razie mogę sobie chałupę zatrzymać. Zapytałem ją, co ma na myśli. Ja nie wiem, co mam na myśli, powiedziała, ale przecież to ty byłeś z Berteusem i ciosałeś drewno na budowę, dlatego tak powiedziałam! Ja nadal nie rozumiałem, co ona ma na myśli. Nie, ty masz w głowie inną, powiedziała, ale ona ciebie nie chce, bo ona będzie miała nauczyciela, wiesz? Tak, wiem, odparłem, ale teraz nie będziemy już więcej o tym rozmawiać, będziemy po prostu milczeć. Następnego dnia przybył kuter, by zabrać ją i dziecko



*i odwieźć do rodziny w Kvædfjord, skąd pochodziła. Wszystko się ułożyło. Nadeszło lato, nauczyciel kupił chałupę, przeprowadził się do niej i otworzył szkołę. Ożenił się w środku lata i kupił sobie w Klingenberg garnki i saganki, i wszystko, co potrzebne, byli bardzo szczęśliwą parą, sypiali na sianie i byli zadowoleni. Nauczyciel tydzień za tygodniem chodził z młotkiem w góry i poszukiwał rudy, ale nie znalazł żadnych wartościowych metali, które mógłby sprzedać, wszystko, co kupił, poszło na marne, nawet handel chałupą trzeba było powtórzyć, ponieważ on niczego w górach nie znalazł.*

*Na jesieni nauczyciel dostał lepszą posadę w Helgeland i przeprowadził się tam, bardzo nam go brakowało, bo był to człowiek zręczny w każdym fachu. Przyjechał z seminarium w Tromsø, wykształcony i z pojęciem, mógł wymyślać maszyny tylko na podstawie tego, co miał w głowie. Szkoda takiego człowieka, mnie nauczył gry na fisharmonii, a innych nauczył innych sztuk, nazywał się Hans Neess i był wysokim, przystojnym mężczyzną, ale nie miał chyba wytrwałości w niczym i zapomniał swego Boga. W Helgeland kupił sobie gospodarstwo, ale z tym też mu nie szło, miał je tylko parę lat, a potem musiał się zabierać z gospodarstwa, zaś wszystko, co posiadał, poszło pod młotek. Na koniec wymyślił, że powinien jechać do Ameryki, i że właściwie to tam powinien być zawsze żyć. Inni też uważali, że akurat z tym, to ma rację, że dla człowieka, który umie tyle, co on i tyle ma zdolności, i w rękach, i w głowie, to Ameryka musi być jedynym odpowiednim krajem. Pożyczył na bilet i uzbroidł się w odwagę, ja byłem akurat w Helgeland, kiedy żegnał się z rodziną i wyprawiał w drogę. Jedyne, co mogłem zrobić, to zaność gorące modły do Boga, by mu się wiodło w nowym życiu i w tym nowym świecie, w końcu prosiłem też litościwego Boga, by miał w opiece i ochraniał żonę i te dwa maleństwa, które tutaj zostawały, ale miały wyruszyć w drogę, jak tylko ojca będzie na to stać. No i pojechał. Niech się dzieje wola Boska! Żona nie zobaczyła go już nigdy więcej. Nie, więcej na tej ziemi go nie zobaczyła. Dostała parę listów, że dojechał szczęśliwie i zamierza wyruszyć dalej na zachód, ale potem nie dał już znaku życia. Ona czytała w gazetach o strasznym pożarze w Chicago, w którym wielu zginęło, mogła się wtedy obawiać, że on był wśród zaginionych. Ale nie dowiadywała się nigdy*

*ani go nie szukała, choć myślała o nim przez te wszystkie lata, a żyła w najżałośniejszym ubóstwie. To były dla niej ciężkie czasy, ani nie była zamężna, ani niezamężna, musiała troszczyć się o siebie i dzieci. Na mnie wprost patrzeć nie mogła, kiedy pojawiałem się w tamtych stronach, i powiedziała mi kiedyś, że byłoby znacznie lepiej, gdybym mu nie był pożyczał tych pieniędzy na bilet, a tak to wpędziłem wszystkich w nieszczęście. Na to nie mogłem nic odpowiedzieć i odszedłem z wielkim smutkiem w sercu. W tym stanie ducha, w którym się znajdowała, nie mogłem jej się pokazywać za często, więc posyłałem tylko pozdrowienia na Boże Narodzenie i inne święta. To też przyjmowała źle, a kiedy przyszedłem następnym razem, przywitała mnie pełna goryczy i nasłuchałem się wielu złych słów. Nie rozumiem, dlaczego ty się włóczysz po tej okolicy, mówiła. Czy ty nie masz domu w Hammya? Właśnie teraz wracam z południa i kieruję się dalej na północ, odparłem, i chciałem tylko zajrzeć. Nie, odpowiedziała, ty się tu zakradasz i co ludzie tam, w domu, o tym pomyślą? Nie wyobrażasz sobie chyba, że nakłonisz mnie, bym zapomniała tego, którego wypchnąłeś w świat? Ha, ha, mój dobry Martinie, czy ty nie chcesz zająć jego miejsca? Nie, nie miałem tego na myśli, odpowiedziałem. I zabieraj sobie to wszystko, co tu przyniosłeś, niech na to nie patrzę, mówiła. My niczego nie potrzebujemy i nic tu nie przynos! To tylko troszkę dla dzieci, odrzekłem. Tak, ale ja nie rozumiem, dlaczego ty się nie możesz trzymać z daleka od nas. Będę się trzymał z daleka, zapewniłem.*

*Zaraz pożałowałem tych słów, bo wszystko jeszcze bardziej pogorszyłem i doprowadziłem ją do płaczu. Sprawiało mi to ból. Powiedziałem jej, że w ogóle nie myślę o tym, co ona powiedziała, ale ona powiedziała o sobie, że jest największym wyrzutkiem i kreaturą i nie pozwalała się pocieszyć. Kiedy odchodziłem, odprowadziła mnie i płakała przez cały czas. Teraz to już widzę cię pewnie ostatni raz, wzdychała. Nie mów takich smutnych rzeczy, zaprotestowałem, może następnym razem dostaniesz jakąś wiadomość. Bo dla Boga nie ma nic niemożliwego!*

\*

Przestałem czytać i oddałem mu kalendarz. Był wyraźnie rozczarowany. Także i to było mi dobrze znane, oni nie mogą pojąć, że ktoś nie chce przeczytać do końca, ten nie był lepszy od innych.

– Naprawdę źle się skończyło z tym nauczycielem – powiedziałem, by go ułagodzić. – To pewnie była Alvilde, ta z którą się ożenił?

Podskoczył.

– Tego tam nie ma – zaperzył się.

– Nie ma.

– Bo o tym nigdzie nie ma nawet wzmianki.

– Powiedz mi teraz, straciłeś wszystkie te lata, od czasu młodości, na to, żeby nauczać?

– Ja za bardzo nie nauczam, nie mam na to wykształcenia. Ja się modłę do Pana.

– Przez cały czas? To przecież życie pokolenia?

– No, możesz tak powiedzieć! Niestety czas minął i wszystkie lata minęły, a ja nie zrobiłem nic dla nas, dla ludzi na ziemi.

– Jak dostałeś się tutaj, tak daleko na południe?

– Szedłem.

– Piechotą?

– Tak. Jestem wędrowcem. Byłem też w Szwecji i w Finlandii.

– Wybacz mi, że zapytam – powiedziałem.

– Ale czy ty coś z tego masz? Mam na myśli, czy ktoś ci płaci?

– Nie. Ale Pan jest dla mnie łaskawy, nie cierpię niedostatku. Czasem wynajmuję się na kilka dni do jakiejś pracy i trochę za to dostaję, o, nieraz dostaję aż za dużo. Nie, niczego mi nie brak.

– Chodzisz czasem po domach i prosisz o jedzenie?

– Nie – zaprzeczył potrząsając głową. – Ale jeśli się tak złoży, to dostaję jeść razem z innymi, którzy siadają do stołu.

– Oczywiście. A jeżeli się nie złoży?

– To idę dalej, czekam, może w innym miejscu, poza tym niczego mi nie brak. Człowiek nie potrzebuje tak dużo.

Popatrzyłem na chudego wędrowca i rzekłem:

– Przepraszam cię, ale czy nie byłoby lepiej, gdybyś wstąpił do jakiegoś związku czy społeczności religijnej, albo do stowarzyszenia,

żeby mieć coś pewnego?

– Może by i było lepiej – powiedział. – Ale widzisz, ja nie mam żadnych szkół, ani wiedzy, żeby się wykazać, muszę na własną rękę trzymać się Boga, to jest najpewniejsze. O, i łatwiej mi tak, modłę się do Boga i jestem bezpieczny. Wchodzę do jakiejś chaty albo do dworu i dziękuję Bogu, że znalazłem się pod tym dachem, proszę o błogosławieństwo niebieskie i wybaczenie dla nas wszystkich. Zwykle schodzą się ludzie, żeby posłuchać, a jeśli w domu jest fisharmonia, to robi się całe nabożeństwo. Tak to idzie.

– Dlaczego to takie ważne dla ciebie, żebym przeczytał twój kalendarz?

– O, mam swoje powody. Słyszałem przecie o tobie od czasu do czasu, w latach mojej młodości na Hamraya, tak że znam twoje nazwisko.

– Ale jak się dowiedziałeś, że jestem tutaj?

– Usłyszałem od kogoś. I zaraz pomyślałem, że spróbuję się z tobą zobaczyć.

– Aha.

– Słyszałem co prawda, że jesteś głuchy, ale się tego nie zląkłem. Ojciec mój był głuchy na starość i matka była głucha, nie opłacało się do nich krzyżeć, bo i tak nie słyszeli. Do zgromadzenia też przychodzi dużo głuchych ludzi, którzy nigdy nie słyszeli ani słowa o Bogu, ani żadnej modlitwy do niego.

– Tak. A dlaczego uważałeś, że powinieneś się ze mną spotkać?

– No, mógłbym ci i to powiedzieć, ale nie obrazisz się?

– Nie, nie.

– Chciałem ci powiedzieć tylko jedno jedyne zdanie: że powinieneś uporządkować swój dom. Czas nadszedł. Jesteś starym człowiekiem.

Milczeliśmy obaj, on już nic więcej nie powiedział. Żadnego kazania, miał dobre rozeznanie, nie trwonił swoich słów. Być może wymyślił sobie to napomnienie teraz, a być może tak właśnie mawiał do starców, których spotykał na swojej drodze.

– Dziękuję ci za staranie, żeby porozmawiać dziś ze mną – powiedziałem i wsunąłem mu do kieszeni nieduży banknot.

Wprawilo to nas obu w zakłopotanie i żeby je jakoś zatrzeć, zapytałem:

- Dokąd teraz pójdziesz?
- Do miasta – odparł.
- To włóż buty – poradziłem.
- Włożę, ale nie ma pośpiechu – rzekł. – Oszczędzam je, żebym miał w czym iść do ludzi.

\*

Nastał październik. Naturalnie moje cygara skończyły się już dawno temu, ale to nic nie szkodzi, mam tytoń w pudełkach, norweskiej hodowli, i palę fajkę. Pewnego dnia widzę jednego ze starców, jak idzie do domu z długą gałązką tytoniu, właściwie cały krzak, który gdzieś znalazł, obrywa starannie wszystkie suche listki z łodygi, nabija fajkę i pali. Można i tak, idzie mu znakomicie, my, inni starcy, bawimy się patrząc na niego.

Od lata, kiedy dostałem z domu lepsze buty, niczego mi nie brakuje, dostałem też z Danii cudownie obszerne studium na temat kultury, tutaj udało mi się pożyczyć Biblię i mam dużą książkę o Nowej Gwinei.

Pewnego wieczoru przychodzi doktor i powiada, że musi mnie zbadać.

- A to dlaczego? – pytam.
- Policja zamierza odesłać pana do domu, do Norholm, czy coś.
- Mam się rozebrać?
- Nie, po co? – mówi. – Proszę tylko podnieść trochę koszulę.

Osluchuje mnie na plecach i na piersi. – Może trochę za wysokie ciśnienie – powiada. – Chce pan wracać do domu?

- Ja chcę tego, czego chce policja. Nie mam teraz wolnej woli.
- Gotowe. Zajęło to dziesięć minut.

Nie przywiązuję znaczenia do tego badania. Policja niepotrzebnie traktuje mnie tak troskliwie. Jestem zdrowy i rześki, ciśnienie, cóż to jest? Nigdy przedtem o tym nie słyszałem. Nic mi nie jest, jestem po prostu stary i głuchy.

W dwa dni później przyszedł jakiś prawnik z mnóstwem różnych papierów, żeby przeprowadzić rejestrację majątku, tak powiedział. Powtórzyłem to samo, co przed sędzią śledczym: pieniędzy w gotówce 25 tysięcy, majątek Norholm i 200 akcji wydawnictwa Gyldendal.

– A jeszcze prawa autorskie – dodał i zapisał na to konto 100 tysięcy koron.

Zgadywanka, nic więcej. Powiedziałem więc:

– Moje prawa mogą być warte 100 tysięcy koron, ale mogą też nie być warte nawet 5 koron, nikt tego nie wie, ja jestem martwym człowiekiem. Proszę zapytać u Gyldendala, tam w każdym razie pracują fachowcy.

Przekreślił 100 tysięcy, a w zamian wpisał 50 tysięcy.

– Bizuteria? – zdawało mi się, że tak zapytał.

Ponieważ nie noszę pierścionków, sięgnąłem do kamizelki i chciałem mu podać mój zegarek, ale on potrząsnął przecząco głową.

Gotowe.

Minął tydzień. Żyłem w spokoju, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, miałem wizytę mojej córki i synowej z Norholm, śmiałem się i żartowałem z nimi, opowiadałem jakieś błahostki z życia. Właśnie one powiedziały mi, że mam być przeniesiony do Oslo, do jakiegoś „ładnego pensjonatu”, dowiedziały się od znajomego w policji. O, to nic takiego! Wyjadę za jakieś dwa tygodnie, dawala do zrozumienia policja. Córka i synowa dały mi każda swój zwitek banknotów, na przechowanie, dopóki nie wrócę, taki miały zwyczaj, zawsze tak robiły, kiedy dostały parę szylingów.

Następnego wieczora przyjechał policjant i zawiózł mnie do Arendal. Była niedziela. Wsiadłem do przepelnionego wagonu kolejowego, ale nadal nie wiedziałem nic o celu mojej podróży, dopóki policjant nie wcisnął mi do ręki numeru „Aftenposten”, gdzie było napisane, że mam być umieszczony w klinice psychiatrycznej. Niezwykły sposób informowania. Ścisła tajemnica, także i tutaj. Kiedy pociąg nareszcie dotarł do Oslo, miałem za sobą całą noc, dwanaście godzin, spędzonych na siedząco. A przecież nie jestem młodzieńcem. Podróż statkiem zajęłaby siedem godzin i mógłbym leżeć.

Było to w poniedziałek rano, 15 października, pomiędzy godziną

dziesiątą a jedenastą. Przez troje opatrzonych w zasuwę drzwi zostałem wprowadzony do kliniki psychiatrycznej. I te drzwi zatrzasnęły się za mną.

Przyjęła mnie gromada ubranych na biało pielęgniarek, musiałem im oddać wszystko, co miałem w kieszeniach, klucze, zegarek, notes, temperówkę, ołówek, okulary, wszystko. Pod swetrem miałem dwie agrafki, zostały mi zabrane, pokrowiec z mojej walizki został zerwany, pewnie z obawy, że mógłbym pod nim ukryć coś niebezpiecznego. Potem pielęgniarki otworzyły moją walizkę i zaczęły wywracać jej zawartość.

Powstał problem jakiegoś zaświadczenia od doktora. Czy nie dostałem od doktora nic na piśmie? Nie. Policjant mnie tu przyprowadził, ja jestem aresztantem, jestem zdrajcą kraju, powinny panie wiedzieć. Uprzejma siostra przełożona zapytała, jak to się stało, że popadłem w takie nieszczęście. To nic nie szkodzi, powiedziałem. Nie, nie, co ja mówię, szkodzi, oczywiście, to był błąd z mojej strony, pożałowania godne, naprawdę. Zapewniłem, że za wszystko poniosę odpowiedzialność.

Pielęgniarki zaprowadziły mnie do łazienki. Powiedziałem, że jestem głodny i zmęczony, ale oświadczyły, że najpierw powinienem się wykapać. Kiedy miałem się znowu ubrać, nie mogłem znaleźć szpilki do krawata. Została zabrana, kiedy leżałem w wannie, ale nikt nic nie powiedział. Kładłem się na podłodze, żeby szukać, nic. Pytałem służbę, nic. Byłem zły i krzyczałem głośno, ale nic tylko ciii, ciii! Wy tłumaczyłem, że to mała ale bardzo kosztowna szpilka, z orientalną perłą, w odróżnieniu od tych wielkich szpil, jakie niektórzy noszą. Nareszcie siostra powiada, że szpilka została zabrana.

I w końcu dostałem maluteńki kawałek **Chleba**, który zacząłem żuć. Zanim skończyłem, znowu mnie wezwano. Nie rozumiałem, co oni mówią, a kiedy prosiłem, żeby mi to napisali, napisali na kartce lękasz. Co to takiego lękasz? zapytałem. Powtórzyli znowu to słowo w innym miejscu kartki i podkreślili lękasz. Czy to ma być lekarz? Chodzi wam o doktora? Tak, tak, kiwali głowami. Nie potrzebuję żadnego doktora, powiedziałem. Nie jestem chory.

Lekarz przyjmował na pierwszym piętrze i wdrapałem się tam po

schodach. W moim stanie wzburzenia mówiłem bez ładu i składu, skarżyłem się, że jestem taki zmęczony, że powinienem być podróżować statkiem. Stenograf notował, doktor był cierpliwy i chciał mi pomóc.

– Nie płynął pan statkiem pewnie dlatego, że pociąg idzie znacznie szybciej – wyjaśnił.

– Tak – odparłem. – Zaledwie pięć godzin dłużej.

Zapytałem go, jak się nazywa. Ruud, odparł.

– Jestem bardzo zmęczony i muszę się wyspać – powiedziałem.

\*

Teraz krótkie wyjaśnienie.

Zostałem zatem umieszczony w Klinice Psychiatrycznej w Oslo, zakładzie dla „nerwowo i psychicznie chorych”. Jest rok 1945, od 15 października i dalej. Moje dni upływają na tym, że piszę odpowiedzi na pisemne pytania profesora Langfeldta. Te odpowiedzi to z mojej strony bardzo pospieszna praca, wykonywana w jak najgorszych warunkach, w reglamentowanym, starannie odmierzonym czasie, przy fatalnym świetle, przy pogłębiającej się depresji. Nie sądzę zatem, że jest to zbiór złotych myśli. Ale jest to moja praca.

Ponieważ nie miałem czasu zrobić odpisu moich odpowiedzi, i ponieważ profesor odmówił mi wypożyczenia oryginałów, nie mam nic, co mógłbym umieścić w tym pustym miejscu.



## **Jest rok 1946, 11 lutego.**

Znowu znajduję się poza zakładem.

Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem wolny, ale mogę znowu oddychać. Oddychanie jest też w istocie jedyną rzeczą, jaką na razie mogę robić. Jestem bardzo wycieńczony. Wyszedłem z zakładu leczniczego i jestem bardzo wycieńczony. A byłem zdrowy, kiedy tam przybyłem.

Będzie chyba jeszcze później czas, żeby wrócić do pobytu w Klinice Psychiatrycznej, do życzliwych pielęgniarek, do serdecznej i dobrej siostry przełożonej, do Bożego Narodzenia, pacjentów, spacerów na świeżym powietrzu – tymczasem to wszystko musi poczekać. Muszę najpierw dojść do siebie.

Przede wszystkim muszę spróbować dostać się znowu do domu starców w Landvik. A nie jest to proste, dom ma teraz nowy zarząd, mój dawny pokój jest zajęty przez innego starca, dom jest pełen. Komisarz Onsrud z policji w Arendal zrobił dla mnie, co mógł, wszyscy inni w domu także okazali dobrą wolę i zostałem przyjęty.

Tutaj mój stan miał się poprawiać. Ale nie jestem już młodzieńcem, nie jest mi łatwo powrócić do normalnego życia, które zostało przerwane cztery miesiące temu, zatem miesiąc mijał za miesiącem, a moja rekonwalescencja trwała. Nie chciałem nikogo spotykać, przychodziły listy, lecz na nie nie odpowiadałem, nie byłem w stanie. Wychodziłem na spacer po rozmokłym śniegu, ale potem dygotałem z zimna i zmęczenia. Drzemałem i spałem bardzo dużo, nawet w środku dnia, kiedy tylko usiadłem w fotelu, ludzie tutaj powiadają, że to z wyczerpania.

Zebrałem się i odesłałem fiński nóż. Och ten nóż! Nie przywiązałem się do niego, przyczepił się do mnie w szpitalu w Grimstad, a potem leżał przez cztery miesiące w podziemiach kliniki razem z innymi moimi rzeczami. Wysłałem go pocztą do szpitala: Proszę bardzo, oto nóż fiński, weźcie go ode mnie, nie mogę na niego patrzeć, on nie jest mój.

Poza tym próbowałem załatwiać moje sprawy najlepiej, jak umiałem, pozakreślałem w kalendarzu ważne dni, bez pozwolenia

zaabonowałem kilka gazet, naprawiałem swoje ubrania. Jest pełnia zimy z jaskrawym słońcem i długimi, coraz dłuższymi dniami, nastąpiła pora w pewnym sensie równikowa: godzina 7, szarówka zapowiadająca nadejście nocy, następna godzina 7, szarówka zapowiadająca nadejście dnia. Potrwa to przez jakiś czas, a potem równik się przemieści.

W tym okresie nie miałem wcale ochoty na czytanie. Miałem przecież historię kultury, Biblię i dzieło o Nowej Gwinei, ale poważne książki szybko mnie męczyły, najchętniej czytałem różne drobiazgi i gazety. Od czasu do czasu znajdowałem w kuchni jakieś pisemka religijne, które dokładnie studiowałem, były to dobrze napisane i na ogół gruntownie przemyślane rzeczy, między innymi pismo „Ewangelista”, przysyłane tu gratis i różne gazetki adwentystów, dostarczane przez posłańców. Te ostatnie drukowano pięknie na wyszukanym papierze, czysta przyjemność przeglądać coś takiego i odpoczynek dla mojego słabnącego wzroku. Myślałem wtedy o moim przyjacielu z Klottran w Nordland, on powinien był wstąpić do tej potężnej społeczności adwentystów i przede wszystkim przestać chodzić boso. Ale on mówi, że musi wędrować samotnie.

Pewnego wieczoru siostra przełożona ze szpitala w Grimstad przyjechała do nas samochodem. Jej interes polegał na tym, by mi oddać fiński nóż!

Nie byłem jeszcze wtedy w stanie głębiej się nad niczym zastanawiać, stałem więc po prostu.

– Otóż – oświadczyła siostra – ten fiński nóż, który pan mi przysłał, nie należy do szpitala, nie możemy go więc zatrzymać. To bardzo piękny nóż, ale nie jest nasz.

– Mój też nie – odparłem.

– Powinien pan zapytać u siebie w domu – poradziła. – Nóż musiał być przysłany z Norholm.

Nie zapytałem w domu, nie byłem w stanie pytać.

\*

Dni mijają, miesiące mijają, a mnie wcale nie jest lepiej. Niektórzy umierają w naszym domu, mamy tu starców, w których śmierć może

przebierać, a więc niektórzy odchodzą, na ich miejsce przybywają inni, ale na nas, którzy zostajemy, nie robi to wrażenia, tak powinno być. Śnieg zniknął i nastąpiła wiosna, powolutku, powolutku nabieram większej ochoty do pracy, ale sił nie mam. Na listy w dalszym ciągu nie odpowiadam.

Tytoń jest w wolnej sprzedaży, ale nie ma się z czego cieszyć, bo w sklepach go nie uświadczysz. Czego ja chcę? Dlaczego jestem taki niezadowolony? Wiosna i lato mija, wszystko mija, ale, o, Boże, cóż za okropny stan! Fińskim nożem zaostrzyłem dwa ołówki, żeby być uzbrojonym do drobiazgowych wyjaśnień, ale jakoś mi nie idzie, Co mam w takim razie robić? Jestem jakby wywrócony na nice, na tym to polega, jestem umęczony sam sobą, nie mam żadnych pragnień, żadnych zainteresowań, żadnych radości. Cztery czy pięć zmysłów w uspieniu, a szósty został podmieniony.

Mogę za to dziękować prokuratorowi generalnemu.

\*

*Dom Starców w Grimstad  
23 lipca 1946 r.*

*Do Pana Prokuratora Generalnego w Oslo.*

*Miałem wątpliwości, czy powinienem pisać ten list. Na nic się on zapewne nie zda. A ja, w moim wieku, powinienem też mieć co innego do roboty. Usprawiedliwić może mnie jedynie to, że nie piszę z myślą o dniu dzisiejszym, piszę to dla tych, którzy może będą czytać po nas. Piszę dla naszych prawników.*

*Po kilku przenosinach z miejsca na miejsce ubiegłego lata zostałem 15 października umieszczony w Klinice Psychiatrycznej w Oslo. Powód tego pozostaje zagadką nie tylko dla mnie. Oficjalna nazwa zakładu brzmi: „dla psychicznie i nerwowo chorych”, lecz ja nie byłem ani nerwowo, ani psychicznie chory. Byłem starym człowiekiem, i byłem głuchy, ale dopisywało mi zdrowie i dobre samopoczucie, gdy zostałem wyrwany z normalnego życia, oderwany od mojej pracy i zamknięty. Powinno się może zapytać o podstawy tego samowolnego i*

*niezrozumiałego sposobu traktowania mnie przez Pana Prokuratora. Mógł Pan przecież mnie wezwać i porozmawiać ze mną przez chwilę, ale Pan tego nie uczynił. Mógł Pan postarać się o zaświadczenie lekarskie, czy wymagam zamknięcia, ale Pan tego nie uczynił. Lekarz okręgowy badał mnie przez dziesięć minut „tylko czysto fizycznie”, jak on to określa. Wspomnił coś o „nieco za wysokim ciśnieniu”, wspomnił coś o moich wylewach krwi do mózgu. Czy podwyższone ciśnienie może być przyczyną badań psychiatrycznych? Czy wylew krwi do mózgu, który nie pozostawił żadnych śladów w mojej psychice, może kwalifikować do zamknięcia? Ludzie, którzy przeszli wylew krwi do mózgu, nie należą do rzadkości. Zwapnienie żył nie jest ani wyjątkową, ani dziwną chorobą. Ja sam znam pewnego człowieka po wylewie, który ma dwa doktoraty. On jest dowodem na to, że wylew nie musi człowieka degradować.*

*Muszę przyjąć założenie, że moje nazwisko jest Panu Prokuratorowi nie znane. Mógł Pan jednak poszukać informacji tam, gdzie można je zdobyć. Ktoś by zapewne Panu opowiedział, że ja nie jestem całkiem nie znany w świecie psychologii, że w ciągu bardzo długiego życia twórczego stworzyłem wieleset postaci – stworzyłem ich zewnętrzne i wewnętrzne sylwetki jako ludzi żywych, obdarzonych uczuciami, pokazałem ich w różnych duchowych sytuacjach, w działaniu i marzeniach. Nie szukał Pan tych informacji o mnie, przekazał mi Pan bez, że tak powiem, oglądania, do zakładu i do profesora, który też nie miał żadnych informacji.*

*Przybył on uzbrojony, a jakże, w swoje podręczniki i swoje uczone dzieła, których wyuczył się na pamięć i z których pozdawał wszelkie egzaminy, ale to nie miało się nijak do mojego przypadku. Skoro prokurator okazał się niekompetentny, profesor powinien był natychmiast mnie stamtąd odesłać. Powinien był może się zawstydić, przy tej swojej fachowości, że spotyka się z zadaniem wykraczającym całkowicie poza jego kompetencje.*

*A poza tym – czemu to wszystko miało służyć? Czy chodziło o to, by ogłosić, że jestem chory umysłowo i tym samym nie odpowiadam za swoje postępowanie? Czy taką właśnie dobrą wolę chciał mi Pan Prokurator okazać? W takim razie prowadził Pan rachunki poza mną. Już w pierwszej chwili, dnia 23 czerwca, oświadczyłem u sędziego*

*śledczego, że ponoszę pełną odpowiedzialność za wszystko, co zrobiłem, i potem, przez cały czas, nieodmiennie ten punkt widzenia podtrzymywałem. Zdawałem sobie przecież sprawę z tego, że o ile będę mógł mówić nieskrepowanie, to przyczynię się do uznania mnie za niewinnego, przynajmniej w takim stopniu niewinnego, w jakim sam będę mógł to przyjąć, a sąd zechce zaakceptować. Wiedziałem, że jestem niewinny, głuchy i niewinny, poradziłbym sobie znakomicie podczas przesłuchania u prokuratora generalnego, wyłącznie dzięki temu, że mówiłbym prawdę.*

*Do takiej sytuacji jednak nie doszło, szansa została zniweczona tą mianowicie okolicznością, że przez całe miesiące byłem zamknięty, w niewoli, otoczony niechęcią, przymusem, zakazami, udręką, metodami inkwizycyjnymi. Jest dla mnie jasne, że zakład może wydawać piękne zaświadczenia, które mówią coś całkiem innego. Niech tak będzie. Nie wszyscy mamy taką samą wrażliwość, dobrze lub źle, ale reagujemy różnie w naszych zachowaniach. Niektórzy żyją, odpoczywają i pracują zrywami, oni nie mają nic przeciwko różnym wyskokom. Jeśli się zdarzy, że spłynie na nich łaska z nieba, to gotowi są w tej chwili góry przenosić, poza tym trwają sobie gdzieś w cieniu, wszystko jedno gdzie. Jeśli natomiast o mnie chodzi, to dziesięć razy bardziej wolałbym siedzieć zakuty w prawdziwym więzieniu, niż znosić udrękę przebywania razem z tymi mniej lub bardziej psychicznie cierpiącymi ludźmi w Klinice Psychiatrycznej.*

*Ale właśnie tu zostałem umieszczony.*

*Więźnia nie należy oszczędzać. Profesor pytał, a ja odpowiadałem, pisałem i pisałem, ponieważ jestem głuchy, starałem się z całych sił, by odpowiedzieć na wszystko. Pracowałem w nędznym świetle słabej żarówki umieszczonej wysoko pod sufitem, to były najciemniejsze miesiące roku i odczuwałem coraz bardziej, że mój wzrok słabnie, ale pisałem, żeby wiedza i fachowość nie roztrzaskały się o mnie niczym o rafę. Profesor żądał na przykład, bym się wytłumaczył z moich „dwóch małżeństw”, jak to nazwał. Odmówiłem, za pierwszym razem tak stanowczo, że myślałem, iż to wystarczy Ale to nie wystarczyło. Profesor powtarzał swoje niesłychane pytania, na piśmie i ustnie, jeszcze dwukrotnie, za każdym razem powoływał się na „władze”. Nie*

*odpowiedziałem mu ani słowa. To nie siebie chciałem chronić, ja chciałem się przeciwstawić temu niesłychanemu traktowaniu.*

*Ale profesor znalazł sposób. Postarał się o zezwolenie „władz”, by dowieźć moją żonę z Arendal do kliniki w Oslo na przesłuchanie. O rezultatach tego seansu można przeczytać na stronie 132 i następnych wielkiego opusu, który został przesłany do sądu.*

*Więźnia jednak mimo wszystko nie należy oszczędzać. Pod żadnym pozorem!*

*Kiedy w pewnym momencie już mi się wydawało, że dostrzegam koniec tych profesjonalnych zabiegów, profesor kazał mi przejść przez coś, co nazwał badaniem czy też próbą prawniczą. Wkrótce okazało się, że jest to dokładnie to samo, co już było. Pod każdym względem to samo, o co pytaliśmy i na co odpowiadaliśmy całymi miesiącami. Nawet ton się nie zmienił, żadnego nowego czy pogłębionego podejścia, żadnej różnicy, która mogłaby wskazywać, że pracujemy teraz nad poszerzeniem obrazu. Nic. Jedyne, czemu to mogło służyć, to przeciąganie sprawy na tygodnie i miesiące.*

*Ostatni raz odważyłem się spodziewać zakończenia, kiedy profesorowi przysłano trzy moje listy, bym się z nich wy tłumaczył. Listy miały 50 – pięćdziesiąt – lat i nie pisałem w nich o niczym nagannym, lecz o bardzo złym traktowaniu, ze strony policji w okresie osławionego Mossina, z powodu którego także i ja ucierpiałem. Teraz miałem znowu pisać, ponieważ jestem głuchy. Rzecz nie miała żadnego znaczenia, ani dla żywych, ani dla umarłych, epizod mógł służyć jedynie temu, żeby mnie jeszcze trochę podręczyć. Teraz doszedłem już jakoś do siebie, ale w ostatnich tygodniach dosłownie gonilem resztkami sił. Kiedy jeden z moich przyjaciół mnie odszukał i wyprowadził stamtąd, byłem jak galareta.*

*I na co to wszystko było? Prawo i wymiar sprawiedliwości, olbrzymi aparat. Powołanie przez sędziego śledczego dwóch zawczasu wyznaczonych psychiatrów, wożenie tam i z powrotem po całym kraju, pod nadzorem policji, reklama poprzez wizyty cudzoziemców, którym pokazywało się zamkniętą bestię, cztery miesiące po to, by poprzylepić etykiety do wszelkich możliwych stanów psychicznych, w jakich musiałem się znaleźć – i na koniec wyrok: Nie jestem i nie byłem chory*

*psychicznie, ale moje sity psychiczne wciąż słabną.*

*Niestety, tak. Słabną. A zostały brutalnie osłabione właśnie podczas tego pobytu w Klinice Psychiatrycznej.*

*Specjalistów było dwóch, ale jeden trzymał się – albo był trzymany – niemal zupełnie na uboczu. Widziałem dyrektora dwa razy, za każdym razem mniej więcej kwadrans, sprawiał wrażenie człowieka bystrego i bez przesądów, można było z nim rozmawiać. Popelnił tylko ten zaskakujący błąd, że podsunął mi pod nos sprawozdanie z mojej wizyty u Hitlera, podczas której miałem jakoby wygłaszać jakieś poglądy antyżydowskie. Ani wtedy, ani później nie przeczytałem tego sprawozdania, ani go nie uznałem. Ja miałbym dopuszczać się wystąpień przeciwko Żydom? Miałem na to wśród nich zbyt wielu dobrych przyjaciół, a oni także odnosili się do mnie zawsze z wielką przyjaźnią. Z całą życzliwością polecam dyrektorowi, żeby przejrzał moją zebraną produkcję literacką i przekonał się, czy są tam jakieś ataki na Żydów.*

*Jeśli określiłem profesora jako drugiego specjalistę, to oczywiście nie miałem zamiaru poddawać w wątpliwość jego kwalifikacji. Nie mam po temu żadnych przesłanek. On z pewnością zna się na rzeczy w swoim fachu, to znaczy zna się na swoich sprawach. Twierdzę jedynie, że te jego sprawy mnie nie dotyczą. Ani człowiek, ani jego geszeft nic mnie nie obchodzą.*

*Panie Prokuratorze! Jednocześnie z podaniem do publicznej wiadomości sądu specjalistów w mojej sprawie pozwolił Pan przekazać wyjaśnienie, że zamyka Pan sprawę sądową przeciwko mnie i rezygnuje z oskarżenia.*

*Proszę mi wybaczyć, ale tutaj znowu działa Pan poza mną. Nie pomyślał Pan, że ja mogę być niezadowolony z takiego postanowienia. Zapomniał Pan, że ja u sędziego śledczego i zawsze potem powtarzałem, że gotów jestem ponieść odpowiedzialność za to, co zrobiłem, i oczekiwałem sądu. Pańska pochopna interwencja sprawiła, że jestem teraz zawieszony pomiędzy niebem i ziemią, a moja sprawa mimo wszystko nie została rozstrzygnięta. Druga część mojej sprawy czeka na rozpatrzenie. Pan sądził, że to będzie dla mnie przysługa, ale ja tak nie uważam i wierzę, że są ludzie, którzy przyznają mi rację. Do niedawna nie byłem byle kim, ani tu w Norwegii, ani na świecie, i nie odpowiada*

*mi taka sytuacja, że przez resztę moich dni miałbym korzystać ze swego rodzaju amnestii, udzielonej mi przez Pana, bez ponoszenia odpowiedzialności za moje postęпки.*

*Ale Pan, Panie Prokuratorze, wytrącił mi broń z ręki.*

*Pan zapewne sądzi, że teraz – już po wszystkim – naprawił Pan decyzję postawienia mnie przed sądem. To niczego nie naprawi, zostałem wytrącony z ustalonej i właściwej dla mnie pozycji. Co więc teraz z tym Pańskim zamknięciem sprawy przeciwko mnie" i Pańską „rezygnacją z oskarżenia”? Pozwala Pan swoim prawnikom i urzędnikom udzielać wywiadów w mojej sprawie przy każdej zmianie sytuacji, używa mnie Pan jako królika doświadczalnego dla Pańskiej osobliwej techniki wymiaru sprawiedliwości. Moim zdaniem, Pan powinien był inaczej postępować już w pierwszej instancji, to może nie musiałby Pan przyjmować dyrektyw dla swoich działań od dziennikarzy i prasy. I, na koniec, co zamierza Pan zrobić z moją czteromiesięczną udawką w Klinice Psychiatrycznej? Mam to tak przyjąć gratis z Pańskich rąk? Mam to potraktować jako zaliczkę kary na dodatek do tej, która nastąpi?*

*Gdybym miał do tego prawo, to chciałbym występować o uniewinnienie w sądzie wyższej instancji. To nie jest taka wydumana idea, jak Pan być może sądzi. Zachowałem jeszcze resztkę moich „wciąż słabnących sił psychicznych” i chciałbym je przede wszystkim wykorzystać na omówienie materiału sprawy, a potem zwrócić się do sądu, by ją rozpatrzył, kierując się sprawiedliwością, niczym więcej, tylko sprawiedliwością.*

*Ale zarzuciłem ten plan, straciłem odwagę. Nawet uzyskanie pozytywnego rezultatu w sądzie nie naprawi tego, co spowodowało w opinii publicznej zatrzymanie sprawy w połowie. Znowu stałbym się królikiem doświadczalnym.*

*Z poważaniem*

*\**

*Lato mija. Nie odczuwam właściwie większej różnicy pomiędzy porami roku, jakby nie następowały po sobie i nie trwały po parę*



miesiące każda, czas stał się nieokreślony i lato przepłynęło jakoś obok mnie.

Coś się jednak wokół mnie dzieje. Nie piszę książki, ani też dziennika, niech Bóg broni, przeskakuję w czasie i przestrzeni, nie rejestruję dokładnie wydarzeń. A jednak coś przenika do mnie z otaczającego świata. Dawna kierowniczką domu wyjechała, a na jej miejsce przybyła nowa. Jedna z tych dwóch piękności w biurze na dole opuściła nas, ale mamy już inną. Nasz dom starców też bardzo już podupadł i zamierzamy budować nowy.

To nie są drobiazgi. Widzę po nas, starcach, że mamy nareszcie coś poważnego, żeby pogadać; będziemy mieć łaźnię, pralnię, szpital, piekarnię, kurnik, szopy na drewno, a także pokoje dla jakichś dwudziestu, trzydziestu osób pod jednym dachem. Nigdy przedtem nie słyszeliśmy o takich wygodach i naszą wyobraźnię ogarnia ożywienie, jakiego nie odczuwaliśmy od czasów młodości. Niektórzy próbują bronić starego domu, nie mieliśmy w nim wcale tak źle, nie, a poza tym, czyż nie taki był zamiar, że mamy tu mieszkać, dopóki nie pomrzemy? Tak, naturalnie. Ale, z drugiej strony, powinniśmy korzystać ze wszystkiego, co możliwe, do ostatniej chwili. Czyż nie należy iść z czasem, czy nie dobrze jest zmodernizować trochę nasz dom? Poczekajcie tylko, przywykniemy bez trudu do tych nowych udogodnień, szybko uznamy je za niezbędne i będziemy umierać z cygarem w gębie.

Oczywiście, że umrzemy. Ale jeszcze nie teraz, powiada Augustyn.

\*

Wychodzę i kupuję sznurowadła. Są zbyt długie, mógłbym nimi trzy razy owinać nogę, ale nic na to nie poradzę. Dostrzegam człowieka, który buduje na zboczu dom. Wstyd nawet patrzeć, on kładzie swój nowy dach krzywo, na resztkach starego, który ma pozostać na miejscu. A może to ja widzę tak krzywo, ponieważ stoję niżej na drodze? Ten człowiek pracował na budowach w Ameryce, więc chyba wie, co robi. Ale nie mam odwagi zebrać się, żeby pójść i sprawdzić, który z nas się

myli. Tak bym zrobił w ubiegłym roku, zanim jeszcze wpadłem w ręce doktorów.

Długo rozmyślałem o tym, żeby pod jesień zreperować swoje kalosze. Pochodzą z czasów pierwszej wojny światowej, ale podeszwy mają jeszcze dobre, tylko prawy kalosz jest rozdarty i nie trzyma się na nodze. Męczyłem się z nim latami, ale teraz jest już zupełnie źle, potknąłem się przez niego i musiałem przynieść go do domu w ręce. Ten kalosz zaczyna być dla mnie udawką. Zszywam rozdarcie dobrą, mocną wełnianą włóczką, ale to na nic, guma rwie się w szwach i jest jeszcze gorzej. Nie ma już właściwie nic więcej do powiedzenia na ten temat, ale to były dobre kalosze, nosiłem je w wielu krajach, nawet z tym rozdarciem, towarzyszyły mi do Wiednia, i do Hitlera wiadomego razu. Teraz powinienem je wyrzucić, ale nie za daleko, bo moim butom potrzebne są ich grube podeszwy. Jedno należy do drugiego. W końcu obwiązałem kalosz sznurowadłem.

\*

Jeden, dwa, trzy, cztery – siedzę tak sobie i notuję, i piszę krótkie opowiadania dla samego siebie. Bez żadnego celu, tylko z dawnego przyzwyczajenia. Bawię się ładnymi słówkami.

Jestem jak kapiący kran, jeden, dwa, trzy, cztery...

Czy to prawda, że istnieje gwiazda, która nazywa się Mira? Powinienem sprawdzić, ale nie mam gdzie. Nie szkodzi, to wszystko jedno. Mira jest gwiazdą, która pojawia się, poświeci trochę i znika. To cały tok życia. O, człowieku, myślę tu o tobie. Ze wszystkiego, co żyje na świecie, ty jeden rodzisz się właściwie po nic. Nie jesteś ani dobry, ani zły, zostałeś stworzony bez określonego celu. Przychodzisz z mgły i odchodzisz znowu w mgłę, jesteś taki wzruszająco niedoskonały. O, człowieku, jeśli tylko dosiędziesz wyjątkowego konia, to on już nigdy potem wyjątkowym nie będzie. I tak stale, dzień za dniem, powoli...

Czy potrafisz odpuścić, zakopać swoją nienawiść w ziemi pod spojrzeniem czyichś dwojga oczu? Wobec dwojga oczu, w które popatrzyłeś? Na to cię nie stać!

Właśnie teraz wydobywa się z otchłani nowy, budzący nadzieję

ród. Dopiero co przyszedł na świat, czytam o nim, ale nie znam żadnych imion, to zresztą bez znaczenia. Ludzie są jak błędne światełka, wszyscy bez wyjątku, pojawiają się, poświęcą trochę i znikają. Przychodzą i odchodzą, tak jak ja przyszedłem i odchodzę.

\*

Miałem kiedyś w Hamraya wuja, zatwardziały stary kawaler, skąpy i zły, małomówny, tak zwany tęgi łeb i zamożny człowiek. Nie był żadną osobistością, ale miał dom w starej plebanii i prowadził urząd pocztowy dla całej parafii – w tamtych czasach nie było tak jak teraz, poczta w co dziesiątym domu. Mój wuj był na swój sposób interesującym człowiekiem, kupił duży dom z przynależnymi do niego zabudowaniami, w samej plebanii. Jak do tego doszedł, nie wiem, ale pastor, który pewnie był zmuszony do tego handlu, nazywał się Bent Frederik Hansen i przeniósł się potem do Orlandet. Po nim przyszedł do nas do Hamaroy Frederik Motzfeldt Raum Fladmark, który od nas wyjechał do Nordre Odalen. Ostatnim był Christian Engebret Nicolaisen, ale nie wiem, co się z nim stało, bo wyjechałem i straciłem go z oczu. Przez cały czas jednak mój wuj mieszkał w swoim dużym domu, który wraz z przyległościami kupił od plebanii.

Oprócz poczty prowadził także bibliotekę publiczną, którą zresztą podźwignął z najgorszego upadku, handlował trochę gdzie się dało, kupował książki na wyprzedazach na południu, pisał też sam do księgarzy i zamawiał książki do biblioteki według własnego gustu. Nikogo o to nie pytał. Jego gospodyni miała na imię Sissel, była pewnie dobrą kobietą, ale głodziła mnie przez wiele lat.

Za moich czasów wuj nie był jeszcze starym człowiekiem, ale cierpiał na jakiś postępujący paraliż rąk i nie mógł pisać. Miałem osiem lat, kiedy u niego zamieszkałem, i zostałem wytresowany jako jego pisarz, pisałem za niego wszystko. Odbywało się to w atmosferze okrutnej dyscypliny. On sam leżał całymi dniami w ubraniu na tak zwanej kozetce i był coraz bardziej i bardziej nieporadny.

Wszystko to nie ma znaczenia.

Ale pewnego dnia, mogłem wtedy mieć około dziesięciu lat, na

pocztę przyszedł jakiś bardzo ciemny, wysoki mężczyzna, po prostu olbrzym. Patrzyłem na niego zdumiony, on zaś podał mi list i cztery szylingi na znaczek.

Wuj zaczął rozmawiać z przybyłym, nazywał się on Hans Paulsen Torpeland i właściwie mieszkał w sąsiedniej parafii Tysfjord, ale przychodził do naszego urzędu, bo tu miał bliżej.

– Cóż, jest się dzisiaj w drodze? – zagaduje wuj.

– Tak. Z krótkim listem do mojego syna w Kristianii.

– Czytałem o nim – powiada wuj.

– No – wzdycha ojciec. – Ja też o nim czytałem, ale mało co z tego rozumiem.

– Tak to już jest.

– Jego matka tak się cieszyła, że on tu wróci wyuczony na pastora. Ale tak nie zrobił.

Wuj odparł ze swojej kozetki:

– On się wyuczył na coś więcej niż na pastora! Nie wiem, skąd się wujowi wzięła ta odpowiedź, najpewniej z gazet i książek, w których szperał. Ale ten obiecujący syn w Kristianii, kim on był? To Paul Botten-Hansen. Ni mniej, ni więcej. Należał do najwybitniejszych Norwegów swoich czasów.

Mój ojciec także miał kiedyś obiecującego syna.

A niemałych starań wymaga taki obiecujący. Ale nie popadajmy w tragizm, my, którzyśmy zawiedli. Nie warto.

\*

W zaniedbanym ogrodzie koło sąsiedniego domu rośnie mała jodełka. Cóż ona może mnie obchodzić? Dlatego ledwo spoglądam w jej stronę. Naturalnie jodełka ma się tam źle i chyba skazana jest na śmierć. A jest taka śliczna, i mała, jakiś metr wysokości, i prosta jak świeca, ale obok rośnie potężna topola, rzuca na nią cień, dzień i noc sypie liście na wierzchołek, nie daje jej ani chwili spokoju. Żebyż ona nie stała mi na drodze, ale nie ma żadnego innego przejścia, i żebyż nie była taka bezradna... Ale co tam, nie wzrusza mnie to. Ponieważ jodełka nic mnie nie obchodzi, więc tylko po kryjomu podchodzę do niej w ciemne

jesienne wieczory i zgarniam topolowe liście i gałązki, żeby miała trochę spokoju w nocy. Rankami jednak widzę nowe liście i nowe gałązki, zresztą nie sięgam dostatecznie wysoko. Znalazłem sobie skrzynkę, na której mógłbym stanąć, ale światła palą się we wszystkich oknach i jakiś pies warczy. Dlaczego by nie pójść w blasku dnia i raz na zawsze nie oczyścić drzewka z liści i gałązek? Tak bym zrobił w ubiegłym roku. Ale wtedy jeszcze mnie tu nie było, jeszcze nikt nie stosował wobec mnie przymusu.

Jakie to wszystko beznadziejne.

Wypatruję sąsiada, witam się i mówię:

– Powinien pan obciąć gałęzie z topoli, żeby uratować tę jodełkę!

Nie odpowiada, pewnie czytał w gazetach, że trzeba mnie było poddać badaniom psychiatrycznym.

– Żal mi tej jodełki – mówię.

Wtedy on uśmiecha się krzywo, spoglądając w górę, ku otwartemu oknu, i odchodzi.

W mojej beczynności mam czas, żeby w ciemne wieczory wyjść i zgarnąć trochę liści i gałązek, ale nie sięgam do wierzchołka, a wiatr strząsa na dół nowe liście i nowe gałązki. To naprawdę beznadziejne.

Pewnego ranka przychodzi jakiś człowiek z siekierą i piłą i zaczyna obcinać gałęzie z topoli, od dołu do góry. Nic mnie to, jak mówiłem, nie obchodzi, ale on pewnie dostał polecenie, obcina przy okazji także gałęzie z kilku innych liściastych drzew. Stara się.

Czy był ktoś po tamtej stronie okna i słyszał moją rozmowę z gospodarzem kilka dni temu? I widział jego krzywy uśmiech? Domyślam się, że to żona.

O, ale cóż z tego, dopiero wiosną okaże się, czy wierzchołek jodełki przetrwał. Trzeba długo czekać.

Ktoś mnie woła, słyszę to...

Ale to nieprawda, zwykły wymysł. Chcę sam sobie wydawać się interesujący. To zaniedbanie z mojej strony, że nie wyznałem psychiatrom tej drobnej przywary, daliby mi na to jakąś piękną nazwę. Siedzę oto zdrowy, zadowolony i świadomie oszukuję sam siebie. To musi być co najmniej schizofrenia.

Wyobrażać sobie, że ktoś mógłby mnie zawołać, to głupie żarty, a

już naprawdę przesada, że sam to sobie wymyślam, nie ścierpiałbym tego u nikogo innego. Nikt mnie nie wołał, ale ja udaję, że tak właśnie było.

Dlaczego to robię? Myśli płyną niepowstrzymanie. Traktuję to jako ćwiczenie, robię to, by podźwignąć się z depresji po Klinice Psychiatrycznej. W miarę upływu czasu depresja trochę zelżała, ale całkiem ustąpić nie chce. Byłem już za stary, kiedy poddano mnie temu eksperymentowi, trzeba czasu, by dojść do siebie. Muszę liczyć tylko na moją prostacką odporność i na mój chłopski rozsądek.

Czy wziąłem to tak całkiem z powietrza, to, że ktoś mnie wołał? Należałoby wrócić do kilku pytań profesora Langfeldta: Czy miałem kiedyś jakieś niezwykle przeżycia? Może coś ponadnaturalnego? Wtedy ja z całą prostodusznością zacząłem rekonstruować pewne bardzo głębokie i piękne przeżycie z dzieciństwa, ale mi się to nie udało, a dla niego to wszystko było grą, on niczego nie rozumiał. Ale czy pan coś słyszał? – nalegał. Nie odpowiedziałem. Nie chciało mi się.

Zapewne wspomnienie tamtego seansu spowodowało przywidzenie, że ktoś mnie woła. Nie potrafię powiedzieć na ten temat nic głębszego.

Ale zdołałem w końcu wyjaśnić zagadkę fińskiego noża, tu na ziemskim padole. A to już coś. Przyszło to na mnie nagle i nieoczekiwanie. O, my, ułomni ludzie, naprawdę niewiele widzimy, niczego nie pojmujemy, tak mało przeczuwamy. Powinienem był to od dawna wiedzieć, ale oczywiście nie wiedziałem.

Kiedy Stevenson schronił się na swojej południowej wyspie i pisał, słyszał w sobie głos Boży. Ale nie pytał, nie szukał wyjaśnienia w książkach, był geniuszem, miewał objawienia. Był chory, ale uważał się za zdrowego w bożym szaleństwie. Zaczął czytać o nas, ludziach epoki betonu, i umarł na wylew, szlag go trafił.

Otóż fiński nóż jest mój, dostałem go bardzo dawno temu od naczelnika poczty Erika Frydenlunda z Aurdal. Szkoda tylko, że nie miałem tego dobrego noża, kiedy w ciemne jesienne wieczory wychodziłem, żeby odgarniać liście i gałązki.

Ale jakim sposobem ten nóż dostał się ze mną w tajemnicy do szpitala w Grimstad? To bardzo prosta historia: Mały Esben był przecież

z nami i tak bardzo się interesował tym dużym i niezwykłym nożem, że jego matka nie miała innej rady, jak ukryć nóż. I tak zrobiła, schowała go wśród moich rzeczy. A potem, kiedy wyjeżdżała, zapomniała, naturalnie, mi o tym powiedzieć.

Skoro piszę o tym nożu, to warto przy okazji wspomnieć o innej sprawie: Dostałem nowe kalosze. Stroją mnie ci moi domownicy, musieli pewnie złożyć razem wszystkie swoje oszczędności i dobrze wytrząsnąć trzosi.

Ja jednak nie potrzebuję nowych kaloszy. Powiązałem te stare o grubych podeszwach i chodzę w nich od wielu miesięcy. Do czego innego zresztą mógłbym użyć tych zbyt długich sznurowadeł? I na szczęście one się do tego znakomicie nadają, wcale nie widać, że kalosze są obwiązane.

Nie mam zamiaru używać nowych kaloszy.

\*

Żeby już wreszcie ta zima minęła. Żeby już minęła, na Boga!

Mój wzrok znacznie osłabł. To dla mnie coś nowego, nie widzieć dobrze, i początkowo myślałem, że to piasek, myślałem, że coś mi wpadło do oczu. Mam przy sobie moje znakomite okulary, przez które jeszcze kilka miesięcy temu widziałem tak dobrze. I co, teraz są złe?

Pojechałem samochodem do okulisty. Proszę posłuchać, mówię: Nie widzę wyraźnie, nie mogę czytać jak dawniej, nie mogę nawlec igły, co to za dziwna choroba, czy coś złego stało się z obydwojoma moimi oczami na raz? Nie dostaję na to poważniejszej odpowiedzi, doktor pokazuje mi jakieś robaczki, białe linie i czerwone linie, litery i cyfry. Jest chyba coś niedobrego z lewym okiem, informuję go. Doktor nie odpowiada. Złości mnie to, więc dodaję: Kiedy zasłaniam lewe oko, to mogę czytać duże, wyraźne pismo, ale kiedy robię odwrotnie i zasłaniam prawe oko, widzę tylko czarną plamę. Hm – powiada doktor. To złości mnie jeszcze bardziej i zdecydowanie oświadczam, że to na pewno coś z lewym okiem! Mogę panu zapisać dwuogniskowe okulary, powiada na koniec. Oczywiście mogę używać dwuogniskowych okularów, mówię, istnieje przecież coś, co nazywa się dwuogniskowa

lornetka i widzi się przez to niesłychanie daleko. Nie sądzę byśmy mogli zrobić dla pan coś więcej, mówi doktor i kłania się.

Coś takiego! Wracam do domu samochodem, jestem zdesperowany, jestem zły na okulistę i nie wierzę mu, nie wierzę ani trochę.

Za to mam teraz wymówkę, żeby się wybrać do Oslo. Boże Narodzenie za pasem, muszę się spieszyć. Ponieważ nie mogę przez dwanaście godzin siedzieć, wyprostowany, w pociągu, dowiaduję się dokładnie, kiedy odchodzi statek i wyruszam w drogę. Sprawy toczą się gładko, wszyscy mi pomagają, zresztą na statku jestem w swoim żywiole, mężczyzna w najlepszych latach. Wszystko zostało dla mnie przygotowane, jestem w Oslo, idę do hotelu, dostaję jeść, golę się i idę do okulisty.

Tu zaczynają się kłopoty. Jest szary dzień, popaduje deszcz, ulice są niespokojne, a ja niedowidzę. Wchodzę na trzecie piętro jakiegoś domu, potem znowu schodzę na dół. Podejrzewam, że pomyliłem domy, stoję na ulicy i odczytuję numery. Nagle kłania mi się jakiś pan. Idzie w towarzystwie młodej pani.

– Czy mógłbym w czymś pomóc? – pyta.

– Nie, dziękuję, rozglądam się za wejściem do okulisty – odpowiadam.

– Tam! – pokazuje.

Pani się uśmiecha.

– Że też się panu chce pokazywać obcemu drogę w taką pogodę – powiadam.

Pani uśmiecha się jeszcze bardziej.

– Ja pana poznałem – mówi on.

Dziękuję bardzo serdecznie i wchodzę do domu. Przecież już tu byłem... Tym razem rozglądam się uważnie na każdym piętrze, odczytuję wizytówki i odnajduję lekarza. W poczekalni są przede mną jeszcze trzy osoby.

Z przyzwyczajenia zabieram się do przeglądania gazet i pism, ale nie widzę wiele. Muszę czekać. Pacjenci wychodzą, a potem wchodzą znowu, zmieniają się, pojawia się pielęgniarka, żeby mnie uspokoić, że jeszcze muszę poczekać, ale to już nie potrwa długo.



Ja jednak jestem spokojny, wkrótce przecież odzyskam wzrok. To nader uprzejme ze strony tego pana i pani, że pomogli mi przy takiej paskudnej pogodzie. Jedna z pacjentek coś do mnie mówi, ale ja jestem głuchy i tylko kiwam głową, ona wciąż coś mówi, a ja wskazuję na uszy, że słyszę byle jak ostatnio, ale ze wzrokiem to właściwie nic mi nie jest, jakieś drobne kłopoty z lewym okiem. Jestem w dobrym humorze i tłumaczę jej to z ożywieniem. W końcu dama musiała chyba nabrać podejrzeń co do sprawności reszty moich zmysłów, bo zostawia mnie w spokoju. Trwa jeszcze dosyć długo, nim zostaję wezwany. Dama napisała tymczasem coś na kartce i podsuwa mi pod oczy, dziękuje mi za książki, czy coś...

U lekarza próbujemy wszystkiego po trochu, ale jest to miły człowiek, oszczędza mi liter i czerwonych linii. Wypróbujemy szkła i lupy, muszę ponownie przejść się do poczekalni, ale wtedy właśnie jest kolej tej obcej pani, tak że już jej nie spotykam.

Później u lekarza idzie szybko. Radzi mi, żebym pisał wiersze. Wiersze? Ależ ja nie umiem, nigdy nie umiałem. I dlaczego miałbym pisać wiersze? Ja przecież w ogóle już nie piszę. Przestałem wiele lat temu. Byłoby natomiast zabawne odzyskać wzrok, móc znowu czytać i w ogóle. Tak, no, owszem. Lekarz zatelefonował do Optikusa i zamówił coś na styczeń, będę musiał czekać.

– Ale czy doktor nie mógłby mi od razu dać jakichś okularów? – zapytałem.

– Proszę mi pokazać swoje okulary. To powinny być dobre szkła – powiedział.

– O, znakomite – odparłem. – Jeszcze kilka miesięcy temu widziałem przez nie tak dobrze jak w latach młodości, ale teraz powinienem chyba mieć nowe, może trochę mocniejsze, sam nie wiem.

Doktor wypisał receptę, ledwie na nią spojrzałem, będzie do zrealizowania w styczniu. Okularów nie dostałem, dał mi natomiast coś dziwnego, o co nie prosiłem: receptę na ręczną lupę i butelkę jodu! Powinienem tylko pójść do jakiegokolwiek apteki i natychmiast wykupić jod, powiedział. Kiedy chciałem zapłacić, odsunął mnie ręką i odwrócił się do biurka.

Zatem wróciłem do hotelu z butelką jodu i receptą na lupę, którą

należało odebrać w Optikusie w styczniu. Wzroku nie odzyskałem nawet na jotę.

Dziwni ludzie ci okuliści. Zrobili na mnie niedobre wrażenie.

Poza tym jednak pobyt w Oslo był samą przyjemnością i radością, najmiłsze Boże Narodzenie, jakie kiedykolwiek przeżyłem w hotelu. Robiłem wycieczki, odwiedzałem dzieci i wnuki, bywałem na wystawach, robiłem zakupy i oglądałem znowu Oslo po całych wiekach niewidzenia. Wiele rzeczy było dla mnie obcych, komunikacja autobusowa, wszystkie restauracje, jakaś całkiem nie znana młodość życia, odczuwana przez całe dni i wieczory. Podczas moich wycieczek wszyscy byli uprzejmi i chętni do pomocy, chcieli ustępować mi miejsca, oddawać swoje gazety, a gdy widzieli, że zamierzam wysiadać, chcieli otwierać mi drzwi, ale ja byłem konduktorem w tramwajach w Chicago, więc umiem radzić sobie sam. W ogóle nie odczuwałem niczego w rodzaju chłodnej uprzejmości wobec siebie, choć przecież w dalszym ciągu byłem więźniem. Jakaś młoda dama zatrzymała mnie pośrodku ulicy Karla Johana, mówiła coś, śmiała się i zarzuciła mi ręce na szyję. Pamiętam, że miała piwne oczy. Pewien pan z plecakiem powiedział do mnie:

– Jak można chodzić bez kaloszy po tym błocie? Proszę iść ze mną, dostanie pan kalosze!

Ciągnął mnie, zdecydowanie chciał mnie ze sobą zabrać. Kiedy zaczęło mnie to już męczyć, podziękowałem mu i poszedłem do hotelu.

Statki w okresie świątecznym były przepełnione, musiałem długo czekać, nim ktoś zrezygnuje, a ktoś inny załatwi mi rezerwację. Dopiero po dziesięciu dniach wróciłem do domu starców.

\*

Mam okropny nieporządek w swoich rzeczach, nie odpowiedziałem na listy, nie podziękowałem za kwiaty, ani drobne prezenty i kartki z pozdrowieniami. Już drugi rok nie wysyłam podziękowań mojemu dobremu wydawcy w Barcelonie, a on nigdy nie zapomina o telegramie z życzeniami szczęścia na Nowy Rok. W walizce leży stos listów z zagranicy, jeszcze więcej czeka od ubiegłego roku.

Oni nie wiedzą, że ja tu siedzę, nie mogliby sobie wyobrazić, że nie znalazło się dla mnie miejsce przy „zmianie systemu”. Ale ja mogę.

Dni mijają.

W dalszym ciągu nie bardzo pojmuję to, co się dzieje na świecie, czytam gazety, studiuję depesze, ale nie jestem dość pojętny, muszę mieć więcej czasu. Wyprawa do Oslo zrobiła mi bardzo dobrze, choć na oczy mi wiele nie pomogli. Poskramiamy zwierzę domowe łagodnością, dajemy mu więcej swobody i zostawiamy je. W porządku, zwierzę zostało poskromione. Mimo wszystko powinienem jednak być wdzięczny za tę oficjalną łagodność, która pozwoliła mi odbyć podróż do Oslo, byłoby znacznie gorzej, gdyby do niej nie doszło. Wydarzyło się przecież tak wiele. Nie byłem wspaniałym starcem, na którego miło popatrzeć, nie, a jednak ta dama na Karl Johan mnie objęła. I nie byłem też obdartym człowiekiem, miałem na sobie ładny płaszcz, a jednak tamten pan chciał mi dać kalosze. A oprócz nich dwojga niezliczone osoby okazały mi życzliwość. Nie jestem przez ludzi znienawidzony ani ignorowany. I dobrze jest o tym wiedzieć. Mogli przecież okazywać mi po prostu obojętność. Jestem taki stary.

\*

Pośród rzeczy, których nie mogę pojąć, jest i to, dlaczego pisujący do gazet wciąż interesują się moją „sprawą” i starają się nią zainteresować publiczność, i dlaczego ta sprawa wciąż jest odraczana.

W ubiegłym roku latem była odraczana co najmniej trzy razy. I niczego nie zmieniło to, że I maja 1946 roku dostałem uroczyste wezwanie do sądu, uroczyście wręczone mi przez policję w Grimstad. Nie zmieniło się nic, sprawa została po prostu odroczone do jesieni, do września! Niezły skok, trzeba przyznać. Ale, za przeproszeniem, teraz znowu sprawa została przełożona z września 46 na marzec 47. To już prawdziwa komedia, cyrk po prostu. Przestaję to zapisywać.

Czy może nie wypełniałem wszystkiego starannie i nie podporządkowywałem się sądowi pierwszej instancji? Ale dokądkolwiek się zwróciłem, wszędzie było tylko zamieszanie i nieustanne zmiany personalne. Najpierw odszedł prokurator generalny,

potem przewodniczący sądu przysięgłych zrezygnował i wrócił na swoje dawne stanowisko asesora. Potem pewnego dnia opuścił nas prokurator okręgowy i został sędzią w sąsiednim dystrykcie. Raz po raz informowano mnie, że moja sprawa jest już „gotowa”. Nie została tylko przekazana do sądu.

Zastanawiam się i zastanawiam, próbuję ustalić, czy przypadkiem dla procedury sądowej nie wynika jakiś pożytek z tych moich „odroczeń”. Czy to możliwe, że ktoś spekuluje na moim wieku i wyczekuje, aż umrę „sam z siebie”? W takim razie jednak sprawa pozostałaby już na wieki nie rozstrzygnięta, więc co to za pożytek? Czy nie lepiej byłoby coś ze mną zrobić, póki jeszcze żyję? Poza tym to musi być coś okropnie męczącego, coś, co zdaje się nie mieć końca, tak czekać na czyjąś śmierć. Niektórzy spadkobiercy mogliby coś o tym powiedzieć.

Boganis opowiada o pewnym psie, który zgubił trop, ale odzyskał czucie po długim skoku przez szeroką rozpadlinę i po prostu kontynuował pościg. Tak właśnie było, po prostu kontynuował.

Jest więcej takich, którzy po prostu kontynuują: Ostatnie odroczenie mojej sprawy opiewało na marzec 47, prawda? Teraz właśnie mamy marzec 47, ba, zaraz będzie kwiecień, ale oto dzisiaj czytam, że sprawa została odroczone „do lata”! Nie robię z tego wielkiej historii, po prostu kiwam głową, już to znam. Po 47 nadejdzie 48. Domowe zwierzę zostało poskromione.

Może być i tak, że od teraz praktyczniej będzie odraczać moją sprawę od razu na okresy półroczne lub roczne. Bo inaczej to jak w nadchodzących latach władze sobie poradzą z moim uporczywym trzymaniem się życia? Głupi żart, dla odprężenia.

Tym razem winę zrzuca się na Sąd Najwyższy, że to Sąd Najwyższy nie uporał się z moją sprawą. Dobrze jest mieć kogoś nietykalnego, na kogo można zrzucać winę.

\*

Czy mi się zdaje, czy naprawdę dawniej życie było dla nas, ludzi, jakieś radośniejsze? Wiem, oczywiście, że to źle postawione pytanie, i

źle zapisane, ale robię to świadomie, coś to we mnie porusza, nie wiem co, może uporczywość moich własnych wad... Świadoma bezradność, biblijna zaraza.

Przypominają mi się słowa Bunyana: „Przybyłem tutaj, a szedłem przez wiele krajobrazów”. Na tym kończy się moje całe wspomnienie o Bunyanie. Ale zapisałem to ze względu na słodką przesadę wyrażenia. Cudowny przypadek niedoskonałości!

Pewien Lapończyk z gór przyszedł w doliny, zobaczył lasy i zielone pola, przyjrzał się wszystkiemu i rzekł: To jest takie piękne, że aż muszę się śmiać! Tak można powiedzieć w pieśni, ale to było więcej niż pieśń. Sela! powiada Dawid. Nie wiem, co należy rozumieć przez sela, ale Dawid tak mówi. I to jest piękne.

Niech Bóg błogosławi wszystko, co nie jest jedynie pospolitą mową ludzką, którą możemy bez trudu rozumieć. Także cisza jest błogosławiona przez Boga.

Niekiedy w czasie wojny, patrząc na innych, mogłem się zorientować, że strzelają. Ale samej kanonady nie słyszałem, może dlatego, że to było daleko. Miałem pożytek ze swojej głuchoty, ale tylko dopóty, dopóki nie chodziło o strzały z pistoletu albo dubeltówki, wtedy moja głuchota, mówiąc po prostu, była głównianą pomocą. Pojedyncze wystrzały słyszę jeszcze i teraz, a nawet powolne stukanie palcem w drzwi, nie słyszę natomiast rozmowy, jest to dla mnie tylko nieuchwytny brzęczenie. Od tak dawna wszyscy w mojej obecności milczą, że sam zapomniałem rozmawiać, od dawna jestem sam, dawniej widziałem dobrze, ale nie słyszałem. Zbliżyłem się do tego, co niektórzy ludzie Wschodu nazywają niezbędnym milczeniem. Nie rozmawiam też już sam ze sobą – z braku złych przyzwyczajeń.

Ale teraz nie widzę już tak jak dawniej, to jest gorsze niż głuchota. Miałem co prawda w styczniu dostać ręczną lupe, no i, chociaż mamy już wiosnę, niczego nie dostałem.

Ale, dzięki Bogu, jest wiosna!

Przechodzę obok małej jodełki, która tkwi prawie cała w śniegu, ale jest. Przechodzę i nie zatrzymuję się ani na chwilę pod oknami, mówię sobie, że przecież nie, długo jeszcze niczego nie będzie po drzewku widać, idź po prostu dalej. Ale, naturalnie, każdy człowiek

widzi już w marcu, że wierzchołek jodełki żyje!

Za trzydzieści lat będzie to wielka sosna, potężne drzewo!

Jak tu biednie, jeśli chodzi o małe ptaki! Zima była ciężka i wiele pewno zginęło, koło zabudowań należących do domu starców przeleci tylko czasem jakaś chuda wrona albo sroka. Któregoś dnia zdawało mi się, że widzę spóźnionego zwiastuna wiosny, ale ponieważ niedowidzę, nie mogę stwierdzić czy to był kos, czy czarny drozd, który przezimował. Tak czy owak ryzykuje tutaj życiem, w domu starców są cztery tłuste koty.

\*

Kiedy wychodzę na swoje codzienne spacerunki, zdarza się, że spotykam małego, żółtego pieska, który pozwala się zagadywać, a nawet głaskać. Poza tym nie widuję innych oznak życia po drodze. Bardzo mi odpowiada, że mogę być sam, i nie muszę się ciągle dopytywać, co ludzie do mnie mówią. Śnieg powoli topnieje na przydrożnych kamieniach, które znam już z ubiegłego roku, słońce robi się ciepłe i przyjazne, wszędzie ukazują się spod śniegu wąskie leśne ścieżki. Myślę o Martinie z Klottran w Hamaroy, to już rok, a może nawet półtora, jak przyszedł do mnie tu w lesie, on także musiał chodzić sam, ale on ma jakiś cel, w przeciwieństwie do mnie. On wędruje po kraju i modli się do Boga.

Porusza się jakaś gałązka, na której siedzi mały ptaszek. Na innej gałązce, na drugim drzewie, siedzi jeszcze jeden ptaszek, widać, że są razem, para wróbli, które podlatują do siebie, spotykają się i rozstają tuż przy mojej twarzy przynajmniej pięciokrotnie. To się dokonuje w powietrzu, drżą przez sekundę złączone, rozdzielają się, znowu łączą, i tak pięć razy. Potem zachowują się, jakby tego nie robiły. Zwłaszcza samczyk wygląda jakby nigdy nic, chciałby winić tylko ją. Nie krzyknąłem, co to, to nie, ale o nim myślałem z gniewem, i słusznie, bo zachował się prymitywnie i nie po rycersku, oboje przecież tego chcieli. Wkrótce samiczka poleciała w swoją stronę, dobrze mu tak!

Nie wiem, co święty Franciszek o tym sądzi.

O, wy, nieskończenie małe sprawy, na tym nieskończenie wielkim,

nieprawdopodobnym świecie.

Tak się cieszę, że znowu istnieję. Wycieczka do Oslo była dla mnie dobrodziejstwem.

\*

Co to takiego jest to wiosenne uczucie, ta jakaś tęsknota, która co roku ogarnia nasze zmysły? Bóg wie. Może jakaś misjonarka, pracująca wśród obcych nazwałaby to głosem z ojczyzny, wezwaniem, by zrobić coś religijnego także tam, tymczasem ja odkryłem to sam i myślę dokładnie tak samo, że mianowicie wiosenna tęsknota ma coś wspólnego z domem i z ojczyzną. Chcemy wracać, chcemy do domu. Na obczyźnie nie odczuwamy wiosennego uniesienia, tam czujemy co najwyżej szacunek dla nowego miejsca. Szacunek, ale brak w tym serca.

Wspomnienie z Helsingfors z 1898 albo 1899 roku. Jest to jednak wspomnienie sprzed pięćdziesięciu lat, więc może już nie takie wierne, nazwiska mi uleciały, kolejność wydarzeń mogła się pomieszać.

Wszedłem pewnego dnia do księgarni i zastałem tam dwóch ludzi: jeden, mężczyzna w średnim wieku, z gołą głową, w białej koszuli wypuszczonej na spodnie i butach z cholewami. Drugi, nieco młodszy mężczyzna, trzymał w ręce kielnię. Za ladą nie było nikogo.

– Zaraz przyjdzie – wyjaśnił mi pierwszy. – Pani poszła na górę po książkę dla mnie.

Znalazłem sobie krzesło i usiadłem.

– Ja jestem Rosjaninem – powiedział znowu tamten.

– Jest się też czym puszyć! – warknął mężczyzna z kielnią.

– Ja pochodzę z Norwegii – powiedziałem.

Rosjanina to zainteresowało.

– Aha, z Norwegii? Zamierza pan tu zostać?

– Tak, przez rok.

– To wszystko jedno z jakiego kraju się pochodzi oświadczył murarz. – Ja jestem z Finlandii, ze świata po prostu.

Jego słowa pozostały nie zauważone.

Rosjanin podszedł do mnie.

– Jeszcze pana nie widziałem. Gdzie pan mieszka, tu, w mieście?

– Nie mieszkam w centrum. Mieszkam daleko stąd, na Follisövegen.

– A ja muszę mieszkać w mieście i czekać, ale nie czuję się tu dobrze.

Rosjanin opowiadał chętnie. Przyjechał tutaj ze swoimi chlebobawcami, ale państwo wyjechali, nie wie dokąd, gdzieś daleko, pewnie za granicę. On jednak jest już zmęczony czekaniem, czuje się tu źle, chciałby wrócić do domu. Jak to się stało, że tak dobrze mówi po szwedzku, skoro jest Rosjaninem? O, nauczył się już jako dziecko, i zawsze potem mówił po szwedzku, rodzice byli szwedzkojęzycznymi Finami, teraz już nie żyją, ale on urodził się w Rosji i jest Rosjaninem.

– Że też ty się nie wstydzisz – warknął murarz. Ale jego słowa pozostały nie zauważone.

Pomyślałem sobie, że ów Rosjanin urodził się pewnie w niewoli, w którejś z północnych guberni, ale nie pojmowałem, jakim sposobem znalazł się tutaj, a nie chciałem pytać.

On zaś nie przestawał mówić, opowiadał, że ma chatę, bardzo ładną chatę, pomalowaną na czerwono, i jest tam dużo drzew, i las, i mały potok, który przepływa obok. Tak, Panie Boże! Żona i dzieci czekają na niego, on sam pracuje w majątku hrabiego, to duży majątek, pola ciągną się milami, setki służby i chłopów.

Sprzedawczyni zeszła na dół z książką. Rosjanin niemal ją wyrwał z rąk kobiety, przeżegnał się i wsunął książkę do kieszeni.

– Czekam na pieniądze – powiedział do sprzedawczyni. – Wkrótce będę mógł pani zapłacić. Ten pan jest z Norwegii – dodał, pokazując na mnie.

Pani uśmiechnęła się.

– On zamierza zostać tutaj przez rok, ale ja czuję się tu źle i chcę wracać do domu.

Pani spojrzała na mnie:

– Pan sobie życzy?

– Mały słownik rosyjsko-szwedzki.

Rosjanin wyjął swoją książkę z kieszeni, znowu się przeżegnał, i zaczął ją kartkować. Na okładce widniała jakaś ikona.

– Co to za książka? – zapytał murarz. Nie otrzymał odpowiedzi,



ale mówił dalej: – To święta książka. Wziąłbym ją na kielnię i cisnął jak najdalej.

– Ta książka jest dla niego ważna – powiedziała pani przy ladzie.

Murarz zwrócił się do mnie:

– I co pan powie na takie wariactwo? Oni są jak zwierzęta, nie wiedzą nic, czytają nabożne książki i żegnają się. Urodziłem się w Rosji i jestem Rosjaninem, powiada taki. A czy to nie wszystko jedno?

– Nie, nie – wtrąciła się pani.

– Co pani ma na myśli? – zapytał murarz ostrym tonem.

– To nie jest wszystko jedno. Człowiek ma swój kraj, ojczyznę.

– Właśnie! W takim gadaniu jesteście urodzeni i wychowani, to stoi w gazetach, to się głosi na placach. Ale chce pani znać moje zdanie?

Rosjanin przerwał mu nagle w ekstazie:

– O, ty wielka, święta Rusi!

– Tęsknota za domem sprawia, że wpada w histerię – powiedziała sprzedawczyni do mnie.

Murarz zbierał się, żeby nas opuścić, opuścić to miejsce, pobrał na twarzy i syknął:

– Ojczyzna, a idźcie do diabła! Wiecie co? Chcecie znać moje zdanie? Ojczyzna z miłością, padaniem na kolana i całym tym lukrem. Ale chcecie usłyszeć moje zdanie? Ojczyzna jest tam, gdzie jest nam dobrze. Tak. Takie jest moje zdanie. Nic innego ojczyzną nie jest.

Pani uśmiechnęła się do niego.

– Tak, i to właśnie tego uczy pan innych murarzy!

Zaperzył się:

– A co pani może o tym wiedzieć?

– O, to nietrudno. Przemawia pan przecież w związku.

Wkrótce po wyjściu murarza do księgarni weszli dwaj panowie, podróżni, mówili po angielsku, zażądali mapy Finlandii.

Rosjanin przedstawił się:

– Jestem Rosjaninem.

– Ciii – uciszyła go pani.

Obaj panowie rozmawiali przy ladzie. Chcieli także mapę Rosji, żeby zobaczyć któredy jechali.

Wracają z Chin, wyjaśnili, niesłychana podróż, miesiącami, przez

całą Rosję. Jesteśmy Amerykanami.

Sprzedawczyni znała angielski i mogła z nimi rozmawiać.

– Co mówią ci panowie? – dopytywał się Rosjanin.

– Ciii – powtórzyła.

– Ja chciałbym się tylko dowiedzieć, czy oni przyjechali z Rosji.

– Tak. Przyjechali z Rosji.

– O, niech będzie pozdrowiony Jezus Chrystus, w takim razie musieli jechać tą wielką koleją żelazną, która nie ma końca. – Wymieniał gubernie i nazwy wielu wsi, wspomniał o żółtym budynku stacji w majątku, dwadzieścia wiorst stamtąd znajduje się jego chata. Przeżegnał się. Za przeproszeniem, oni musieli mijać ten duży żółty budynek stacyjny, co do tego nie można się pomylić, i jeszcze zaledwie dwadzieścia małych wiorst, a tam już stoi jego chałupa. Nad strumieniem, a obok topole i krzewy jałowca, a ptaków wprost nie zliczysz.

– Czego chce ten człowiek? – pytali Amerykanie.

Pani uśmiechnęła się.

– On chciałby wiedzieć, czy panowie mijali jego chałupę w Rosji.

Amerykanie byli zakłopotani.

– Co? Ależ my nie wiemy! Jego chałupę w Rosji?

– On jest tak udręczony tęsknotą za domem. Jego państwo wyjechali, a on został, musi czekać...

– Porzucili go tutaj?

– Kazali mu zaraz wracać i dali mu pieniądze. Ale on zabłądził, a pieniądze przepił.

– Biedaczysko – współczuli mu Amerykanie ze śmiechem. – A teraz tęskni za domem? My też tęsknimy – dodali. – To jest jak choroba, znamy to dobrze. Ale teraz wsiadamy już na statek i prosto do domu.

– Życzę panom szczęśliwej podróży.

– Dziękujemy pani. A gdzie się pani nauczyła mówić po angielsku?

– W Ameryce. Jestem tu tylko z wizytą w domu.

– Ach to tak! – kiwali głowami Amerykanie.

– A potem przyjedzie pani z powrotem do nas?

– Taki mam zamiar.

Rosjanin wyrwał się znowu:

– Niech ich pani zapyta, może przynajmniej widzieli ptaki?

– Nie mogę pytać o coś takiego – odparła pani przyjaźnie.

Amerykanie pożegnali się i poszli. Przy drzwiach zatrzymali się jeszcze i zapytali sprzedawczynię, czy pomogłoby to Rosjaninowi, gdyby dostał pieniądze na podróż do domu.

– Myślę, że nie – odparła. – On tu przecież musi czekać na nowe polecenia swoich państwa.

– Teraz sobie poszli, a ja się nie dowiedziałem – uzalał się Rosjanin. – Za przeproszeniem, ale przecież muszą tam być, kiedy wrócę do domu, nie sądzi pani?

– Kto? Wróble? Oczywiście, że są.

– Powinna je pani widzieć, panienko! Sfruwają na dół do potoku i zanurzają dzióbki, tak jakby i one były spragnione, taki drobiazg!

Rosjanin płakał.

– To nie są jakieś tam, byle jakie nędzne ptaki – oświadczył i wyprostował się. – Są szare i żółte, i wprost nie można ich odpędzić, bo zawsze wrócą, niebo robi się od nich czarne, miliony...

Łzy spływały po siwym zaroście.

Byłem już zmęczony jego histerią i musiałem wyrazić zdziwienie cierpliwością sprzedawczyni.

Odpowiedziała:

– Ja jestem Finką i także bywam chora z tęsknoty za domem! – Przechyliła się do mnie przez ladę i szepnęła:

– Jestem w jakimś sensie jego siostrą. Ale nie mogę mu tego powiedzieć.

\*

Pewnego mglistego i wietrznego dnia chodziłem po śródmieściu. Działo się to w okresie międzywojennym, byłem wtedy wolny, niosłem trochę książek, które kupiłem, kilka pakietów z książkami, nieco kłopotliwych, bo wysuwały mi się spod pachy, groziły rozsypaniem. Szedłem właśnie na pocztę z książką dla Czerwonego Krzyża.

Wtedy coś się wydarzyło.

Nagle przede mną ukazał się jakiś młody człowiek, zwrócił się do mnie po nazwisku i powiedział:

– Muszę pana uderzyć!

Ubrany był dobrze i nie wyglądał na rzezimieszka.

– No więc muszę pana uderzyć – powtórzył, ale sam zdawał się być skrepowany, nerwowo chwycił powietrze.

Przystanąłem, on przystanął także.

– Nie, to było głupie z mojej strony, głupio zacząłem. Chodziło mi o to, że muszę uderzyć do pana po pomoc...

– Myślałem, że zamierza się pan na mnie rzucić.

– Nie, nie, skąd. Ja popadłem w tarapaty, jestem okropnie nieszczęśliwy, że muszę pana o to prosić, ale chciałbym zapytać, czy nie mógłbym u pana uzyskać...

– Chodzi o pomoc?

– Tak, pomoc. Nie mam w zwyczaju tak postępować, ale jest mi naprawdę trudno.

Oddałem mu książki, żeby pottrzymał i sięgnąłem do kieszeni. W tamtym czasie mogłem się pozbyć paru groszy. Szukając pieniędzy, myślałem zarazem pośpiesznie, że on prosi nie o jakiś nędzny banknot, ale o pomoc. Miał zresztą szlachetną i pociągającą twarz.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, on zaczął wolno iść. Nie zwróciłem na to uwagi, dopóki nie odszedł kilku kroków.

– Proszę bardzo – powiedziałem i ruszyłem za nim.

Odszedł ode mnie już spory kawałek, : wołałem za nim i machałem ręką z banknotem. On szedł dalej, zawołałem jeszcze kilka razy, ale on oddalał się po Pilestradet, a po chwili zniknął w jakiejś bocznej uliczce.

Stałem z otwartymi ustami. A więc i tego doświadczyłem! Musiałem śmiać się głupim, pełnym zdumienia śmiechem.

Ów młody człowiek uciekł oto z moimi książkami, tak to wyglądało. Ale jeśli sądził, że te książki są bardziej wartościowe niż moja pieniężna pomoc, to się mylił. Zarobiłem sporo pieniędzy na jego błędnej spekulacji.

Nie to jednak zajmowało mnie teraz najbardziej. Interesowało mnie zastanawianie się nad jego psychiką.

Dlaczego zaczął od tego, że chce mnie „uderzyć”? Żeby zrobić wrażenie, dodać sobie odwagi na wypadek, gdyby został odepchnięty. Zarzucił zresztą tę taktykę i załamał się. Następnie poczuł się zawstydzony tym, że trzyma moje paczki z książkami – on, który podszedł, żeby prosić o pomoc! Gdybym spojrzał, zobaczyłbym zażenowanie na jego twarzy i pewnie jeszcze to zażenowanie pogłębił, ale ja byłem zajęty. Znajdował się w bardzo dotkliwej sytuacji, przestępował z nogi na nogę, wysunął nogę do przodu. Początkowo nie przychodziło mu nawet do głowy, żeby sobie pójść, wcale nie, starał się być trochę bezczelny, uważał, że to trochę poprawia jego sytuację, i tak jeden krok następował po drugim, aż zaczął iść szybciej i w końcu zniknął.

Ale teraz nie musiało mu być wcale dobrze, sam się wplątał w obrzydliwą sytuację. Słyszał moje wołania i mógł być odwrócić się, póki czas, ale odwrócić się i po tym wszystkim stanąć ze mną twarzą w twarz, nie, wydawało mu się czymś nie do pomyślenia, co więc, na Boga mógł zrobić?

Młody człowieku, najwyraźniej nie jesteś przyzwyczajony do tego, by żądać, nie masz też wprawy w proszeniu o pomoc. Robisz wrażenie kogoś pochodzącego z dobrej rodziny i że sam jesteś dobrze wychowany. Ogarnęło cię nieznośne skrępowanie, kiedy uświadomiłeś sobie, że potrzebujesz „pomocy”. To pewnie jakiś rachunek za mleko, czy inne takie głupstwo, o, Boże, znajdziesz się w znacznie gorszych sytuacjach w życiu.

Ale co teraz z książkami, które leżą przed tobą? Nie możesz ich odesłać właścicielowi, ale nie możesz ich też zostawić na stole, żeby ludzie na nie patrzyli. Nie chcesz się ich pozbyć? Pytam, bo istnieje pewne wyjście. Krępujesz się wymienić je na pieniądze, przecież to nie są twoje książki, w porządku, te skrupuły zyskują ci szacunek. Czy jednak masz inne wyjście? Wybacz, że się wtrącam, ale powinieneś pójść i sprzedać książki. To są nowe, oprawione egzemplarze, starczy ci na zapłacenie rachunku za mleko.

Jakim sposobem wszedłeś w posiadanie tych książek? Wszystko można wytłumaczyć. Chciałeś, oczywiście, oszczędzić starego człowieka, by nie stał na ulicy, machając banknotem i nie robił z siebie

widowiska. To była szlachetna intencja. Oczywiście w głębi duszy wiedziałeś, że cię nie dogonię. Ale czy sam nie mogłeś wołać: „łapać złodzieja”? Przecież mogłeś. A w końcu tak się już zaplątałeś, że myślałeś o samobójstwie. Tak więc wszystko można wytłumaczyć.

Jeśli jednak o mnie chodzi, to nie mogę tu już dłużej stać, ludzie zaczynają mi się przyglądać, jestem zmuszony cię opuścić, a poza tym muszę iść na pocztę...

Tu wróciłem na ziemię!

Poczta – książka dla Czerwonego Krzyża – pani Vogt...

Tak, bo pani Ida Vogt miała coś wspólnego z jarmarkiem na rzecz Czerwonego Krzyża i prosiła mnie o jakąś moją książkę na loterię fantową. Kupiłem książkę i napisałem w niej kilka mądrych słów. Ale upominek wydał mi się zbyt skromny, dołożyłem więc stukoronowy banknot, by uczynić z książki nieco bardziej interesującą wygraną na loterii. Zapakowano mi ją bardzo ładnie i zmierzałem właśnie na pocztę.

Wszystko jednak ułożyło się inaczej. Pewien młody człowiek o szlachetnej i pociągającej twarzy był prawdopodobnie w księgarni i widział, co się dzieje, poszedł potem za mną i, jak się okazało, bez trudu owinął mnie wokół małego palca.

Poszedł z książką do domu. Oczywiście, że tak.

Pani Vogt musiałem wysłać inny egzemplarz, z innymi mądrymi słowami. I otrzymałem pełne zachwyty podziękowania za pomysł ze stukoronowym banknotem.

\*

Obiecałem w innym miejscu, że być może wrócę do okresu, który spędziłem w klinice psychiatrycznej. Nie było to nic wielkiego, ale nie powinienem był niczego obiecywać i w ogóle o tym nie wspominać. Do dziś nie potrafię określić, co pobyt tam we mnie zniszczył. Tego nie da się wymierzyć, nie, nie ma to nic wspólnego z miarą ani z wagą, to było powolne, bardzo powolne wyrywanie czegoś żywego z korzeniami.

Co o tym zdecydowało? Nic konkretnego, nic w szczególności, to system. Rządzenie samym życiem, dyrygowanie nim bez intuicji, bez serca, psychologia poszatkowana na rozdziały i hasła, cała dyscyplina

naukowa powstała ze sprzeciwu wobec życia.

Inni są w stanie wytrzymać taką torturę, ale do mnie się to nie odnosi, ja tego nie wytrzymywałem. Lekarz psychiatra powinien być zapewne to rozumieć. Byłem zdrowym człowiekiem, a stałem się galareta.

Nie mam raczej skłonności do uskarżania się i okazywania niezadowolenia ze świata i z życia. Tym razem jest nie inaczej. Nie jestem też ponurakiem, często żartuję, chętnie się śmieję, mam pogodne usposobienie. Mam to po moim ojcu, który był z tego znany. Za inne dobre cechy, które ewentualnie posiadam, winienem wdzięczność matce.

Nie zamierzam tu opisywać mojego życia.

Odnotuję tylko kilka przypadkowych wydarzeń, obojętnych wspomnień z oddziału męskiego Kliniki Psychiatrycznej w Oslo. Poruszę także kilka poważnych spraw, które się narzucają, choć wspominam o nich z największą niechęcią.

Klinika jest zakładem zorganizowanym i prowadzonym trochę w duchu jezuickim, z pół tuzinem roślących mężczyzn do pomocy w razie czego oraz niezliczoną gromadą ubranych na biało pielęgniarek, które żyją z tego, że spadają na pokoje niczym chmara białych gołębi. Były to na ogół sympatyczne siostry i oddane diakonisy. W piwnicach szpitala mieści się warsztat dla pacjentów, których trzeba czymś zająć, a na górnej kondygnacji znajduje się laboratorium, gdzie zainteresowani mogą prowadzić swoje eksperymenty i dokonywać odkryć w dziedzinie życia duchowego ludzi. Pośrodku są pokoje, w których przebywa pół setki osób „psychicznie i nerwowo chorych”. Czas płynął z szybkością sześćdziesięciu minut na godzinę, bo nie było sposobu, żeby go przyspieszyć. Wszędzie panował porządek i punktualność, wszędzie chłód, bezosobowość i reglamentacja, dyscyplina i pobożność.

Mogłem się przekonać, że szpital i dom wariatów, to dwie bardzo się między sobą różniące rzeczy, choć oba są zakładami ochrony zdrowia. Poznałem dom wariatów zaledwie trochę, ale po nocach leżałem nie śpiąc i pragnąłem się znaleźć w prawdziwym szpitalu, albo w prawdziwym więzieniu z prawdziwymi strażnikami, z prawdziwą pracą przymusową, cokolwiek, byle tylko nie ten dom wariatów na

Vindern. Przetrwałem tam cztery miesiące, ale nie powinienem był spędzić tam ani dnia. Nie byłem przecież pacjentem, byłem co najwyżej lokatorem, stołownikiem.

Zacząłem na pierwszym oddziale, w celi z judaszem w drzwiach, dostałem łyżkę do jedzenia moich posiłków, nie wolno mi było kaszleć zbyt głośno, nie wolno mi było samemu otwierać paczki z domu z bielizną, nie pozwolono mi zatrzymać sznurka od tej paczki. Spędziłem tam dwa miesiące, potem przeniesiono mnie na wyższe piętro. Tutaj nie było już celi, ale jakiś pokój na uboczu z normalnymi drzwiami, które dawały się zamykać, za co byłem wdzięczny. Było tu jaśniej i jakoś, powiedziałbym, życzliwiej, mniej atmosfery choroby psychicznej, dano mi nóż i widelec, a po pewnym czasie także mój zegarek. Ale pozostało to samo tropienie, ta sama atmosfera potajemnego węszenia, grzebano w moich papierach i książkach pod pozorem robienia porządków i długo musiałem godzić się z tym, że na noc zabierano mi ubranie.

Nie dostrzegałem żadnej godnej wzmianki różnicy pomiędzy pacjentami tutaj i na parterze, może tutaj więcej było takich, którzy przeszli terapię wstrząsową i musieli odpoczywać. Na spacerach wszyscy się mieszały i tylko ja, ponieważ nie słyszę, musiałem trzymać się na uboczu, żeby nie męczyć ludzi ciągłym dopytywaniem się, co mówią.

Pewnego dnia stanęła niedaleko mnie jakaś wysoka, ciemnowłosa piękność i uśmiechała się w moją stronę. Pod ciemnym płaszczem miała na sobie strój pielęgniarzki, nie widziałem jej przedtem, ale wstałem z ławki, ukloniłem się i powiedziałem, że nie słyszę.

– Tak, wiem o tym – odparła i odeszła.

Minęło kilka tygodni, nie widziałem jej. Ale pewnej niedzieli – myślę, że to była niedziela – wyszła z oddziału kobiecego ubrana jak do podróży. Niosła niedużą walizeczkę i szła z jakimś panem. Ukloniłem się i stałem. Ona zaś podeszła do mnie i powiedziała, że chciała się przywitać i podziękować za niektóre z moich książek. Zapytałem, czy wyjeżdża, ale odparła, że idzie tylko na przechadzkę ze swoim mężem. Była bardzo przyjazna i zadawała sobie trud, by mówić blisko mojego ucha. Potem widywałem ją jeszcze na spacerach, nie, to raczej nie była siostra, pomyliłem się, to była pacjentka, nerwowa, rozgorączkowana,



dama.

Innej niedzieli – jeśli to była niedziela – ukłonił mi się jakiś młody człowiek, szedł w towarzystwie starszej pani, która była pewnie jego matką. Nie powiedział nic, tylko się ukłonił. Pani nie przyłączyła się, odwróciła głowę. Po tygodniu przyszedł znowu i powtórzył ukłon, i jeszcze po tygodniu to samo, pani za każdym razem się odwracała. On robił jej zdaje się na przekór, więc chciałem temu zapobiec, żeby nie było jeszcze bardziej nieprzyjemnie, ukłoniłem się i ja i powiedziałem, że on pewnie nie wie, iż jestem aresztantem, że zostałem tu umieszczony przez policję. Nie słyszałem jego odpowiedzi, dotarły do mnie tylko słowa: równie drogocenny dla mnie! Później nie widziałem już więcej ani jego, ani tej starszej pani.

Pozostanie dla mnie zagadką, jak personel wytrzymuje w tym domu. Mężczyźni są mniej narażeni, ale siostry zaczynają tu w dość młodym wieku i pozostają przez dwadzieścia lat. Pytałem je o zarobki, ale nie odpowiadały. Emerytura? Milczały także. Czas wolny? O, tak, w określone dni! Nie mogłem więcej wypytywać.

Ale tu właśnie zaczyna się dla mnie zagadka. Wiele z sióstr to były sympatyczne osoby, o znakomitych manierach, posługujące się ładnym językiem, wykształcone panie, pokończyły szkoły, czytały książki, zanim tutaj przyszły, ale teraz już nie czytają. Czy wytrzymują bez czytania? Owszem, z łatwością. Leżą tu przecież tygodniki i pisma biblijne, książki religijne, leżą na wszystkich półkach, ale nie widziałem, żeby któraś z sióstr się nimi interesowała. Oficjalnie miejsce jest religijne, ale to nie przeszkadza, żeby zachowywać się przy tym po świecku, o ile się da. A daje się sporo. Jeśli któraś siostra popełni jakiś błąd, to to nie zostanie ujawnione. W każdej innej sytuacji w życiu mogłaby coś wyjaśniać, powołać świadków, gdyby to było potrzebne, tutaj potrzebne nie jest, chroni ją milczenie, jej własne i pozostałych, to jest system. Jeśli zrobi coś, za co powinna odpowiadać, nie odpowiada. Nawet jeśli jej postępek wyjdzie na światło dzienne, powinna przyjąć to ze spokojem. Nie wszyscy tak mogą, ale ona może. Może wezwać młodszą siostrę, by patrzyła, że ona przyjmuje to ze spokojem. Jeśli siostra pracowała tu dostatecznie długo, to przyswoiła sobie dostatecznie dużo praktycznego jezuityzmu, by starczyło jej do końca życia. A i przy

śmierci nie potrzebuje niczego oprócz księdza dla odpuszczenia grzechów.

Wspominam często te zacne siostry. Szkoda mi ich, powietrze jest niedobre w tym miejscu, a one tam żyją i starzeją się. Żadnej przyjemności, żadnej rozrywki, nigdy śmiechu. Boże, pozwól im się śmiać! Niektóre były bardzo sympatyczne, mógłbym wymienić nazwiska, ale nie zrobię tego, by ich nie narazić na przykrości. Przy ich kołyskach śpiewano o miłości, o dzieciach i domu. A potem śpiewano o potrójnych drzwiach, odcinających od życia. Czas płynie. A potem nie myślą już o niczym, po prostu tam są.

Kiedy przebywałem w tym zakładzie i starałem się jakoś zabijać czas, miałem w głowie tylko jedno, że mianowicie pobyt w klinice kiedyś się skończy. Czuję się coraz bardziej i bardziej udęczoney, coraz bardziej opuszczony, nic nie było w stanie pogodzić mnie z rolą królika doświadczalnego dla wiedzy psychiatrycznej, i nic osobistego nie zbliżało mnie do administracji. Mijaliśmy się na schodach i korytarzach bez słowa.

Na samym szczycie stoi pan Langfeldt, naczelny lekarz zakładu i profesor uniwersytetu. Nigdy nie słuchałem jego wykładów i jako człowiek z ulicy nie mam żadnych podstaw, by się na ich temat wypowiadać. Zapewne nie wszyscy jego uczniowie są nimi jednakowo zachwyceni, ale tego przecież doświadczają nauczyciele wszelkich dyscyplin. Ja opieram się na osobistym wrażeniu i na intuicji, opieram się na epizodach, faktach oraz na owym psychologicznym wyczuciu, które być może posiadam. W liście do prokuratora generalnego wspomniałem o moim stosunku do profesora Langfeldta, później nic się w tej mierze nie zmieniło. Uważam, że jest on typem seminarzysty, który opuścił uczelnię z wszelką możliwą książkową wiedzą, którą czerpał ze skryptów i uczonych dzieł i którą naturalnie w toku późniejszych studiów uaktualniał. Na tych ostatnich sprawach ja się, rzecz jasna, nie znam, po prostu tak zakładam, mnie nie jest to do niczego potrzebne.

Takie ma zaufanie do swojej wiedzy! Nie ma to jednak nic wspólnego z zaufaniem do dawnego powiedzenia: Nic pewnego nie wiadomo! W swej osobowości, w głębi swej istoty, pan Langfeldt trwa

wysoko na szczycie ze swoją uczonością nie podlegającą dyskusji, ze swym milczeniem wobec protestów i w ogóle z całą swoją pospolitą napauszością, która sprawia wrażenie sztucznej.

Podczas obchodu widziałem kiedyś jak jedna z lekarek przez wiele minut udzielała mu wyjaśnień, zatrzymała całą swiętę, a on słuchał ze spokojem. Kiedy skończyła, odszedł wraz ze swoim sztabem, bez słowa, bez skinięcia głową. Ta sama lekarka kiedyś przypadkiem roześmiała się głośno z jakiejś historii, z żartu po prostu, a on zmierzył ją wzrokiem, tylko zmierzył.

Chciałbym podarować panu psychiatrze zdolność wywoływania uśmiechu. Uśmiechu, który niekiedy, przez przypadek, mógłby się odnosić także do niego.

Jego chłodne i wyniosłe zachowanie wcale nie wynika z jego charakteru, jest to raczej poza przybierana ze względu na miejsce i otoczenie. Nie jest to człowiek sztywny ani skostniały, w takim razie bowiem nie byłby taki dyspozycyjny i aktywny. Obok wypełniania obowiązków lekarskich i służenia swemu naukowemu powołaniu stara się jeszcze mieć czas na pisanie medycznych poradników dla rodzin wiejskich, a w sprzyjających okolicznościach może nawet obdarować abonentów popularnego miesięcznika „Samtiden” artykułem na temat biologii. Jest jeszcze młody, jeżeli chodzi o wiek, ale ma świetną publicy i z pewnością jest członkiem wszelkich możliwych towarzystw naukowych. Nie, to nie jest skostniały uczoney. Inni mogą tacy być, ale on nie jest. Jego sztywność jest udawana. Jest dostatecznie żywotny, by milczeć jak głaz, i by się odezwać.

Wymienię, pierwsze z rzędu, kilka próbek zachowania tego ostatniego rodzaju.

Pielęgniarze zniszczyli moją golarkę, po prostu przy ostrzeniu połamali nożyk, a poza tym zgubili inną ważną część całego aparatu. Nie można było tego nigdzie znaleźć. I tak mnie zostawili, tam gdzie stałem, a sami poszli sobie. Jedna z siostr, pracująca tam już od dwudziestu lat, zajęła się mną, wprowadziła za przepierzenie i pozwoliła mi się tam golić, bez lustra, jej nożykiem czy też należącym do kogoś innego, zaciałem się paskudnie. Nagle usłyszeliśmy ryk, to był profesor. Prawdziwy ryk: Znajdowaliśmy się w niewłaściwym miejscu, ja z moim

goleniem, profesor parskał i wygadywał głupstwa, zwracał się per dziewczyna do siostry (40 – 50 lat), w końcu chyba to do niego dotarło, bo stał przy nas długo i gapił się, nie poszedł sobie, nie, stał, żeby dojść do siebie. To był widok! Siostra stała jak sparaliżowana, ja wycierałem mydło razem z krwią. Mowy nie było, żeby chociaż chrząknąć, siostra mogłaby się wytłumaczyć w kilku słowach, powiedzieć o sanitariuszach, ale odzywać się wobec samego profesora? Wykluczone!

Sam czasem zatrudniam u siebie ludzi i zastanawiam się, co by to było, gdybym przypadkiem tak ryknął w obecności robotnika. Myślę jednak, że zamiast ryczeć ja bym po prostu sobie poszedł, nie zwracając uwagi na byle co.

Pewnego ranka podczas obchodu profesor podszedł prosto do mnie i powiedział:

– Uważam, że pan musi sobie błędnie przypominać, również w Hardanger używał pan okularów!

Chciał zapewne w ten sposób pokazać swojej świcie, jak nieskończenie dogłębnie bada moją sprawę, cofa się nieledwie do życia płodowego. Ja jednak byłem już okropnie udręczony tym jego gadaniem o moich okularach, które z punktu widzenia psychiki nie miały najmniejszego znaczenia. Byłem w Hardanger w 1879 roku, blisko siedemdziesiąt lat temu, czyli we wczesnych latach chłopięcych. Mógłbym mu dokładnie wszystko wyjaśnić, ale nie chciałem. Kiedyś do gospodarstwa, w którym mieszkałem, przyjechał doktor, padał deszcz, doktor miał na sobie czarną przeciwdeszczową pelerynę i czarny kapelusz od deszczu, pamiętam, że nosił podwójne nazwisko Maartman-Hansen, czy jakoś tak. Ponieważ najbliższa apteka i zakład optyczny mieściły się w Bergen – cały dzień drogi – doktor miał przy sobie walizkę z tymi lekarstwami i okularami, które najczęściej bywały potrzebne, a zatem i ja dostałem moje okulary w Hardanger!

Ale patrzcie no. Personel powinien poznać nasze metody!

Zostałem wezwany do profesora. Poślaniec, który przyszedł do mnie z tą wiadomością, stał i przestępował z nogi na nogę, żeby mnie jak najszybciej doprowadzić do celu. Znaleźliśmy profesora i jego świtę w gabinecie. Podano mi te trzy listy, o których wspomniałem w liście do prokuratora generalnego z 23 lipca 1946 roku, i o których już wcześniej

powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Teraz musiałem chyba zrobić jakiś zniecierpliwiony gest, bo profesor powiedział zirytowany:

– Nie musi się pan denerwować, nikt nie chce zrobić panu nic złego!

Tak zostało to powiedziane, nie z katedry do jednego z uczniów, lecz do starca. I jakim językiem się posługiwał. Nikt, oświadczył, nie chce panu zrobić nic złego, chociaż tak naprawdę, mógł odpowiadać jedynie za siebie. Zaprotekowałem przeciwko temu. Profesor wstał zirytowany. Bez wstępów, bez jakiegokolwiek wyjaśnienia dla świty zapytał mnie głośno:

– Czy pożyczał pan pieniądze od kobiet?

( *O czymś takim było mianowicie w tych anonimowych listach*).

Musiałem się chyba gapić na niego z otwartymi ustami. Musiałem się jękać. Dawniej przy podobnych okazjach zwracałem profesorowi uwagę, że nie jesteśmy sami, teraz tego nie zrobiłem, nie zdołałem dojść do siebie na tyle, żeby w ogóle coś powiedzieć, mamrotałem tylko pod nosem. Sam nie wiem, czy kiedyś w życiu nie pożyczyłem pieniędzy od kobiety, jeżeli tak było, to z pewnością zwróciłem dług. Tylko co to pytanie miało tutaj do rzeczy? W obszernym dossier dla sądu profesor stara się na piśmie wyjaśnić ten epizod. Ja tego nie pamiętam.

Ale jaki to był ton! Mógł odegrać tę scenę przed świtą. Oto jak profesor Langfeldt potrafi przemawiać do umęczonego starego człowieka! Wiedział, że świta będzie milczeć. Świta składała się z czterech lekarzy i licznych sióstr, wszyscy będą milczeć. W zakładzie mówiło się, że świta towarzyszy profesorowi, żeby „się uczyć”. Profesor był panem, mógł używać takiego tonu, jakiego chciał. I mógł także uczyć tego innych.

Dobrze, niech mu będzie!

Sprawy, o których wspomniałem, pokazują też stosunki wpisane w system i to w jakimś stopniu usprawiedliwia profesora. Nie mam interesu w tym, żeby myśleć inaczej. Należy zatem rozumieć jego postawę jako dyrektora i gospodarza kliniki, również jako postawę gospodarza hotelu, mającego stale setki mniej lub bardziej chorych gości, z podporządkowanym mu nader liczny personel. To by

chyba każdemu wykładowcy uniwersyteckiemu działało na nerwy. I mogę oczywiście uznać, że w takim miejscu jak ten dom na Vindern niezbędna jest pewna surowość i dyscyplina, a może niekiedy także „ryk”, by zaprowadzić posłuszeństwo.

Co do profesora jednak, to nie można mu nie wypomnieć działań i decyzji, za które jest osobiście odpowiedzialny. Zaliczam do tego jego uporczywe zabiegi, żeby wezwać na badania moją małżonkę i jej zeznania wykorzystać przeciwko mnie, spisać jej wypowiedzi, a potem udostępnić je różnym prawnikom i urzędnikom w różnych oddziałach i instancjach sądu. W tym wypadku profesor Langfeldt nie ma żadnego usprawiedliwienia. Ponad wszelką wątpliwość natomiast usprawiedliwiona jest moja żona. Wiele miesięcy spędziła w więziennej ciszy, siedziała więc naprzeciw przesłuchującego zdenerwowana, co łatwo zrozumieć, i mówiła z trudem. Jej słuchaczem był wysoko postawiony człowiek, osoba publiczna. Przyprowadził ponadto stenografa, który zapisywał jej słowa.

Nie zamierzam się na nic skarżyć. Profesor wielokrotnie nalegał na mnie, bym udzielił mu informacji o moich „dwóch małżeństwach”. Ostatecznie nie powiedziałem ani słowa. Ostatni raz wystąpił na piśmie. W swojej krótkiej odpowiedzi – także na piśmie – powiedziałem o moim małżeństwie: „Chce mi się krzyczeć ze strachu, że mógłbym powiedzieć tu coś za plecami mojej żony teraz, kiedy ona, podobnie jak ja, jest aresztowana”.

Czy to wyraźnie powiedziane? Nie tylko siebie chciałem tu ochraniać. Lecz także całą tę niesłuchaną sprawę.

Ale profesor nie był bezradny. Z pomocą prokuratora generalnego sprowadził moją żonę z więzienia w Arendal do kliniki na Vindern, żeby ją przeegzaminować. Rezultaty może poznać każdy, kto chce, wszyscy, są dostępne w obszernym dossier, przygotowanym dla sądu.

Byłem człowiekiem, który znalazł się w sytuacji trudnej do pojęcia, na obserwacji w klinice dla psychicznie chorych. Profesor Langfeldt mógł sobie ze mną poczynać tak, jak tylko miał na to ochotę, a ochotę miał na wiele.

Uważam, że gdyby się od razu zastanowił, co on ma tu do zrobienia, to by może zarzucił ten plan. Ja przecież przez wiele miesięcy

staralem się trzymać żonę i nasze małżeństwo z dala od tego wszystkiego i uważam, że miałem do tego pełne prawo. Do czego miałyby to ostatecznie doprowadzić? Czy życie osobiste i rodzinne człowieka – profesora nie wyłączając – może być nienaruszone? Zdarza się przecież, że są krewni, których to może załamać, zdarza się, że są dzieci, które należałoby chronić, zdarza się wreszcie, że istnieją pewne granice, których normalnie wychowani ludzie zbyt chętnie nie przekraczają.

W tym czasie, kiedy zeznania mojej żony zostały wymuszone, profesor już od dawna twierdził, że ja chory psychicznie nie jestem. Jaki cel zatem miała jej obecność – oprócz ciekawości i chęci wywołania skandalu? Czy profesor odważy się twierdzić, że wyniki obserwacji mogłyby być inne, gdyby nie włączono w to mojej żony? Czy będzie twierdził, że bez jej zeznań zostałem uznany za chorego psychicznie?

Materiały istnieją. Może kiedyś zostaną zbadane.

Ja uważam już teraz, że nie ma usprawiedliwienia dla postępowania profesora. Już od samego początku rozmowy z moją żoną mógł być znaleźć jakąś bardziej fortunną metodę. Kiedy widział i słyszał, do czego to prowadzi, mógł chyba wstać i przekazać dalszą pracę w inne ręce, może w ręce jakiejś zdolnej lekarki? Ale jemu, oczywiście, taka myśl do głowy nie przyszła, natomiast ta jego gotowość, która do wymuszania z ust innej osoby wielu głupstw, bardziej wrażliwemu psychologowi dałaby zapewne do myślenia. Profesor Langfeldt dobrze wie, że nie jest najbardziej powołany do wkraczania w cudze małżeństwo i grzebania się w cudzych intymnych sprawach. Jest na to zbyt gruboskórny i uparty, jego głowa za bardzo jest wypełniona rzeczami, których się wyuczył, a te rzeczy zostały podzielone i poszufladkowane raz na zawsze.

Przypominam sobie pewien, nie taki sam, ale bardzo podobny, wypadek w jednym z sąsiednich krajów, kiedy profesor sam nie opuścił zajmowanego stanowiska, ale pozwolił się z całym swoim zespołem przesunąć na inne.

\*

Z powrotem do domu starców.

Zapisuję tu jakieś głupstwa, same głupstwa. Cóż innego by to mogło być? Jestem strzeżonym więźniem i trzymają mnie w domu starców, ale nawet gdybym siedział w więzieniu, też bym pewnie nie miał poważniejszych rzeczy do opisywania niż tutaj, może nawet byłyby one jeszcze mniej poważne.

Wszyscy więźniowie muszą pisać o niekończących się codziennych wydarzeniach i czekać sądu, nic innego do roboty nie mają. Silvio Pelico siedział w austriackim więzieniu i pisał o swojej małej myszce, którą adoptował, pisał o adoptowanej myszy. Ja też piszę podobnie – w lęku przed tym, co by się ze mną stało, gdybym pisał o czym innym.

Mamy tu między innymi pewnego młodego koguta. Któregoś dnia zbierał się, żeby po raz pierwszy zapiać. To była poważna sprawa. Ani razu jeszcze nie dał znać, że jest rodzaju męskiego, ze strachu pewnie, że ktoś mógłby przyjść i zobaczyć. Teraz wyczyniał jakieś skomplikowane hokuspokus z gardłem, żeby je wypróbować. Co jakiś czas ponawiał próby, wykonywał coraz bardziej skomplikowane hokus-pokus, ale dalej się nie posuwał. Był biedaczysko sam na świecie i nie umiał sobie z tym poradzić. Nagle usłyszał coś wydobywającego się z jego gardła, to było straszne, zamarł przerażony i w tym samym momencie stało się, zrobił to! Kokoszki stłoczyły się wpatrzona w niego. Na co się tak gapią? Przecież to nie on! Zawstydził się i milczał, nikt nie mógłby go zmusić, by przyznał, że to zrobił. Koło południa jednak znowu to na niego przyszło, wtedy nie protestował już dłużej, uznał, że nie warto, sprawy muszą iść swoim torem. O, świat pełen jest rzeczy niepojętych. Potem robił to już często.

Kiedy stał się dorosłym facetem, a jeszcze nie wszystko rozumiał, zdarzyło się kiedyś, że poczuł, iż musi rozpostrzeć swoje skrzydła. Patrzyła na to pewna kura. Rozpostarł skrzydła jeszcze raz, a kura znowu patrzyła. Czy chciała sobie z niego zadrwić? Wykonywała jakieś podrygi i drażniła go paskudnie, nie mógł tego ścierpieć. Nagle wskoczył na nią i wbił mocno dziób w jej kark. Było to poważne skubnięcie, posypały się pióra i puch. O Boże, jakim niepojętym szaleństwem się to skończyło!



Następnego wieczora siedział na swojej grzędzie i spał. Śnił, że jest Łucznikiem Torarinem na wojennej wyprawie i tak dalej. A wtedy chwyciła go jakaś ręka i ściągnęła w ciemność, w niepojętą ciemność.

\*

Pada deszcz, ale nieduży, mnie to zresztą nie przeszkadza, mam parasol. Dochodzę do kryjówki w lesie, w której już kiedyś byłem. Kryjówka jest zajęta. Cóż to znowu? No tak, zajęta.

– Martin – mówię.

– No, to mnie poznajecie – mówi Martin.

Martin z Klottran w Hamroya.

Jest taki, jaki był poprzednim razem. Zwyczajny, w średnim wieku, może trochę dłuższa broda i włosy. Nie jest obdarty, wszystko poreperowane, połatane i zacerowane, chodzi boso, a buty nosi na ramieniu. Stopy ma ładne i czyste, bo chodził dzisiaj po deszczu.

Jest coś tajemniczego i jakby trochę sztucznego między nami, jesteśmy starymi znajomymi, on mówi do mnie na przemian wy i ty i jest dobrotliwy.

– To niezwykle, że znowu cię widzę! – mówimy obaj. – Dzięki Bogu, że zastałem cię przy życiu!

– powiada on sam.

– Poznałem, że to twoja kryjówka, dlatego tu usiadłem. Nie przeszkadzam ci?

– Po czym poznałeś?

– Znalazłem te papierki. Chcesz je z powrotem?

– Nie. To tylko takie zapiski.

– To chyba jakaś pieśń, albo wiersz, prawda?

– Możliwe. Ale wyrzuć to. Przyszedłeś z Północy?

– Tak, idę z Północy. I wrócę znowu na Północ.

– Wciąż wędrujesz po kraju?

– Tak, nie ma co ukrywać, wędruję.

– I modlisz się?

– Tak, Bóg łaskaw. Byłem na sianokosach w jednym dworze, bogobojni ludzie i mieli fisharmonię.

- Dostałeś coś za to?
- Nie. To znaczy tak, dostałem worek kartofli.
- Kartofli?
- Niczego innego nie pragnąłem. To wielka rzecz dzisiaj dostać coś takiego. W różnych krajach i kartofli ludzie pragną.
- Czytasz gazety, jak widzę. Możesz czytać bez okularów?
- Bez okularów. Nie jestem jeszcze taki stary. O, tak, gazety też czytam czasami. Ale mieliśmy dużo zgromadzeń w tym dworze, w którym byłem. Ludzie tak ładnie śpiewali przy fisharmonii.
- Czytałeś o Trumanie, skoro czytasz gazety?
- Nie, nie czytałem. Truman, powiadasz?
- Tak, to jest prezydent Ameryki.
- Nie bardzo jestem uczony – odpowiada Martin.
- A czytałeś o Kirsten Flagstad?
- Flagstad na Lofotach? Wiem, gdzie to jest.
- Ale Kirsten Flagstad jest wielką śpiewaczką. Jeździ po różnych krajach i śpiewa.
- Coś takiego! Widzisz, ja rozumiem tak niewiele, niestety. Jeździ z kraju do kraju i tylko śpiewa? To musi być piękne!
- Tak. W wielkich salach i kościołach. Przychodzi wiele tysięcy ludzi, żeby słuchać.
- O, ty wielki Boże! Ale co do mnie, to ja nie umiem śpiewać. Powinienem być się tego wyuczyć i wędrować, i śpiewać ludziom. Ja chyba też mam dar od Boga, ja też, nie da się zaprzeczyć, ale śpiewam nie za ładnie, chociaż znam nuty. Siedzę tu i przyglądam ci się, powiązałeś swoje kalosze sznurowadłem?
- Tak, ale mam też nowe kalosze.
- Coś takiego!
- Całkiem nowe, jeszcze ani razu nie były na nogach. Ubierają mnie ci moi domownicy.
- Przechodziłem koło twojego majątku. Jak to on się nazywa? Ach, tak. Norholm. Przechodziłem tamtędy jakiś czas temu. Duży dwór. Ale powinno by się lepiej o niego dbać.
- Tak.
- Dopiero tam widzisz, jakie wszystko jest przemijające, kiedy się

nie dba.

– O, tak, Martin. Co robisz z kartoflami?

– Z kartoflami? Co z nimi robię? Piekę je w popiele, w czasie moich wędrówek. To dla mnie bardzo dobry posiłek takie pieczone kartofle. Nie próbowałeś tego? – zapytał.

– Oczywiście, że próbowałem, mnóstwo razy, w dzieciństwie.

– To niewiarygodnie dobre jedzenie.

– Tak.

– Nie ma nic lepszego, jeśli długo chodziłeś głodny.

– Byłeś ostatnio na Helgeland? – pytam.

– Na Helgeland? Byłem.

– To znaczy, chciałem zapytać, czy słyszałeś coś o nauczycielu, który wyjechał do Ameryki?

– Nie, nie odnalazł się.

– To nieszczęście dla rodziny, która tutaj została – mówię.

Milczenie.

– Jak to ona ma na imię? Alvilde? I dwoje dzieci.

Milczenie.

– Czy ona go szukała przez Czerwony Krzyż albo przez Armię Zbawienia?

– Tak. Szukała – odpowiada Martin. – Nie znaleźli go.

– Powiedz mi, Martin, dlaczego ona nie wróci do domu do Hamroya. Tam byłaby wśród swoich.

Martin długo zwleka, w końcu mówi:

– Ona nie może wrócić do domu.

– Tak?

– Przytrafiło jej się nieszczęście jakiś czas temu. Nie powinienem tego mówić.

– Nieszczęście?

Martin milczy, a ja mam czas się zastanowić i nie pytam już więcej. Poznaję ten pełen delikatności sposób mówienia z Hamroya, kiedy jakiejś dziewczynie przytrafi się „nieszczęście”. Siedziałem więc, czytałem, składałem litery i zastanawiałem się.

– Jakie to wszystko dziwne – mówi Martin z wolna. – Mała dziewczynka, och, mały anioleczek Boży, siedziała w trawie, ja nie

mogłem podejść bliżej, żeby jej nie przestraszyć. Było tak ciepło, taka ładna pogoda, dziewczynka miała na sobie tylko koszulkę i niebieską jedwabną wstążkę na szyi. Nigdy bym nie uwierzył, że może być coś tak pięknego.

– Nie masz jej zdjęcia?

– Ja? Nie mam. Wcale nie wszedłem do środka, nie powiedziałem, że jestem.

– Dlaczego nie wszedłeś do środka?

– Nie. Sprawiam jej tylko ból, kiedy przychodzę. To takie smutne, ona myśli, że to z mojej winy nauczyciel przepadł, bo to ja pożyczyłem mu na bilet.

– No – mówię brutalnie. – Ale przynajmniej to dziecko przydarzyło jej się nie z twojej winy.

– Owszem, ona mówi, że moja – odpowiada Martin. – Mówi też, że to ja odmieniłem i zniszczyłem jej życie na tej ziemi.

Milczymy obaj.

– Ustał! mówi Martin o deszczu i wygląda na zewnątrz. – Przed chwilą pokazało się słońce. Deszcz ustał. Przejaśnia się.

Przykro mi z powodu Martina, ale nie mam odwagi mu tego okazać, żal mi go, jest taki mizerny w tym połatanym ubraniu, mógłbym go nazwać swoim bratem lub krewnym, ale jemu by się to pewnie nie podobało. Tyle jest odmian losu.

– Bardzo bym chciał wiedzieć, jak ona ma na imię – powiada Martin. – Siedziała w trawie i zbierała coś paluszkami. Jak by to było miło na Boże Narodzenie, gdybym wiedział, kiedy będę im coś posyłał. Wtedy mógłbym nazwać ją po imieniu, bo bym wiedział.

– Nie możesz napisać i zapytać?

– Nie. Ale nigdy nie uwierzysz, jaka ona jest śliczna. Przedtem też przecież widywałem dzieci, one wszystkie są ładne jak odbicie Boga, tak właśnie jest. Ale ona siedziała spokojnie i bawiła się w trawie, i nigdy jeszcze nie zgrzeszyła!

Jego niebieskie, trochę zmęczone oczy zaszklily się.

– Kto jest jej ojcem? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada krótko. – Pewnie ktoś ze wsi.

– Myślałem po prostu, że może ona wyjdzie za niego za mąż.

– Nie, nie, to niemożliwe! Jest przecież mężatką.  
– Pytałeś ją?  
– Ja? O co ci chodzi? Powinienem ją spytać... ? Ale ona sama powiedziała kiedyś, że nigdy więcej nie mogłaby wyjść za mąż.  
– Musi już mieć swoje lata?  
– Ona? Nie, nic podobnego! Jest prawie tak samo młoda jak dawniej, wcale nie widać, żeby się starzała.  
– Tak, tak, Martin – powiadam i zwijam parasol. – Bardzo przyjemnie było znowu cię spotkać. Myślałem o tobie często, niezłomny wędrowcze. Tak mało potrzebujesz, i wciąż w drodze. Taki jesteś.  
– Myślisz, że spotkamy się jeszcze kiedy?  
Chciałbym uniknąć wielkich pożegnań, więc nie odpowiadam.  
Pytam natomiast:  
– Nie męczy cię to wędrowanie?  
– Nie. A jak będę zmęczony, to się położę. W imię Boże.  
– Martin, póki pamiętam, powiedz mi: Czy w zeszłym roku, kiedy cię spotkałem, wiedziałeś już, co się stało na Helgeland?  
Martin spogląda w bok:  
– Nie mogłem nic powiedzieć, nie przeszłoby mi to przez gardło.  
– Ale wiedziałeś już w zeszłym roku?  
– Tak – potwierdza.  
Wszystko przemilczał, wszystko cierpliwie znosił. Czy jest uparty? Nie wygląda na takiego, jest spokojny i sympatyczny.  
– Martin, ja ciebie nie rozumiem. To niesprawiedliwe z jej strony, żeby ciebie oskarżać o to, co ją spotkało. Naprawdę niesprawiedliwe.  
– Jej też nie jest łatwo – odpowiada. – Nawet wdową nie jest, ani niczym. I musi tam żyć wśród ludzi.  
– Widzę, że chcesz wszystko dźwigać sam, ale nie rozumiem tego.  
– Dźwigać? Ja sobie umiem radzić – powiada. – Zwracam się do Boga ze wszystkimi zmartwieniami. Inaczej byłoby ze mną marnie. Modlę się do Boga, żeby mnie nie opuszczał. Ty też powinienes tak robić. Nie zapominaj o swoim wieku.  
– Co teraz będziesz robił, kiedy stąd odejdziesz?  
– Muszę odebrać swój plecak, zostawiłem w jednej chacie. Muszę się przebrać w ładne ubranie, bo dziś wieczorem idę na zgromadzenie.

Spotykamy się w dużym domu o wielu oknach. Chyba zejdzie się sporo ludzi.

– Ja bym nic nie słyszał, gdybym przyszedł?

– Nie. Ale będę o tobie myślał, kiedy będę się modlił. Tak bym się cieszył, gdybym naprawdę odnalazł Boga dziś wieczór. Z moim starym przyjacielem. Skoro obaj pochodzimy z Hamraya i jesteśmy znanymi ludźmi...

Jest lato i świeci słońce. Rozchodzimy się, każdy w swoją stronę, ale ja już postanowiłem, że pójdę na spotkanie. Będę siedział przy drzwiach i przyglądał się.

Oto jesteś, Martinie z Klottran, człowieku o szlachetnym sercu. Nosisz w sobie kwiat, maleńki kwiatek grzechu, twoją beznadziejną miłość do panny o imieniu Alvilde, która nigdy nie chciała cię znać. Pewnego dnia dowiesz się, że Alvilde wyszła za mąż za mężczyznę ze wsi, nie ma innej rady, będziesz musiał znieść ten cios. A ty wtedy zwrócisz się do Boga i powiesz, że jej też wcale nie jest lekko.

Po drodze do domu przemyślałem wszystko dokładniej. Nie mam innego ubrania, ale zdejmę marynarkę, żeby mnie ludzie nie poznali i nie dziwili się, że głuchy człowiek przyszedł na spotkanie. Włożę na szyję ciemny szalik, a laskę zostawię w domu, bo jest zbyt jasna i ma te żółte okucia.

Tym razem nie wspomniał o swoim kalendarzu, pomyślałem. To też typowe, nic już to nie zmieni czy kalendarz zostanie przeczytany, czy nie, czas przepłynął obok pisarza i jego dzieła, są nowe sprawy.

Nie mogłem nie dostrzegać jego braku rozsądku, bo to jest wyraźne, choć ja wolałbym nazywać to naiwnością, może dziecinnym stosunkiem do życia. Kiedy mówił o dziecku, które siedziało w trawie, takie niewinne, był świętym, narzędziem Boga, i sam także był niewinny.

Nie miałem kłopotów z odszukaniem domu zgromadzenia, na płotach i słupach telegraficznych porozlepiane były plakaty z dwoma nazwiskami: sekretarz związku młodzieżowego, kandydat teologii Simon Trostdahl i Martin Enevoldsen, oba zdawały się być dobrze znane w kręgu zainteresowanych. Spotkanie wieczorem. Wszyscy mile widziani. Ludzi było dużo, i w środku, i na zewnątrz, wszystkie okna

otwarte, liczne grupy słuchaczy pod oknami.

Lokalny kwartet odśpiewał psalm, po czym zaczął przemawiać sekretarz młodzieżowy. Był to człowiek o miłej powierzchowności, doświadczony w nauczaniu na podstawie wybranego fragmentu Biblii, o zręcznych palcach, którymi szybko odnajdywał kolejne fragmenty, gdy to było potrzebne. Nie mogę napisać, co mówił, ale to chyba nie było nic wielkiego, nic nie słyszałem, siedziałem tylko i przyglądałem się. Mówił jakieś pół godziny.

Nie spuszczałem oczu z Martina. Śledził wydarzenia i wyglądał na uszczęśliwionego. Kiedy przemawiał sekretarz młodzieżowy, on kołysał głową jakby na znak, że wszystko idzie ponad wszelkie spodziewanie dobrze na tym wieczornym spotkaniu, zarówno psalm, jak i nauczanie, nie mógłby wyobrazić sobie nic lepszego. Później wstał, złożył dłonie i poruszał wargami, pojmowałem, że teraz się modli, widziałem to też i po tym, że wielu innych uczestników zgromadzenia składało ręce za jego przykładem. W ten sposób przygotowywał się do nauczania.

Nie szukał żadnego fragmentu pisma, by się na nim oprzeć i tylko mimochodem dotykał od czasu do czasu ręką Biblii na stole. Wciąż jednak poruszał wargami, tak że miał chyba coś do powiedzenia. Mój dobry Martin nie przeczytał ani nie przemyślał zbyt wiele, nie bardzo by chyba umiał podjąć jakiś temat i wyjaśnić go, jak to czynią inni kaznodzieje, był równie niewiedzący jak apostołowie Jezusowi. W swoim religijnym doświadczeniu miał wielkie przeżycie z lat młodości, kiedy siedział w śniegu na skalnym występie i z góry spłynęło na niego ostre światło. Chociaż to nie było tylko światło, tego nie można wytłumaczyć, to niebo zeszło do niego, to był Bóg.

Zwykł był mówić, że on nie naucza, że nie ma na to dość wiedzy, że się tylko modli do Boga. I było chyba tak, jak mówił, że ma swój własny sposób. Widziałem błyszczące oczy słuchaczy, wyjmowano też chusteczki, niewykluczone, że niektórym było żal tego miłego, podstarzałego człowieka, który boso chodzi po kraju, i prawie wcale nie potrzebuje jedzenia. Zaprawdę, to człowiek, który mógł pociągnąć za sobą innych do modlitwy, przyciągał do siebie ludzi, ludzie słuchali go, nie spuszczały z niego oczu. Raz widziałem, że pokazuje ręką tablicę, wiszącą obok lustra, ale z tej odległości nie mogłem odczytać, co tam

jest napisane. Potem widziałem, że przerwał, bo podeszło do niego dwoje małych dzieci; natychmiast wyszedł im na spotkanie, witał je zachwycony i rozpromieniony. Matka zsadziła je pewnie z kolan, żeby odpocząć przez chwilę, ale Martin najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, wziął oboje na ręce i modlił się za nie, ożywiony i zarumieniony.

Przez cały czas nie docierał do mnie dźwięk jego słów.

Ale to wszystko... No właśnie, czym to wszystko było? Nauczanie, jak to się nazywa, ludzie uczestniczyli w nauczaniu. Dla nich to wszystko było samą rzeczywistością, będą się tego trzymać w nadchodzących dniach.

Kiedy po spotkaniu będą się ze sobą żegnać przed budynkiem, wrócą do świata, będą nieco pewniej stąpać po ziemi, przekazywać pozdrowienia domownikom i tak dalej. Tymczasem jednak znowu sekretarz młodzieżowy zabrał głos, chciał powiedzieć coś jeszcze, a mnie się nagle wydało, że mnie zobaczył, co sprawiło, że skuliłem się na swoim miejscu.

Był bardzo zręcznym mówcą ten kandydat filozofii, o ile mogłem to ocenić przy mojej głuchocie, był ponadto na swój sposób bardzo sympatyczny.

Niedowiarkowie powiadają, że nie można wierzyć w to, w co my wierzymy. Powiadają oni, że to nasze przesady, albo po prostu głupota skłania nas do tej wiary. I wymieniają wiele rzeczy z Biblii, których nie są w stanie pojąć. Ale kochani, przecież żyją wśród nas ludzie, którzy wierzą w to, co my, a których nie można posądzać o głupotę, prawda? O, wielcy nauczyciele i uczeni, których znamy, moglibyśmy wymieniać nazwisko po nazwisku, można by ich porównywać nawet z samym Pascalem. Jak w takim razie wyjaśnimy sobie, że ci mężczyźni i kobiety w mowie i na piśmie dają świadectwo tej samej wierze, w której my pokładamy naszą nadzieję na zbawienie i wieczną szczęśliwość? Ja nie twierdzę, że wiem bardzo dużo, wprost przeciwnie. Ale najlepiej jak potrafię, chciałbym wytłumaczyć ten problem. To jest cud. To dzięki pomocy Ducha Świętego powstaje w naszych sercach ta niezłomna wiara i przekonanie. To jest cud, który dokonuje się w nas z łaski Boga. Nie wiem, czy dobrze to tłumaczę, ale to w każdym razie dziwne, że niedowiarkowie pozostają tak obojętni na swoje własne dobro. Ich



rozsądek powinien lepiej im doradzać.

Zanosiło się na nowe nauczanie.

Martin wyszedł dawno temu.

\*

Czy to w ubiegłym roku, czy jeszcze dawniej byłem normalnym człowiekiem w pełni sił? Wspominam to jak dawny sen. Rankami kręciłem się po domu w niebywale dobrym stanie zdrowia, a jeśli napisałem coś w nocy, kręciłem się jeszcze raźniej i dziękowałem niebu za to, że istnieję. Teraz tego nie robię. Jestem w domu starców nie po to, by wywoływać zamieszanie.

A zresztą i tak nie wiem, po co tutaj jestem.

Po raz dwudziesty wiadomość na temat mojej „sprawy”: 3 czerwca czytałem w gazetach, że teraz moja sprawa jest już doprowadzona do końca i że dokumenty zostały przesłane do sądu w Grimstad do oceny. W jakiś czas później gazety pisały, że sąd w Grimstad nie otrzymał żadnych dokumentów i że moja sprawa została odroczonej do jesieni.

Po roku 1947 nadejdzie 48, 49, 50... 60...

Widzę flagę opuszczoną do połowy masztu. Ktoś umarł, ale to jeszcze nie ja. Nie jest to też nikt z nas, my trwamy. Popychamy nasz wózek do przodu i nie stać nas na żadne lekkomyślne gesty, co to, to nie. Z drugiej jednak strony nic, żaden drobiazg nam nie umknie. O każdej sprawie trzeba pogadać. Zawsze wiemy, kto wszedł do środka, kto sobie zrobił nowy kostur, kto kupił ustnik do fajki. A kiedy dojdziemy do tego, że pies z sąsiedztwa czekał okropnie dziś w nocy, to wtedy już gadamy i gadamy.

Wspominałem już, rzecz jasna, że jedna z tych naszych dwóch piękności, siedzących w kancelarii i wypisujących rachunki, opuściła nas w ubiegłym roku. Nikt z nas nie był w stanie jej zatrzymać. A teraz znowu druga piękność także poszła swoją drogą i porzuciła nas. To dotkliwy cios. Nic nie można na to poradzić, ale to okropne. Obie tak chętnie przynosiły moje gazety, a gdy schodziły potem po schodach, wszystko wokół rozjaśniał ich promienny uśmiech. Nikt z nas nie ma sobie nic do zarzucenia, zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

To oczywiste, że my, młodszy mężczyźni, wstający jeszcze z łóżek, mogliśmy mieć jakieś szanse, tymczasem jednak zjawia się jeden taki, który ma 96 lat, i znowu wstaje, i zaczyna nas wszystkich obrażać. Do czego to dochodzi! Na dodatek owinał parę razy grubym wełnianym szalikiem gardło, bo jest trochę zaczerwienione.

Siedzimy na dużym tarasie pierwszego piętra, który oddano nam do użytku, rozsiedliśmy się wygodnie, pykamy z fajek, zajmujemy się jakimiś drobiazgami. Jesteśmy w dobrych nastrojach, więc i wargi nasze nie próżnują, pogoda jest niezwykła, jeszcze takiej nie widzieliśmy, nie pada od tygodni, a nawet od miesięcy, trawa się wypaliła, nie będzie paszy jesienią, ogrody stoją w upale i z trudem łapią powietrze, ziemniaki nie kwitną.

Ale takimi rzeczami my się już nie przejmujemy, cały wiek minął od czasu, kiedy byliśmy młodzi. Teraz dyskutujemy o tym, co widzimy, na przykład o długich schodach prowadzących z tarasu na dziedziniec, ile stopni mają te schody, kto może wejść po nich bez laski, kto potrafi iść po dwa stopnie na raz. Niektórzy bywają czasami okropnie zarozumiali, kawalerka po siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat, twierdzą, że znowu mają piegi na nosie, jak za młodu. Jeden miał niedawno urodziny i zmusił kierowniczkę, żeby mu zaprasowała kanty na spodniach. W porządku. Ale mimo wszystko narobiło to złej krwi. Przychodzi on czasem na taras spacerowym krokiem z żałośnie zniszczoną biurową teczką na zamek błyskawiczny, jakby prowadził jakieś przedsięwzięcie. Ważniak. O co mu chodzi? Żeby się obnosić z tą teczką i dzwonić kluczami w kieszeni! To nie uchodzi. A poza tym wypucowane buty w środku tygodnia i sportowa czapeczka, chociaż to nie jest niedziela ani nic takiego.

Teraz właśnie musiał bardzo z czymś przesadzić, bo inni mu nie uwierzyli, nie, nie uwierzyli mu ani na jotę, potrząsali głowami i śmiali mu się prosto w twarz. W końcu rozżłościł się na nich i poszedł sobie.

Ale to, oczywiście, nie było zerwanie na całe życie, wcale nie, żadna ze stron nie miała nic złego na myśli. W gruncie rzeczy ten człowiek jest tu bardzo popularny, on jest po prostu niezbędny, nikt tak jak on nie umie wytłumaczyć trudnych do pojęcia rzeczy o trzęsieniu ziemi, o ciałach niebieskich i o bombach atomowych. Kiedy na niebie

pokazał się samolot, on potrafił szczegółowo objaśnić, jak maszyna wygląda w środku.

– No, ale przecież tam nie ma ludzi – powątpiewali słuchacze.

– Nie ma? – zawołał. – Mnóstwo ludzi!

Znowu niedowierzenie.

– Nie widzimy nikogo.

Rzucił pospieszne spojrzenie w górę.

– Po ciężarze samolotu w powietrzu wnoszę, że na pokładzie może być jakieś piętnaście, dwadzieścia osób.

– Ha, ha, ha, nie, no przesada! Gdzie są te osoby?

Poukładały się i poprzywiązywały?

\*

Wiem, że raczej nie powinienem męczyć nikogo swoimi spekulacjami, nastrojami, ani tym, co mi się wydaje, u innych też tego nie znoszę. Ale tak mi szumi w głowie, a może to w ciele, albo w duszy, ale wciąż ten szum. To nie jest zaczynające się przeziębienie ani nic takiego, z czym mógłbym sobie poradzić, ubierając się cieplej albo zdejmując trochę ubrania. Czasem ten szum bywa też niczym anielskie granie, na kilkoro skrzypiec. Tak też bywa!

Wkrótce potem pojawia się coś innego. Jakiś wiersz, lub po prostu chaos, ale szum nigdy nie ustaje. Udręka dla mnie i dla innych.

Kiedy jestem taki rozżalony, pusty w środku i w ogóle do niczego, idę do lasu. To nie pomaga, ale też nie pogarsza sprawy. Nie słyszę już teraz szumu lasu, ale widzę, jak się gałęzie kołyszą i już samo to sprawia mi radość. Mam tu miejsce tylko dla siebie, to samo miejsce, które mój przyjaciel Martin z Hamraya wywęszył. Jest to rodzaj grotu czy jaskini pod skalnym nawisem, ziemia w głębi porośnięta jest trawą i wrzosem. Tutaj nikt nie może mnie zająć od tyłu i zobaczyć, co robię. To poważna korzyść dla kogoś, kto nie słyszy.

*Masz takie szerokie ręce, masz taką szeroką dłoń,  
zawsze byłeś tylko zwyczajną robotnicą.  
Z dawien dawna widywałem cię na polach,*

*dobry duchu dnia,  
w pośpiechu ścinałaś zboże, wiązałaś zgrabne snopki,  
i przy wykopkach też nie miałaś sobie równych.*

*Nie czytujesz książek i nie miewasz marzeń,  
lecz nikt nie jest jak ty – w chwilach uniesienia.  
Jesteś wtedy tak po świecku, tak bezbożnie czuła,  
płyniesz, rozptywasz się w tym, co teraz,  
i idziesz na dno, gdy spełnia się  
największy cud istnienia.*

*Widywałem cię, gdy praca ozłacała twoje lata.  
kiedy byłaś matką, gdy karmiłaś piersią.  
Cerowałaś, budowałaś, ochraniałaś swój dom,  
błogosławionaś między niewiastami,  
pokój spływa na ziemię, po której stąpasz!  
Masz takie szerokie ręce, tak pięknie siwe włosy,  
i uśmiech, który po dawnemu przypomina płomień.*

Czytam i nabieram przekonania, że nie jest to chyba takie najgorsze. Wielu nie pisze lepiej. Ale, naturalnie, w końcu wszystko skreśliam, wpatruję się zbyt długo w to, co napisałem, za dużo mam linijek i muszę pozostawiać inne linijki nie wykorzystane. Nie jestem Robertem Burnsem. O, dobrze znam ten stan, mam czegoś za dużo albo za mało, ogarnia mnie niepokój i rozpacz, wyrrywam z korzeniami trawę tam, gdzie siedzę. Teraz Arild powinien to przepisać na maszynie i wziąć albo wyrzucić, jak uważa. Mnie jest wszystko jedno. Jestem przecież przyzwyczajony do wyrzucania kartek z zapiskami, wyrzucałem je przez wiele lat, wyrzucałem i przywracałem do łask, i wyrzucałem znowu. Nad tymi ostatnimi wersami siedziałem trzy dni, wyrzucałem i przywracałem do łask w mojej grocie. I musiałem pilnie uważać, gdy piękne, ale niepowołane strofy chciały wywrócić wszystko do góry nogami.

Siedzimy razem, kilkoro przyjaciół. Ja dopiero co wydałem zbiór wierszy i szczęśliwie uniknąłem wysłuchiwanie opinii na ich temat. Ale

oto wchodzi Daniel i powiada: W twoich wierszach nie ma słodczy! Myślał chyba, że to dla mnie nowina. Ale nic podobnego. Daniel ma świętą rację. I nie tylko słodczy w nich nie ma, brak im także bardzo wielu innych rzeczy, brak im wszystkiego. Widzę to u innych poetów, mogę się wzruszać i płakać nad wierszami innych, ale sam nie potrafię takich wierszy pisać. Niebo zesłało na mnie tyle błogosławionych darów, ale ja rozmieniam je na drobne. Wystarczy, że ich dotknę, a rozsypują się, jakbym dotykał kwiatowego pyłku.

Nie pamiętam czy to Kønig, czy ktoś inny, odradzał mi wydanie tego zbioru, było to w każdym razie głupie z mojej strony, że nie posłuchałem. Daniel nie był taki szalony, on chciał po prostu być arystokratą. Przez całe życie należał do klasy wyższej, tak mówił. Każdy ma swoje przywary, on miał taką. Teraz z pewnością już nie żyje.

Zatem chodzę do lasu i piszę wiersze, choć się do tego nie nadaję. To taka moja gra, udawanie. Jestem na siebie zły za tamten zbiór, ale co się stało, to się nie odstanie. Gdyby ktoś zadał sobie trud i uważnie przeczytał, znalazłby w nim może jakieś przebłyski, ale tylko przebłyski. Pamiętam też, z jaką obojętnością się do niego odnosiłem, nie wybierałem wierszy, zgarnąłem tylko plik arkuszy, włożyłem do koperty i posłałem Kønigowi.

Wiele lat później stałem w kotłowni hotelu w Bodo i paliłem wszystkie wiersze, jakie mi zostały. Tak się to skończyło. Ach, nie, przepraszam, wiele lat potem znowu stałem w kotłowni hotelowej, tym razem w Honefoss, i paliłem wiersze po raz ostatni. Nie pamiętam już, jak się nazywali moi ówczesni gospodarze, ale pomagali mi oni rozniecać ogień. Sela, powiada Dawid.

Nie chciałbym teraz sprawiać wrażenia, że miałem aż tyle tych wierszy. Nie, nie. Ale te, które spaliłem, nie były chyba ani lepsze, ani gorsze niż zbiór. A zresztą, całe to kleczenie wierszy bardzo mnie pochłaniało i dostarczało radości, kiedy się tym zajmowałem. Bywały to dobre chwile i zdarzały mi się przebłyski.

\*

Latem „Verdens Gang” napisał, że moja sprawa będzie

rozpatrywana we wrześniu. W trzy dni później inna gazeta podała, że moja sprawa nie będzie rozpatrywana we wrześniu. Nikt nic nie wie, ale wszyscy uważają, że zabawnie jest o tym pisać. A dlaczego by nie pomilczeć o mnie i o mojej sprawie?

To samo słońce, ta sama susza. Idę na swoją codzienną przechadzkę do wsi i widzę, że wszystko jest wypalone. To bolesny widok. Las zagrożony i chyba duże połacie trzeba będzie sadzić na nowo, wrzosa bez kwiatów dla pszczół. Czy już kiedyś tak było? Pszczoły przylatują na dawne miejsca, rozglądają się, brzęczą trochę i odlatują do ula.

Dochodzę do wielkiej wyrwy w drodze. Boję się tego okropnego miejsca i staram się trzymać jak najbliżej krawędzi. Przez długi czas wrzucano tu drobne kamienie, śmieci, szmaty i wszelkiego rodzaju odpadki, w najgorszym miejscu znalazł się nawet przydrożny kamienny słup. W drodze powrotnej jednak znajduję się na najbardziej niebezpiecznej wewnętrznej krawędzi i przechodzę dosłownie z narażeniem życia. Złości mnie, że tak mi się kręci w głowie, że się boję, że taki ze mnie urodzony tchórz, i dzisiaj zmuszam się, by choć raz stanąć na krawędzi i spojrzeć w dół. Drzę i dygoczę, ale zmuszam się, by podejść jeszcze trochę bliżej i spojrzeć w dół.

No, tak, chyba trochę przesadziłem...

Właściwie nic groźnego, nawet nie stoczyłem się w dół, lecz zjechałem po zboczu na plecach i siedzę.

Nie, naprawdę nic groźnego, rozejrzałem się wokół. Z miejsca, w którym siedziałem, głębia nie wydawała się już taka wielka, otchłań nie była bezdenna, triumfowałem nad jeziorkiem, położonym głęboko w dole, lekceważyłem je, spoglądałem na nie z góry. To przypadek sprawił, że się tu znalazłem i nie zamierzam pozwolić, by ten przypadek zwyciężył, udaję, że bardzo mnie zajmuje grzebanie w śmieciach, są tu interesujące rzeczy, zwoje stalowego drutu i kości, i jakiś zdechły kot, i blaszane puszki. Gdyby ktoś przejeżdżający drogą teraz się zatrzymał, to nie musiałby sądzić, że spadłem z urwiska, mógłbym mu powiedzieć, że szukam tu czegoś, na przykład jakichś ważnych papierów, które wiatr wyrwał mi z ręki.

Z kupy śmieci wystaje jakiś papier, brzeg gazety. Próbuje

wyciągnąć całą gazetę, ale mi się to nie udaje, siedzę z oderwanym strzępem w ręce. Nie mam przy sobie okularów, nie mogę więc przeczytać, ale zdaje mi się, że rozpoznaję gotyckie litery, a zatem to lokalna gazeta. Wkładam strzęp do kieszeni.

Teraz trzeba jakoś wrócić na drogę. Jeśli na górze stoi ktoś przejezdny, to dostarczę mu zabawy, kiedy zobaczy mnie wdrapującego się po osypisku, idę ostro do wiatru, bejdewindem. I wcale nie była to zbędna wyprawa, idę ze zdobyczą w kieszeni, przypadek nie zatriumfował.

Wracam do domu trochę zmęczony, ale to moja sprawa. Naturalnie i zdobycz mogłaby być okazalsza, ale nie ma o czym mówić. Zresztą przy bliższych oględzinach zdobycz okazała się wcale nie taka marna. Był to kawałek gazety bez początku i końca, fragment większego tekstu, tylko tak nieszczęśliwie przedarty, że całkiem pozbawiony sensu. O ile zdołałem zrozumieć, mowa jest o pewnym mężczyźnie i o pewnej kobiecie, którym było ze sobą rozpaczliwie źle, dość banalna historia z życia artysty. Mógłbym wyrzucić ten papier, ale musiałbym mieć co innego, żeby to przynieść do domu. W każdym razie nie mam zamiaru robić tragedii z tej historii. Siedziałem więc będąc władny zrobić, co zechcę. Mógłbym po prostu pogodzić tych dwoje ludzi, tych krzykaczy. Miałem taką władzę. Marsz do domu i pogodzić mi się!

\*

– *Czy mogłabyś raz uciszyć to dziecko?*

– *Nie, chyba słyszysz.*

– *No, tak! Tak właśnie mi pomagasz!*

– *To spróbuj sam ją uspokoić.*

– *Tak. Ale ja absolutnie muszę skończyć ten cholerny rysunek. To jest 25 koron, wiesz przecież.*

– *Tego nie starczy nawet na komorne.*

– *Och, z tobą nie można rozmawiać. Ty natychmiast ściągniesz człowieka w dół.*

– *Jak długo już się zajmujesz tym rysunkiem?*

– *Od ubiegłego roku. A teraz wychodzę.*

- *Nie możesz tego zrobić, bo ja muszę iść z praniem.*
- *No, to idź.*
- *Mam zostawić małą bez opieki? A teraz będę miała jeszcze jedno!*
- *Nie ma na to żadnej rady.*
- *To mnie doprowadza do rozpacz.*
- *Nie jesteś sama.*
- *Pomyśl, jeszcze jedno dziecko! A ja jestem taka młoda.*
- *Śłuchaj, Olea, może gdybym poszedł do innej gazety, to dostałbym więcej.*
- *Może.*
- *Ale rysunek nie jest skończony.*
- *No, to usiądź nareszcie i dokończ go. A ja spróbuję uspokoić małą.*
- *Dobrze. Wymażę głowę Jana na tacy. To nie jest najlepsze.*
- *Nic podobnego!*
- *Co ty tam wiesz! Wymażę mimo wszystko.*
- *To może znajdziesz miejsce na małą stajenkę i na żłobek.*
- *Co???*
- *Cii! Przestraszysz ją!*
- *Ale ty jesteś wariatka, Olea!*
- *Miałam na myśli tylko mały kącik. Gdzieś przy marginesie.*
- *Ha, ha, ha, ale to się przecież dzieje w królewskim pałacu. W Jerozolimie.*
- *Ja nie wiem, ale było ładnie tak, jak było. I dużo kolorów. To by pasowało do świątecznej gazety.*
- *Olea, ty mnie wpędzisz do grobu. Czyś ty widziała świąteczną gazetę?*
- *Widziałam.*
- *Nigdy bym nie pomyślał.*
- *Nie, bo ty o niczym nie myślisz. Ty tylko rysujesz i ścierasz.*
- *Bo nie wychodzi mi tak, jak bym chciał. Jestem artystą.*
- *Tak. A ja praczką.*
- *O, teraz znowu humory. Ale świąteczna gazeta...*
- *Do świątecznych gazet najlepiej płacą.*



– *W tym masz całkowitą rację. Gdzie jest gumka?*  
– *Skąd mam wiedzieć?*  
– *No pewnie. Ale tu jest przecież tylko jeden pokój na wszystko. I ja muszę tu siedzieć i się męczyć.*  
– *To nie jest moja wina, Frode.*  
– *Milcz. Czy nie dotarło do ciebie, że muszę wymazać cały pałac?*  
– *O, nie przesadzaj jak zwykle. Tam jest tyle pięknych kolorów.*  
– *Możliwe, zostawię trochę na tę stajenkę. Nie przeszkadzaj mi, pozwól mi tylko pracować. Czy mogłabyś wyświadczyć mi tę przysługę i wyjść z nią na korytarz na chwilę? Później cię zawołam... Chodź no. Popatrz na stajenkę i żłobek.*  
– *Jak żywe.*  
– *Prawda? To będzie dopiero szaleństwo. Sama zobaczysz. To przecież jest w pałacu, tłumy ludzi. Córka Herodiady tańczy.*  
– *Przecież wiem.*  
– *Wcale nie wiesz. I wszyscy ci ludzie, te tłumy ludzi. To są królowie i księżęta, i dworzanie, ponad dziesięć tysięcy.*  
– *Zostaw ich po prostu. Jest przecież napisane, że w gospodach nie było miejsca. Au, stopi Wymazujesz córkę Herodiady!*  
– *Oczywiście. Wynocha z nią!*  
– *Nigdy nie mówiłeś, że trzeba mnie wymazać.*  
– *A to co znowu? Ty płaczesz?*  
– *Mógłbyś mnie zostawić. Nie przeszkadzałam ci przecież.*  
– *Ale Olea, kochanie, nie mogłaś tańczyć przed stajenką.*  
– *A właśnie, że mogłam.*  
– *No nie, nigdy się z tobą nie zgodzę, jeżeli chodzi o moją sztukę. Ale namaluję ci inny portret, prawie nic na sobie nie będziesz miała, tylko cieniutki tiul, a poza tym mnóstwo ozdób.*  
– *Nie będzie już taki ładny jak tamten.*  
– *Dużo ładniejszy. Ty mnie jeszcze nie znasz, sprawię, że kamienie szlachetne będą się jarzyć, płonąć. Będziesz miała potrójny naszyjnik. Ale najpierw pozwól mi pracować i skończyć ten świąteczny rysunek. Właściwie powinienem zrobić całkiem nowy rysunek, ale nie mam już na to czasu, a poza tym tu jest dużo ładnych kolorów, jak powiedziałaś. Jak to dobrze, że ją uciszyłaś.*

- *Po prostu usnęła. Potrójny naszyjnik? Nie, to przesada. Ale bardzo bym chciała mieć wielkie kolczyki, takie zwisające.*
- *Teraz narysuję tutaj osła.*
- *Żebym tylko nie była za gruba. Bo mam przecież mieć jeszcze jedno.*
- *Nie, skąd, polegaj na mnie. Jestem artystą.*
- *Polegać na tobie? No wiesz, wybacz!*
- *No to rób sobie, co chcesz.*
- *Teraz znowu się kłócimy.*
- *Nie wiem, co ty robisz, ale ja jestem zajęty i haruję. Haruję od rana do nocy.*
- *Tak. A ja haruję nad swoim praniem, z którego żyjemy.*
- *Olea, taka jesteś mała, ale głębo to masz od ucha do ucha. Teraz narysuję zwyczajną rodzinę, która musi się tam dostać na osła.*
- *Nie chcę już więcej patrzeć.*
- *Nie rozumiem, na co się tak złościysz. Nie wymazałem przecież wszystkich widzów, którzy mają się przyglądać, jak tańczysz, wprost przeciwnie, wszędzie aż się roi od ludzi. I trzej królowie też tu stoją, w swoich wspaniałych strojach ze Wschodu. Powinnaś być zadowolona. Naprawdę teraz jestem na najlepszej drodze, rozgrzałem się.*
- *No, to ja idę z praniem.*
- *Nie, poczekaj chwileczkę. Dorysuję jeszcze parę krzaków i kilka libańskich cedrów. Powinnaś dostać ze czterdzieści koron za taki duży rysunek.*
- *Ja?*
- *Tak. Nie ulega wątpliwości, że ty dostaniesz więcej niż ja. Zawsze tak było. Bo ja jestem zbyt dumny, by stać tam i wysłuchiwać gadania tych redaktorów. Spróbuj w „Gwieździe Betlejemskiej”, Olea. A ja zaniosę twoje ciężkie pranie, biedaczko.*
- *Naprawdę chciałbyś?*
- *Oczywiście, że chcę. Bo ja jestem twój Frode, wiesz o tym.*

\*

Chciałem powiedzieć o wielu rzeczach w tych zapiskach, ale nie

zrobiłem tego. Miałem powody, by obawiać się najgorszego i wolałem milczeć. Nasze życie i nasza epoka może toczyć się swoim torem, jeśli o mnie chodzi, wszystko może toczyć się swoim torem. Ja siedzę tutaj.

Wczoraj opuściliśmy flagę do połowy masztu. To nie ja umarłem, lecz mężczyzna w średnim wieku, miał 56 lat, i nie był to tak zwany nieszczęśliwy wypadek, ale zwyczajny, pospolity rak.

To zresztą obojętne. Ten człowiek miał pewnie swoje plany, on także, ale został zatrzymany.

A my, starcy, wciąż prowadzimy nasze bezsensowne rozmowy i krząmy się wokół swoich spraw.

Przychodzi mi do głowy, że w jakiejś gazecie widziałem słowo stolarz. Co to jest stolarz? Naturalnie jest to nie tylko słowo, stolarz, to nie byle co, ale gdy słowo zostało napisane, wydaje się takie odarte i puste, że nie zawiera już nic ze swojej pierwotnej treści, skończyło jako nowe odkrycie gazetowych pismaków. Żał mi stolarza, kiedyś przeznaczony był do czegoś więcej. A teraz jest tak, że ja sam chcę dokonać odkrycia i restaurować stolarza. Kosztuje mnie to tylko jedno słowo, jeśli to w ogóle jest słowo: strugacz.

Dlaczego „strugacz” nie mogłoby być używanym słowem. Oba rdzenie są tak samo dobre, a połączone przydają stolarzowi wspaniałej pełni, rozsądku i sensu. Nie zawsze miałem tyle szczęścia w moich odkryciach.

Używałem na przykład słowa „człowiek” i czyniłem to w dobrej wierze. Nie wiem, czy w istocie nie jest to słowo pochodzenia niemieckiego, ale jest nam ono przecież niezbędne. Tylko gazetowi pismacy mogą go unikać, a w zamian używać słowa „on”. Nie widziałem niczego bardziej pustego i bezsensownego niż ów zaimek „on”, a zresztą nie mogę przecież używać dwóch słów jednocześnie. Widziałem w gazetach słowo *jalusi*. Nie jest ono norweskie, nie jest też już francuskie, ale może oddawać pewne pojęcie, pewien stan ducha. Mamy wspaniałe rodzime słowo na określenie tego stanu, mianowicie zazdrość. Pamiętam, że Hjalmar Falk nalegał, żeby pisać to tak, aby przypominało słowo używane przez Lapończyków w północnej Szwecji na określenie garbowanej skóry cielecej, którą starający się o pannę kawaler musi dać rodzinie. Ach ten Falk! Do czego to dochodzi, kiedy

człowiek na własną rękę staje się filozofem w zakresie języka, nie sięgając po żadną naukową pomoc. Sami Szwedzi nie przejmują się żadną cielecą skórą, a stan ducha, o którym tu mówimy, nazywają czarną chorobą. Tak więc *jalusi* nie znaczy nic ani tu, ani tam. Ot taki wymysł.

A zresztą, kiedy przyjdzie co do czego, okazuje się, że to najzupełniej obojętne, jak się posługujemy językiem. Wszystko powinno być dozwolone, jeśli tylko może nam w czymś pomóc.

To Ol Hansa wpadł na ten pomysł i potrafił to wytłumaczyć. Weź na przykład samogłoski i spółgłoski, mówił, na co by nam było coś takiego, gdybyśmy mogli radzić sobie bez nich? To tylko nieustający wiatr, jak powiada kaznodzieja w Biblii. Ol'Hansa przeczytał mnóstwo książek i jest człowiekiem obeznanym z wieloma profesjami i naukami, co prawda, to prawda. Miał niedużą chałupkę, kawałek ziemi i parę zwierząt, to było dość dla niego i dla rodziny, żadnej przesady, ale też żadnego niedostatku ani długów u kupca. Radził sobie bardzo dobrze. Bywał dziennikarzem, kiedy tak wypadało, chwycił wtedy za pióro i pisał, ale przede wszystkim był wielkim narratorem, mistrzem opowieści, na słuchaniu go spędziliśmy niejedną wieczór.

Jego życiowa wiedza opierała się na przekonaniu, że my, ludzie, podejmujemy zbyt wiele wysiłków, by uczyć się rozmaitych, najzupełniej nieprzydatnych rzeczy, z którymi potem musimy sobie jakoś radzić. Pozwólmy rzeczom toczyć się swoim torem, a wszystko samo się ułoży. Chyba nie zawsze pozostawał w zgodzie z logiką, lecz logika, powiadał Ol'Hansa, otóż logika nie zawsze bywa tak bezwzględnie niezbędna. Potrafię tego dowieść, zapewniał.

– W porządku – mówiliśmy. – Zaczynaj.

– Przyszedł do mnie sąsiad, by pożyczyć krowią kołatkę. Pożyczyłem mu. Ale on mi kołatki nie odniósł, a gdy minął rok czy dwa, zaczęła mi ona być potrzebna, bo kupiłem sobie jeszcze jedną krowę. W końcu poszedłem do sąsiada i poprosiłem o zwrot kołatki.

– Jestem biednym człowiekiem – odparł tamten i prawie płakał.

– Moja kołatka – powtórzyłem.

– Tak, ale na Boga, czy ty nie słyszysz, co mówię?

– I gdzie tu logika? Poszedłem tedy do obórki, żeby się rozejrzeć

za kołatką. Owszem, znalazłem ją, wisiała na gwoździu, ale była bez życia. Kołatka straciła serce.

Stałem i zastanawiałem się. Mój sąsiad wyjaśnił mi wszystko zrozumiale, pomijając logikę. Przypuszczał mianowicie, że pójdę do sądu w sprawie kołatki. Teraz ja byłem bliski płaczu. Miałem tego człowieka w garści, ale nie wykorzystałem tego i nie opisałem go w gazetach. Nic podobnego nie przyszło mi do głowy, byłem natomiast głęboko poruszony.

– Tak, Ol’Hansa, jesteś nadzwyczaj dobrym człowiekiem, wszyscy o tym wiedzą. Ale co z tymi samogłoskami i spółgłoskami, o których zacząłeś opowiadać?

– No dobrze. Ale to sprawa z mojej młodości, nie miałem wtedy jeszcze dwudziestu lat, byłem bardzo młodym chłopcem. Kiedy cię w tym wieku pytają o samogłoski i spółgłoski, robisz się błądy i nie wiesz, co powiedzieć. To jest coś najtrudniejszego, co możesz sobie wyobrazić. Słyszałeś o czymś takim, uczyłeś się tego, ale kiedy w końcu coś odpowiesz, to ja tylko potrząsnę głową, nic więcej, a ty jąkasz się i mówisz coś dokładnie odwrotnego niż trzeba.

– Posłuchajmy.

– W czasie mojej wędrówki dotarłem do Gildeskal w Salten i szukałem zajęcia u posterunkowego. Nie dostałem go. Włóczyłem się tedy trochę po okolicy, aż znalazłem się w gospodarstwie o nazwie Indyr. Siedzieliśmy właśnie w izbie i rozmawialiśmy, gdy do Indyr przyszła pastorowa. Była młoda i ładna, wszyscy ją pozdrawiali i prosili siadać. Widząc to wstałem i chciałem wyjść. „Czy wy nazywacie się Ola Hansen?” – zapytała piękna pastorowa. – Tak – odparłem z ukłonem. „Pastor chciałby z wami porozmawiać”. Patrzyła na mnie i rumieniła się, bo przyszła z tą wiadomością i była młoda.

Poszedłem do pastora na drugi dzień i znalazłem go przed domem, siedzącego na ławce; miał na głowie duży słomkowy kapelusz, a jego zarost był siwy. „Brakuje nam nauczyciela w tej okolicy – powiedział. – Czy nie moglibyście podjąć się prowadzenia szkoły przez jakiś czas?” – Owszem – odparłem.

Pastor polecił mi odszukać jakieś miejsce w Nowym Testamencie i przyglądał mi się spod oka, sprawdzając jak szybko sobie z tym poradzę.

Gdy przeczytałem kawałek, powiedział: „Nawykliście do czytania. Kiedy byliście confirmowani?”

– Trzy lata temu – odparłem. „Przykazania naturalnie pamiętacie. A ile jest modlitw w >Ojczenasz<?”

– W >Ojczenasz<? – „No tak, uważacie, jak widzę, że to jedna jedyna modlitwa, i macie rację. A umiecie liczyć? Dziewięć razy dziewięć? Będziecie przede wszystkim uczyć dzieci katechizmu. Umiecie pisać? Tu jest papier i ołówek, pokażcie mi, napiszcie słowo: uświęcenie”. Napisałem: uświcenie. „Litery nie są najgorsze – powiedział. – Ale opuściliście >ę<. Nie, mój drogi Ola Hansen, nie umiecie wystarczająco dużo”. Pastor chciał wstać.

Żeby się lepiej zaprezentować dalej pisałem na kartce, a potem pokazałem mu to, dużo naprawdę długich słów. Ale pastor nie chciał już na to patrzeć. „Piszecie źle – oświadczył. – Piszecie okropnie źle”. – Proszę o wybaczenie – powiedziałem.

Widocznie poruszyło go to, że przepraszam, więc nie pozwolił mi tak natychmiast upaść, pytał mnie jeszcze o liczbę pojedynczą i liczbę mnogą, o znaki przestankowe.

Odpowiadałem, co mi ślina przyniosła na język, nie wiedziałem nic. „Spółgłoski i samogłoski” – powiedział. To było okropne, ale musiałem trafić akurat dokładnie nie tak jak trzeba. Zebrał pospiesznie swoje rzeczy, machnął raz swoim dużym kapeluszem, podziękował i poszedł.

Siedziałem jeszcze przez chwilę, a potem umknąłem. Spoglądałem w okna plebanii i byłem załamany. Teraz on, naturalnie, pobiegł, żeby wszystko opowiedzieć żonie. „Spójrz tutaj – mówił zapewne do niej. – Zobacz, jak on stawia litery. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem. A o spółgłoskach i samogłoskach nie wie po prostu nic”.

Rzeczywiście, nie wiedziałem. Ale było mi akurat wszystko jedno, nikt tego nie wie. Próbowałem wymieniać samogłoski i spółgłoski w odwrotnym porządku, ale nie czyniło mnie to bardziej szczęśliwym, ani odrobinę radośniejszym, więc równie dobrze mogłem splunąć na to wszystko. Po co ta cała szarpanina? To tylko wiatr. A pastor miał ostry, nieprzyjazny głos, który mnie przytłaczał. Poza tym nazywał się Daae, to pamiętam.

– Tak, Ol’Hansa, ale nie rozumiem...

– Zaraz ci wytłumaczę. Musimy się uczyć tylu niepotrzebnych rzeczy, które potem mamy przez całe życie przechowywać. Spójrz na gazetowych pismaków, jak oni to robią. Oni nie korzystają wcale z tej papuziej wiedzy, nie przejmują się tym, czy są rozumiani, czy nie. Widziałem dzisiaj zniszczony fotel klubowy, który należał do pewnego starego rektora szkoły, rektor siedział w nim, dopóki nie umarł, gromadził i porządkował, siedząc w tym fotelu, cenne umiejętności przez siedemdziesiąt lat, a teraz dzieci sprzedały jego fotel.

...

Zachowałem się tu jak nieznośny pies. Pomieszałem ze sobą gazetowych pismaków, i siebie samego. Tak, że nikt z nas nie ma nic do powiedzenia.

\*

Czas płynie. Spadł śnieg i zrobiła się zima. W tym miejscu się zatrzymuję. Nikt nie wie, jak długo tu siedziałem i zastanawiałem się, ale nie posunąłem się daleko. Myślałem, że mógłbym powiedzieć coś wyjątkowego i trafnego o śniegu i zimie, ale się pomyliłem. Zresztą, niech będzie, jak chce. Obudziłem się któregoś ranka i zobaczyłem śnieg i zimę, to wszystko. Och, ale to nie wszystko, śnieg i zima nie są dobre dla mnie.

Że też może istnieć taka okropna pora roku! Młoda dziewczyna mówi o niej dzwoniąc zębami, mądra mrówka chroni się parę metrów pod ziemią, byleby tylko uniknąć zimy. Ale mnie zimno nie szkodzi, ja dostałem dobre buty, tylko wczoraj czytałem depesze z terenów dotkniętych głodem, pisano o dzieciach, które nie mają ani odrobiny jedzenia, o dzieciach, które matki muszą ogrzewać własnym ciałem, żeby nie zamarły.

W obliczu czegoś takiego człowiek nie może powiedzieć nic, zadać ani jednego dodatkowego pytania. Góry stoją daleko w całej swojej okazałości, zupełnie samotne, las został uśmiercony, jest martwy jak kamień, wszystko pogrążone w milczeniu, śnieg jest biały i miły, pokrywa wszystko, mróz odrzuca wszelką równość i nie pozwala

człowiekowi zaprowadzić swoich porządków.

Czas płynie.

Moja „sprawa” ma nadal przed sobą długą perspektywę. Przedstawiciel ministerstwa sprawiedliwości nie może zrobić więcej, niż zrobił, co pewien czas oficjalnie donosi, że sprawa, nie, sprawa nie została jeszcze „wyznaczona”. W październiku ma nadzieję, że odbędzie się „jesienią”. Również w listopadzie ma nadzieję doprowadzić do rozprawy „jesienią”. Jesienią, powiada. Może to jednak oznaczać, że trzeba będzie przeczekać zimę.

Tymczasem ów przedstawiciel dostaje telefon od osoby, której nie może tak po prostu zbyć. Zamieniają ze sobą kilka słów i uzgadniają, że moja sprawa nie może być już więcej odraczana. Została wyznaczona na 16 grudnia 1947 roku. Tydzień przed Bożym Narodzeniem.

Chodzę po moim domu starców z tą nowiną, co tam chodzę, biegam w kółko i wszystkim po kolei przekazuję wiadomość.

\*

Nadszedł oczekiwany dzień. Sąd się zebrał.

Ponieważ nie słyszę, a i wzrok bardzo mi się popsuł w ostatnich latach, jestem trochę oszołomiony, wchodzę do mrocznej sali sądowej, wszystko trzeba mi tłumaczyć, rozróżniam tylko niektóre rzeczy. Przemawia prokurator, odpowiada mu mój obrońca, wyznaczony na miejscu. Potem następuje przerwa.

Ani nie słyszałem, ani nie widziałem, co się wokół mnie działo, ale jestem spokojny, zresztą dostrzegam coraz więcej. Po przerwie dostaje głos dla przedstawienia swojej sprawy. Dość to dla mnie kłopotliwe, przy tym marnym oświetleniu, przynoszą mi więc lampę, ale też niewiele widzę, trzymam w ręce swoje notatki, lecz już nawet nie próbuję do nich zaglądać. Niech będzie, jak chce. To, co powiedziałem, przytaczam tu zgodnie ze stenogramem sądowym.

\*

*„Cóż, nie chciałbym zabierać Wysokiemu Sądowi zbyt wiele czasu.*



*To przecież nie ja zaanonsowałem w prasie, dawno, dawno, ponad rok temu, że zostanie tu ujawniony pełny rejestr moich grzechów. Zrobił to człowiek z ministerstwa sprawiedliwości, prawnik, pospołu z jakimś dziennikarzem. To mi zresztą bardzo odpowiada. Ja sam, przed dwoma laty, w liście do Prokuratora Generalnego napisałem, że chciałbym wyjaśnić wszystko, co mnie dotyczy. Teraz jest po temu okazja, chciałbym więc przyczynić się do tego, by rejestr moich grzechów został pod względem prawnym i moralnym gruntownie rozpatrzony.*

*Wielokrotnie w ciągu tych lat, które minęły, widziałem, jak ludzie stawali przed sądem i okazywali wiele sprytu, bronili się zaciekle wobec sądzącego zespołu, wobec przysięgłych i prokuratorów, ale niewiele im to pomogło. Sąd w ogóle był mało podatny na te ich zabiegi. Sąd polegał raczej na postulatach oskarżyciela publicznego, prokuratora. Na tak zwanych postulatach. Jest to dziwne pojęcie, którego nie rozumiem. Oświadczam zatem, że nie będę sprytny, tu i teraz nie.*

*Muszę ponadto przeprosić za moją afazję, sprawiającą, że słowa i wyrażenia, które wybieram z tego, co mi się nasuwa, mogą wykraczać poza to, co chciałem powiedzieć oraz niedokładnie oddawać moje poglądy.*

*Zresztą już wcześniej odpowiedziałem na wszystkie pytania, o ile wiem. Początkowo przychodzili do mnie, bez uprzedzenia, policjanci z Grimstad, z papierami, których zresztą nie czytałem. Potem był sędzia śledczy, dwa, trzy, albo i pięć lat temu. Było to tak dawno temu, że już niczego nie pamiętam, ale odpowiadałem na pytania. A potem nadszedł ten długi okres, gdy tkwiłem zamknięty w pewnym zakładzie w Oslo, gdzie chodziło o stwierdzenie, czy jestem chory psychicznie, czy może raczej o stwierdzenie, że jestem chory psychicznie, i gdzie musiałem odpowiadać na najrozmaitsze idiotyczne pytania. Tak że nie mogę teraz niczego już wyjaśnić bardziej, niż to dotychczas zrobiłem.*

*To, co może mnie powalić – na ziemię – to tylko i wyłącznie moje artykuły w gazetach. Nie ma nic innego, czym można by mnie obciążyć. Mój rachunek jest prosty i jasny. Niczego nie zrobiłem, nie uczestniczyłem w zebraniach, nie byłem nawet zamieszany w żadne afery czarnorynkowe. Nie dałem nic żołnierzom frontowym, ani NS, którego jakoby miałem być członkiem, tak się teraz mówi. A zatem nic! Nie*

*byłem członkiem NS! Próbowałem zrozumieć, czym jest NS, próbowałem się do niego włączyć, ale nic z tego nie wyszło. Zgoda, że mogłem od czasu do czasu napisać coś w duchu NS. Nie wiem tego, bo nie wiem, na czym polegał duch NS. Ale mogło się, oczywiście, zdarzyć, że napisałem coś w duchu NS, że mogło przeniknąć do mnie coś z tego, co czytywałem w gazetach. W każdym razie moje artykuły są wszystkim dostępne. Nie próbuję ich zredukować ani czynić mniej wymownymi niż są, byłoby to dość głupie. Przeciwnie, podpisuję się pod nimi teraz, tak jak przedtem, i tak jak zawsze.*

*Niech mi wolno będzie zwrócić uwagę, że żyłem i pisałem w okupowanym kraju, w kraju podbitym, i w związku z tym chciałbym tu dołączyć kilka krótkich informacji o sobie.*

*Mieliśmy nadzieję, jak się okazało fałszywą, że Norwegia będzie mogła uzyskać wysokie, przodujące miejsce w wielkogermańskim społeczeństwie światowym, które miało powstać i w które wszyscy wierzyliśmy, mniej lub bardziej, ale wierzyliśmy w nie. Ja w nie wierzyłem, dlatego pisałem to tak, a nie inaczej. Pisałem o Norwegii, która teraz miała uzyskać ważne miejsce wśród germańskich krajów w Europie. To oczywiste, że musiałem przy tym pisać także w odpowiednim stopniu o władzy okupacyjnej, chyba nietrudno to pojąć. Nie mogłem przecież narażać się, żeby zaczęto mnie podejrzewać – do czego, paradoksalnie, i tak, mimo wszystko doszło. Przez cały czas żyłem w moim domu w otoczeniu niemieckich oficerów i załogi, nawet w nocy, tak, wielokrotnie bywali tam także nocą, do białego rana, i wielokrotnie odnosiłem wrażenie, że jestem otoczony obserwatorami, ludźmi, którzy mają kontrolować mnie i moich domowników. Dwukrotnie (jeśli dobrze pamiętam) ze strony stosunkowo wysoko postawionych Niemców otrzymałem upomnienie, dwukrotnie przypominano mi, że nie robię tyle, ile robią niektórzy Szwedzi, wymieniano ich zresztą z nazwiska, i podkreślono, że Szwecja jest przecież krajem neutralnym, w przeciwieństwie do Norwegii. Nie, nie byli oni ze mnie zadowoleni. Oczekiwano ode mnie więcej niż otrzymywano. Gdy zatem w tych okolicznościach i przy tych stosunkach siadałem, żeby coś napisać, to rozumiałe, że musiałem balansować, trzeba przy tym pamiętać, kim byłem, i że człowiek z moim nazwiskiem musiał balansować pomiędzy*

własnym krajem a tamtymi. Mówię to nie po to, by się usprawiedliwiać. Ja się naprawdę nie bronię. Mówię o tym dla wyjaśnienia, by poinformować Wysoki Sąd, jak to było.

I nikt mi nie powiedział, że to błąd, iż siedzę tam i piszę, nikt w całym kraju. Siedziałem sam w swoim pokoju, zdany wyłącznie na siebie. Nic nie słyszałem, byłem głuchy i nikt nie chciał mieć ze mną do czynienia. Stukano do mnie z dołu w rurę od pieca, żebym zszedł na posiłek; ten odgłos słyszałem, schodziłem na dół, jadłem i wracałem do siebie. Tak było miesiącami, latami, przez cały ten czas tak było. i nigdy nie dotarł do mnie żaden znak. Nie byłem przecież ukrywającym się uciekinierem. Miałem odrobinę znane w kraju nazwisko. Zdawało mi się, że mam przyjaciół w obu norweskich obozach, i u quislingowców, i w ruchu oporu. Nigdy jednak nie dotarł do mnie żaden znak ze świata zewnętrznego, najmniejsza dobra rada. Nie, świat zewnętrzny bardzo uważnie trzymał się z daleka. Moim domownikom i rodzinie też rzadko, albo zgoła nigdy, nie przychodziło do głowy, że powinienem być informowany o sytuacji, że powinienem otrzymać pomoc. Wszystko trzeba mi było przekazywać na piśmie, a to wydawało się zbyt męczące. Tak więc siedziałem sam. I w tych okolicznościach pozostawało mi tylko trzymać się moich dwóch gazet: „Aftenposten” i „Fritt Folk”, w nich nie mówiono przecież, że popełniam błąd pisząc. Wprost przeciwnie.

I to nie był błąd, że pisałem. Ani nie było błędem to, co pisałem. Słuszne było, że pisałem i słuszne było to, co pisałem.

Mogę to wytłumaczyć. Bo cóż takiego pisałem? Pisałem, by powstrzymać norweską młodzież i norweskich mężczyzn przed robieniem głupstw i drażnieniem okupacyjnej władzy, co nie mogło przynieść żadnego pożytku, jedynie porażkę, a nawet śmierć ich samych. To właśnie pisałem, to starałem się na różne sposoby mówić.

Ci, którzy mnie teraz przesłuchują, ponieważ to oni zwyciężyli, zwyciężyli zewnętrznie, że tak powiem, na powierzchni, oni nie miewali, tak jak ja, wizyt rodzin, od najmniej znaczących do bardzo ważnych, które przychodziły z płaczem, bo ich ojcowie, synowie i bracia siedzieli zamknięci w otoczonych kolczastym drutem obozach i zostali skazani na śmierć. Tak, byli skazani na śmierć.

Cóż, ja nie miałem żadnej władzy, ale oni przychodzili do mnie.

*Nie miałem żadnej w ogóle władzy, ale telegrafowałem. Zwracałem się do Hitlera i do Terbovena. Szukałem także dojścia do innych, na przykład do człowieka nazwiskiem Muller, który, jak mówiono, miał władzę i wpływy, choć ukrywał się za kulisami. Musi chyba istnieć gdzieś jakieś archiwum, w którym znajdują się moje telegramy. Było ich wiele. Kiedy czas naglił, kiedy chodziło o życie lub śmierć mojego ziomka, telegrafowałem dzień i noc. Zatrudniłem żonę mojego zarządcy, żeby nadawała telegramy przez telefon, ponieważ sam nie byłem w stanie tego robić. To właśnie te telegramy wzbudziły na koniec podejrzliwość Niemców wobec mnie. Traktowali mnie jako swego rodzaju pośrednika, niezbyt godnego zaufania, na którego trzeba uważać. W końcu Hitler przestał się zajmować moimi podaniami. Znudzily go. Odesłał mnie do Terbovena, ale Terboven mi nie odpowiadał. Czy i w jakim stopniu moje telegramy komuś pomogły, tego nie wiem, podobnie jak nie wiem, z jakim skutkiem moje kawałki w gazetach odstraszały moich ziomków, tak jak to było moim zamiarem. Zamiast tej mało znaczącej działalności w dziedzinie wysyłania telegramów, powinienem był pewnie raczej sam się ukryć. Powinienem był próbować przedostać się do Szwecji, jak to wielu czyniło. Nie zginąłbym tam. Mam w Szwecji licznych przyjaciół, mam swoich potężnych wydawców. I mógłbym pewnie próbować przepłynąć do Anglii, co również uczyniło tak wielu; potem wrócili jako bohaterowie, ponieważ opuścili swój kraj, uciekli ze swego kraju. Ja nie zrobiłem nic takiego, nawet się nie ruszyłem, nigdy nie przyszło mi to do głowy. Chciałem jak najlepiej służyć mojemu krajowi, pozostając tam, gdzie byłem, prowadzić moje gospodarstwo najlepiej jak umiem w tych trudnych czasach, kiedy narodowi brakowało wszystkiego, a nade wszystko wykorzystywać moje pióro dla tego, by Norwegia uzyskała swoją wysoką rangę wśród germańskich krajów Europy. Ta myśl przekonywała mnie od początku. Co więcej, ta myśl mnie zachwycała, wprawiała w oszołomienie. Nie wiem, czy przez cały ten czas spędzony w takiej samotności, kiedykolwiek byłem od niej wolny. Uważam, że dla Norwegii była to wielka myśl, i dzisiaj, tak jak i wtedy, uważam, że to była wielka, dobra idea dla Norwegii, warta, by dla niej pracować i by o nią walczyć: Norwegia, samodzielny, świecący własnym blaskiem kraj*

*na krańcach Europy! Miałem powodzenie u narodu niemieckiego, podobnie jak u narodu rosyjskiego, te dwie potężne nacje ceniły mnie i nigdy mi nie odmawiały, kiedy się do nich zwróciłem.*

*Ale poszło na opak, wszystko, co robiłem, poszło na opak. Dość szybko straciłem orientację, zwłaszcza wtedy, gdy król wraz z rządem dobrowolnie opuścili kraj i sami pozbawili się swoich funkcji tu, w ojczyźnie. To sprawiło, że grunt usunął mi się spod nóg. Znalazłem się w zawieszaniu, pomiędzy niebem a ziemią. Nie miałem żadnego pewnego oparcia. Siedziałem zatem i pisałem, słałem telegramy i rozmyślałem. Mój stan ducha w tamtym czasie do tego właśnie się sprowadzał: rozmyślałem. Rozmyślałem o wszystkim. Uświadomiłem sobie wtedy, że każde wielkie i dumne nazwisko w dziedzinie kultury, jakie kiedykolwiek pojawiło się w Norwegii, musiało najpierw przejść przez germańskie Niemcy, by stać się wielkim w świecie. I myślałem tak nie bez podstaw. Ale popełniałem błąd. Także i tu popełniałem błąd, choć to przecież jasna jak słońce, najprawdziwsza prawda naszej historii, naszej najnowszej historii.*

*To mi jednak nie przynosiło pożytku, nie, pożytku mi nie przynosiło. Wprost przeciwnie, sprawiało, że w oczach i sercach wszystkich stawałem się kimś, kto zdradza tę Norwegię, którą chciałem wynieść na wyżyny. Że ją zdradziłem. Cóż, niechaj tak będzie. Niechaj będzie wszystko, czym owe serca i oczy świata chcą mnie teraz obciążyć. To moja porażka i muszę ją dźwigać. Ale za sto lat wszystko zostanie zapomniane. Wtedy nawet Wysoki Sąd zostanie zapomniany, całkowicie zapomniany. Nazwiska nas wszystkich obecnych na tej sali będą za sto lat całkowicie starte z ziemi, nikt ich już nie będzie pamiętał, nikt nie będzie wspominał. Nasze losy zostaną zapomniane.*

*Zatem kiedy siedziałem tam, w moim domu, kiedy pisałem wedle najlepszych zdolności i telegrafowałem, to, jak się teraz powiada, zdradzałem mój kraj. Jestem zdrajcą ojczyzny, powiada się. Ale ja nie tak to odczuwałem, nie tak pojmowałem i dzisiaj też wcale tak tego nie pojmuję. Jeśli o mnie chodzi, to jestem bardzo spokojny i sumienie mam tak czyste jak to tylko możliwe.*

*Cenię bardzo wysoko sąd opinii publicznej. Jeszcze wyżej cenię istotę naszego norweskiego prawa, lecz najwyżej ze wszystkiego cenię*

*moją własną zdolność oceniania, co jest dobre, a co złe, co słuszne, a co nie. Jestem dostatecznie stary, by posiadać własną miarę sprawiedliwości, i taka jest właśnie moja miara.*

*W moim, nazbyt już chyba długim życiu, we wszystkich tych krajach, w których bywałem, pośród wszystkich narodów, z którymi miałem do czynienia, zawsze i niezmiennie przechowywałem i czciłem w swoim sercu ojczyznę. I nadal zamierzam ją tam przechowywać, w oczekiwaniu na sąd ostateczny nade mną.*

*A teraz dziękuję Wysokiemu Sądowi.*

*Tylko tych kilka prostych spraw chciałem wyrazić przy tej okazji, żebym przez cały czas nie pozostawał tak samo niemy, jak jestem głuchy. I nie miała to być z mojej strony obrona. Jeśli cokolwiek mogło tak zabrzmieć, wynika to jedynie z materiału, na jakim musiałem się oprzeć w moim przemówieniu, z tego, że byłem zmuszony wspomnieć kilka rzeczy powszechnie znanych. Ale to nie miała być obrona, dlatego nie wspomniałem nawet o świadkach, których mógłbym przecież przedstawić. I nie chciałem też wspominać o innych materiałach, którymi także mógłbym się podeprzeć. To wszystko można odłożyć. Niech czeka na jakąś inną okazję, może na lepsze czasy, może na inny sąd niż ten. Jutro też zapewne nastanie dzień, a ja mogę czekać. Czasu mam dość. Żywy czy umarły, to rzecz obojętna, bo przecież dla świata to obojętne, jak się potoczy los pojedynczego człowieka, w tym przypadku – mój. Ja mogę czekać. Tyle mi wolno”.*

\*

Po moim wystąpieniu mówił prokurator, a po nim obrońca. Znowu siedziałem godzinami i nie wiedziałem, co się dzieje. Na koniec dostałem kilka pytań na piśmie, przekazanych przez sąd, i odpowiedziałem na nie.

Tak minął dzień. Nastął wieczór.

I to był koniec.

\*

Przychodzi jakaś poczta – listy, telegramy; składam je wszystkie na kupkę i mam zamiar otworzyć później. Mija kilka dni, nadchodzi Boże Narodzenie, przeprowadzam się do domu w Norholm i oglądam wszystko tutaj. Dziwnie jest widzieć to znowu. Zbocza pokrywa śnieg, zatoka skuta lodem, a nad wszystkim, jak dawniej, niebieskie sklepienie. Zwyczajny widok, a mimo to dla mnie dziwny.

Po rozprawie następuje czas spokoju z wyciągami z procesowych protokołów i z apelacją do Sądu Najwyższego. Trzeba będzie czekać jak poprzednio, no cóż, znowu odległe terminy, ale posunęliśmy się naprzód, krok naprzód.

Podjąłem tu moje codzienne wędrówki, do których przywykłem w domu starców, chodzę w podobnym kierunku co tam, i tyle samo czasu: z Norholm do mostu na kanale i z powrotem do domu, półtorej albo dwie godziny. To nie jest takie zabawne iść tylko po to, aby iść, ale nic innego też nie jest zabawne. Nie nadaję się już do tego, by pracować rękami, powinienem był dawno temu umrzeć. Na co ja czekam?

Poleciłem Arildowi, by zajął się dawną i nową pocztą, dziękuje za listy z różnych krajów, resztę wyrzuca. Nie spodziewam się licznego konduktu na moim pogrzebie.

Zresztą, przy okazji: nie zostanę pogrzebany, powinienem zostać doszczętnie spalony, każda najmniejsza kosteczka... dziękuję Bogu Ojcu za życie, które dane mi było przeżyć na tej ziemi!

Tutaj powinienem skorzystać z nadarżającej się okazji i wypowiedzieć się w ogóle na temat palenia zwłok. Mam książki i mógłbym z łatwością znaleźć w nich wiele informacji dotyczących palenia zwłok. Dlaczego tego nie robię? Z tego mianowicie powodu, że nie mogę się dostać do moich książek. Znajdują się one w moim zasięgu, a mimo to nie mogę się do nich dostać, są złożone w oddzielnym budynku dalej pod wzgórzem, a tam świat jest niedostępny z powodu śniegu i mrozu tej zimy. Tak oto sprawy się mają!

A może to tylko takie puste gadanie, wykręty z mojej strony? Czy nie mógłbym po prostu wziąć pługa i oczyścić drogi do budynku ze śniegu? Będę szczerzy i wszystko dokładnie wyjaśnię: ludzie mają co innego do roboty, konie muszą wozić nawóz w górę na wielkie mokradła, to daleko stąd i bardzo ciężka praca zapadać się tygodniami i

miesiącami w metrowej wysokości zaspach. Mógłbym, oczywiście, przejechać śnieżnym pługiem, ale to by nie było wszystko, pozostaje jeszcze zbocze w górę do domku, które trzeba oczyścić ręcznie. A i to jeszcze nie wszystko: są ponadto schody, wysokie kamienne schody, z licznymi, wysokimi na metr zaspami, i te schody nie mają poręczy, są niebezpieczne z każdej strony, a ja cierpię na lęk przestrzeni-i zwapnienie naczyń.

Czy wytłumaczyłem się jak należy?

Inna sprawa latem, latem wbiegam na schody lekką stopą, bo wtedy nie ma żadnego śniegu, który mógłby mnie zmylić.

Mój lęk przestrzeni wcale nie jest wymówką. Cierpiałem z tego powodu od dzieciństwa, nie miało to zresztą wielkiego znaczenia, po prostu było zawsze trochę męczące. Czytam o jednym odważnym, który wspina się na iglicę kościelnej wieży i trzymam się dzielnie krzesła. Siedziałem pod wieżą Eiffla i trzymałem się mocno, kiedy widziałem, jak winda wjeżdża na górę. Jeśli mam wejść lub zejść po schodach, muszę odwracać głowę na zmiany, raz w lewo, raz w prawo. To nie ma nic wspólnego ze sklerozą, zawsze to miałem, osiemdziesiąt lat temu, jeszcze zanim pojawiła się skleroza. O, mój Boże, jakie to wszystko jest proste dla medyków! A ja miałem starszego brata, zapalony tancerz, ale poza tym zwyczajny człowiek, jednego tylko nie znosił, nie mógł się znaleźć choćby odrobinę ponad ziemią. Dostawał zawrotu głowy, kiedy miał wieczorem sprowadzić owce ze zbocza. To było dla niego za wysoko. Poza tym niczego mu nie brakowało. Umarł sprawny i zdrowy na umyśle, w wieku 91 lat.

\*

Na przemian łagodniejsza pogoda i zimno, ale nocami wciąż przymrozki. Nie ma się na co skarżyć. Zatoczka w Norholm uwalnia się od lodu i zamarza znowu, w końcu zamarza na dobre. Jest 13 stycznia, pełnia zimy. Ciemne i krótkie dni, gazety całymi miesiącami puste. Oddech unosi się jak dym lub para z pysków zwierząt i ludzi.

W tym to czasie trzech dorosłych mężczyzn idzie na zamrażniętą zatoczkę Norholm, ciągnąc za sobą sanki. Zatrzymują się w jakimś



miejscu, skąd nie mają już odwagi iść dalej, wyrąbują dziurę w lodzie i zabierają się do łowienia ryb. Siedzą tam aż zaczynają odczuwać ból, siedzą do wieczora, do samego zmroku, palą papierosy, marzną, ale siedzą. Od czasu do czasu sięgają zgrabiętymi palcami do kieszeni i wydobywają jakąś skórkę chleba. Jeśli pojawia się w ich leniwych głowach jakiś ślad myśli, to i tak nie czynią z niej żadnego pożytku, są cierpliwi i mają w sobie pustkę, otacza ich nicość.

W końcu wstają i ruszają w stronę domu.

Nie mają najmniejszej ochoty pokazywać swojego połowu. Tylko jeden zresztą posiada dar mowy, jego pytam, ale on odpowiada mi niechętnie, kiedy zaś spoglądam w dół na sanki, mówi, że nie ma na co patrzeć. Sprawiają wrażenie, jakby się krepowali i chyba nic dziwnego: trzech dorośli mężczyźni, trzy robocze dniówki i tych parę nędznych małych rybek.

– O, wcale nie tak źle – powiadam o połowie, choć brzmi to z gruntu fałszywie. – Mogło być gorzej.

– Jesteśmy przyzwyczajeni i do lepszego, i do gorszego – mówi ten z darem mowy.

Jego towarzysze idą dalej źli, że on się ze mną zadaje.

– A nie jest za zimno na lodzie?

– Jest. Ale co na to poradzić?

– No tak.

– Bo jednak – mówi dalej – przyniesiemy do domu świeże ryby na ciepły posiłek.

O, mój Boże, o tym nie pomyślałem. Wstyd mi i w głębi duszy żałuję. Rodzina. Dzieci.

– Idziesz czy nie? – wołają go tamci, podchodząc znowu do nas.

Patrzę na nich. Ledwo rozróżniam postaci w mroku: to młodzi chłopcy, nie mają żadnych rodzin, żadnych dzieci.

\*

Co może ludziom sprawiać przyjemność w tym świecie pogrążonym w śniegu? Co miłego mogą dorośli ludzie, dzwoniący zębami, znajdować na drogach... ?

Jakaś dama ukazuje się na drodze przede mną, kiedy idę w stronę mostu. Nie zwróciłem uwagi, skąd się wzięła, czy wyszła z jakiejś bocznej dróżki, czy z którejś zagrody; ma na sobie ciemny płaszcz i gumowe buty, to niejaka ulga dla mojego wzroku mieć przed sobą ludzką sylwetkę niczym znak pośród wszechogarniającej bieli.

W końcu, po długiej chwili, zatrzymała się. Jakby sprawiało jej przykrość, że wciąż za nią idę. Kiedy zamierzałem ją wyprzedzić, uniosła w górę kamerę (czy jak się to nazywa) i chciała mnie sfotografować.

Zaprotestowałem potrząsając głową.

Uśmiechnęła się i poprosiła bardzo ładnie, choć twarz pozostała jakaś biedna.

– A może jednak?

– Nie. Dość już byłem portretowany w życiu.

– Czekam na autobus – powiada pani. – Ale tu nie ma gdzie usiąść.

Ściągam z siebie pulower i kładę przed nią na śniegu.

– Nie, czy pan oszalał? – krzyczy nieznajoma. – Proszę natychmiast włożyć na siebie pulower.

– Dobrze. Zresztą jest ciepło – powiadam. – Nie mogłem tylko znaleźć słomkowego kapelusza, kiedy wychodziłem.

– Jest z pewnością kilka stopni mrozu – protestuje pani. – Coś takiego! – mówi, zagryza wargi i patrzy na mnie.

– Jedzie pani do miasta? – zapytałem.

– Szkoda, że nie mogę pana sfotografować. Tak bardzo chciałam.

– Czy pani jest z gazety?

– Ja? Nie, skądże! Tylko że pan tak długo za mną szedł...

– Dostyc źle widzę. Dobrze było mieć panią przed sobą.

– Ach, więc to dlatego.

– Czy spaceruje pani po to, żeby portretować śnieg?

– O, tak. Śnieg na drzewach. To bardzo piękne.

– Nadjeżdża chyba autobus panienki.

Spojrzała tylko, ale nie zatrzymała pojazdu.

Upatrzyła jednak moment i pstryknęła zdjęcie.

– To już trochę za dużo przebiegłości – powiedziałem. – Że też pani śmie!

– Co śmiesz? – zapytała niewinnie.

Boję się zbyt dużej przebiegłości, ukloniłem się zatem i wyminąłem ją.

Kiedy wracałem od mostu, ona jeszcze tam była. Podeszła bliżej, żebym słyszał, co mówi:

– Czy pan był teraz na moście? Chodzi pan tam codziennie? I śmie pan tam chodzić. Pan śmie robić swoje, a ja śmiesz swoje.

Chciała mi zapłacić pięknym za nadobne, a ja, niestety, odciąłem się:

– Kiedy pani prowadzi tu te swoje dziecinne gry, w naszej Europie są ludzie, którzy umierają z głodu. Wie pani?

– Czytałam o tym – odparła.

– Czytała pani o tym!

– Tak, cóż innego możemy zrobić? O co panu chodzi? Proszę mi powiedzieć.

Musiałem milczeć i patrzyłem w dół. Na ziemię. Nie wiem, czy otworzyłem usta, żeby wypowiedzieć choćby jedno słowo w obronie własnej i w obronie pozostałych winnych. Wszyscy jesteśmy winni. Miliony winowajców.

Zatrąbił autobus, ona pomachała ręką i wsiadła. Okazało się, że nie miała zamiaru jechać do miasta, nie, nie, jechała z powrotem w stronę, z której przyszła!

Co takiego poruszyło się w jej wnętrzu? Nic. I co z naszą niewydarzoną ideą, żeby odgrywać przedstawienie na drodze?

Była z pewnością dziennikarką, albo czymś takim. Później już jej nie spotkałem.

\*

Otwarte wody.

Jest marzec. Po okresie wspaniałej pogody teraz, w lutym i w marcu, lody zaczynają już spływać z zatoki Norholm. Dzieje się jeszcze coś poza tym. O, mój Boże, w ludziach też zaczyna się topnienie lodów. Grundtvig miał rację: Można po nas poznać, że noc minęła, jesteśmy bowiem dziećmi światła! Czy nie dostrzegamy spustoszenia w naszych

mrocznych ruinach? Słyszeliśmy, oczywiście, zimą o złych gryfach, które gromadzą się wokół naszego starego domu w Europie. No tak. Ale czyż nie ma nikogo, kto dziś rano słyszał przelatujące gęsi? Idzie wiosna.

Z jakiegoś stosu druków wpada mi w ręce stary kalendarz. Co prawda nie zrobiłem nic, żeby wydobyć ten kalendarz z mroku, w którym się ukrywał, zacząłem go jednak kartkować, tyle tylko, że robiłem to niesystematycznie. Gdzieś w środku natrafiam na nazwisko Venera von Heidenstama. Niech będzie, kartkuję dalej. Zatrzymuję się na chwilę – zobaczymy, co takiego napisano o Heidenstamie? Wracam w tamto miejsce i czytam. Byliśmy rówieśnikami, urodziliśmy się w tym samym roku, i teraz obaj jesteśmy martwi. I chociaż tylko jeden z nas stał się duchem na wzgórzu wisielców, to w szczęśliwych dniach obaj służyliśmy tej samej bogini. Teraz jednak jesteśmy martwi.

Przewracam wiele kartek za jednym razem i odsuwam kalendarz od siebie. Daleko od Heidenstama znajduje się Schiller. Urodził się w tym samym roku, co my, tylko sto lat wcześniej. I też umarł.

Napoleon odwiedził Goethego. Czy świat doznał wtedy wstrząsu? Nie. Ci dwaj rozmawiali ze sobą, ale Napoleon miał mało czasu. Kiedy wyszedł, miał powiedzieć o Goethem z uznaniem: Cóż to za człowiek! To było wszystko. Jakby się nigdy nie spotkali. Ale także oni umarli.

Dlaczego my nie mielibyśmy umrzeć?

Tacyt uważa, że my, Germanie, mamy talent do umierania. I wikingowie też nie przynosili nam wstydu pod tym względem. Nasza jeszcze nowsza wiedza wyjaśnia nam, czym w ogóle jest śmierć: Nie umieramy przecież po to, aby być umarłymi, aby być czymś martwym, umieramy po to, aby przejść w życie, umieramy dla życia, mieścimy się w jakimś planie. Sam Tacyt chwali nas za to, że nie wznosimy okazałych grobów. Narzucamy na siebie tylko trochę darni, żeby powstrzymać przykry zapach. Jeszcze dalej chwali nas za to, że nie ustawiamy wysokich znaków pamiątkowych na grobach. My pod tym względem przesadzamy, powiada Tacyt. Nie przewidział on jednak naszego żenującego upadku w późniejszych czasach.

Otwarte wody i oznaki wiosny. Racjonowanie prądu nie obowiązuje w nocy, mogę się obudzić, gdybym chciał czytać, wielki dar i błogosławieństwo niebios. Ponieważ jestem głuchy i nic nie słyszę, to nie odczuwam w sobie żadnych tonów ani muzyki, lecz mimo to buzuje we mnie życie i radość, i mam mnóstwo znakomitych pomysłów. Nie powinniśmy mianowicie strzelać do tokujących głuszców. Tego my, ludzie, nie powinniśmy robić, to zły i nędzny postępek. Tak jest, zgadzam się, ale to w żadnym razie nie ma związku z moją następną wielką myślą. Wszedłem oto kiedyś do kaplicy, czy jak się to nazywa, to znaczy do muzułmańskiej świątyni, ale bardzo maleńkiej i grożącej zawaleniem się. Był tam jakiś wysoki, rudobrody mężczyzna, który rozłożył na ziemi parę szmat, a na nich kilka małych kamyków. Po czym człowiek ten rzucił się na kolana. Przyszło mi do głowy, że on się modli. Dlaczego jednak przesuwa kamyki tam i z powrotem po szmatach? Nie rozumiałem nic z tego, ale trzymałem się w ryzach, nie uśmiechałem się.

Przypominam sobie, że kiedyś w kościele podszedłem do ołtarza. To było podczas mojej konfirmacji. Pastor wsunął mi coś do ust, a potem pozwolił mi pociągnąć odrobinę z kielicha. Wokół stało dużo ludzi, którzy na to patrzyli, ale zachowywali powagę, nikt się nie śmiał.

Dlaczego przypominam to sobie akurat teraz? Do niczego nie jest mi to potrzebne, ani nie zawiera się w tym żadna nauka. Przychodzi mi to głowy tylko dlatego, że jestem radosny i oszołomiony. To się chyba nazywa oszołomienie.

Ożywa we mnie pewne wspomnienie z okresu mojej pierwszej emigracji. Nie, nic wielkiego ani niezwykłego, po prostu szereg prostych przeżyć, dzień za dniem w obcym krajobrazie, w niedużej, spalonej słońcem osadzie na prerii. Nie było tam rzeki, nie było lasu, tylko trochę krzaków. Szło mi dość dobrze, pracowałem na małej farmie u porządnych prostych ludzi, lecz dręczyła mnie tęsknota za domem i często po nocach płakałem. Moja gospodyni uśmiechała się łagodnie, to ona nauczyła mnie słowa *homesick*.

Pracowałem przez kilka miesięcy, lecz później Lovelandów nie było już stać na to, żeby mnie dłużej zatrudniać. Rozstawaliśmy się niechętnie i miało się ku południowi, kiedy w końcu wyruszyłem do

miasta. Szedłem wolno, do miasta nie było drogi, jedynie wąska ścieżka. Siadałem od czasu do czasu na jej skraju i marzyłem. W Ameryce kiedy woda sączy się pod lodem, to jest inna niż u nas w domu. Delikatny puls wody pod lodem też jest w domu ładniejszy, woda jest bardziej niebieska. Znowu trochę popłakiwałem.

Nagle usłyszałem za sobą kroki. Młoda dziewczyna. Znałem ją, była córką pewnej wdowy z sąsiedztwa. Wdowa parokrotnie dawała do zrozumienia, że chętnie wynajęłaby mnie do pracy, kiedy skończę u Lovelandów.

– Hallo, Nut. Przestraszyłam cię?

– Nie.

– Idę do miasta – powiedziała.

Niosła ubijak od maselnicy, od którego urwała się rączka. Wziąłem go od niej i teraz ja niosłem, bardzo dobrze znałem to urządzenie z dzieciństwa, mógłbym z powodzeniem wystrugać nową rączkę za pomocą mojego kieszonkowego noża, gdybym miał dobrze wysuszone drewno.

Dziewczyna szła i gadała, paplała przez cały czas, a ja musiałem próbować odpowiadać, posługując się tymi niewieloma słowami, jakie umiałem po angielsku. Bardzo to było męczące i życzyłem jej, żeby się zapadła pod ziemię.

– Uff, chyba jeszcze daleko do miasta?

– O, mam nadzieję! – oświadczyła ta czarownica i wybuchnęła śmiechem. Ona nie miała nic przeciwko temu, żeby jeszcze długo tak iść i paplać.

W końcu dotarliśmy do miasteczka, a tam do warsztatu Larsena. Zaczynało już zmierzchać.

– Drogi Nut, musisz mnie teraz odprowadzić z powrotem – powiedziała Bridget.

– Co? – zawołałem.

– Jest za ciemno, żebym mogła wracać sama – upierała się dziewczyna.

Larsen był Duńczykiem, on też uważał, że muszę ją odprowadzić.

Wobec tego wyruszyliśmy w drogę powrotną. Robiło się coraz ciemniej i w końcu musieliśmy trzymać się za ręce i wspólnymi siłami

odsuwać gałęzie, które były nas po twarzach. Ale słodko było trzymać jej rękę.

– Zapomnieliśmy o tym ubijaku! – krzyknąłem nagle.

– To nic nie szkodzi – odparła Bridget.

– Nic nie szkodzi?

– Nie. Za to wzięłam sobie ciebie.

Dlaczego ona to powiedziała? Prawdopodobnie powinienem był zrozumieć to tak, że to ona zdecydowała, żeby mnie zabrać i że miała do mnie słabość.

Kiedy dotarliśmy do domu, chciałem natychmiast wracać, ale nie pozwoliła mi na to, muszę coś zjeść, powiedziała, będę musiał zjeść kolację, i muszę przenocować. Bridget pokazała mi małą komórkę, w której stało łóżko. Rano matka i córka przekonały mnie, bym został i pracował u nich przez jakiś czas, wobec tego rozejrzałem się trochę po farmie. Były tam dwa muły i trzy krowy. Bardzo trudno dostać ludzi do pomocy, skarżyła się wdowa. Ja ze swej strony nie nawykłem do samodzielnej pracy, u Lovelandów gospodarz żył i mógł mną kierować, ale tutaj były same kobiety i potrafiły wyjaśnić jedynie najważniejsze rzeczy. Naturalnie nie mogłem chodzić beczynn timer, narąbałem więc duży stos drewna, a potem zabrałem się do wywożenia gnoju wozem zaprzężonym w muły. Tak schodził dzień za dniem.

Wdowa pojmowała jednak sama, że musi się rozejrzeć za lepszą pomocą, pewnego dnia poszła do miasta i wróciła z jakimś Finem, zresztą zdolnym parobkiem; pochodził z Österbotten i znał się na rzeczy. Młoda Bridget nie wydawała się już teraz taka szczęśliwa, że wzięła sobie mnie, nie, już na mnie nie patrzyła ani nie trzymała mnie za rękę. O, ja, naiwny przybysz z dalekiego kraju! Nigdy więcej w tym życiu nie uwierzę kobiecemu słowu.

Ciągle odczuwało się wielki brak siły roboczej. Kiedy wróciłem do miasta, już na ulicy zatrzymał mnie pewien farmer i nalegał, żebym z nim pojechał. Zapewne po moim ubraniu i w ogóle poznawał, że jestem nowo przybyłym, nie mylił się, mój przodzievek był w strzępach. Udałem się z farmerem, przyjechał do miasta wozem zaprzężonym w dwa rosłe konie, a kiedy przybyliśmy do domu, natychmiast wyznaczył mi pracę. Miałem wykopać na skraju lasu małą mogiłkę, wymiary podał

w stopach. Nie zajęło mi to wiele czasu, a gdy skończyłem, farmer wyniósł z domu na ramieniu jasną trumienkę i złożył ją do grobu. To także nie zajęło wiele czasu, a gdy czekałem na nowe polecenie, wskazał mi ręką, bym zakopał grób i położył na nim warstwę darni. Po czym odszedł.

Boże drogi, czy on nie wróci? Nie. Robił coś w zabudowaniach gospodarskich i udawał, że jest zajęty. Pracowałem rozdygotany, czułem się okropnie. Zwłoki dziecka zostały zakopane w ziemi, to wszystko. Żadnej ceremonii, nawet paru słów jakiegoś psalmu. Moi gospodarze byli ludźmi młodymi, ale nie umiałem po angielsku, więc nie dowiedziałem się, do jakiej wspólnoty religijnej należą.

Poza tym nie miałem na co narzekać. Dom i obejście były dobrze utrzymane, konie i krowy także, piękne pola, żadnych dzieci. Moja służba nie była uciążliwa, gospodarz sam doił i oprzątał bydło, ja pracowałem w polu, a jeśli chodzi o moją chlebodawczynię, to była okrągła i pulchna i chętnie się śmiała. Nauczyła mnie wielu angielskich słów, mieszkanie wyznaczyła mi w małej izdebce z oknem i łóżkiem. Dziwni ludzie, wpadli na pomysł, żeby zważyć mnie na bezmianie, ale ja wyrwałem gwóźdź i bezmian spadł mi na głowę. Nie rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi, ale oni oglądali mnie i nachwalić się nie mogli, że taki jestem ciężki. Czasami kiedy gospodyni wybierała się do miasta z masłem i pszenicą, a także po zakupy, ja powoziłem.

Po sianokosach gospodarz chciał mnie zatrzymać jeszcze na dłużej, zostałem więc u nich aż do jesieni. Musiało to być gdzieś około 1880 albo 1881 roku. Zadomowiłem się tam i przywykłem do gospodarzy. Oboje byli niemieckiego pochodzenia, nosili nazwisko Spear. Ściskaliśmy sobie nawzajem ręce, kiedy odjeżdżałem.

W miasteczku spotkał mnie znowu inny człowiek i zaproponował mi na zimę pracę przy ścinaniu drzew na podkłady kolejowe. Nie mogłem tego przyjąć. Wobec tego on zaproponował mi swoją małą farmę w dzierżawę. A gdy i to mi nie odpowiadało, chciał dać mi na kredyt parę koni i wóz, żebym przewoził ładunki. Miał głowę pełną rozmaitych pomysłów i kombinacji, z trudem się go pozbyłem.

Pewnego dnia w miasteczku zaproponowano mi miejsce chłopca na posyłki w przedsiębiorstwie handlowym. Tę propozycję przyjąłem.



Roznosiłem paczki i skrzynki pod wskazane adresy, i po każdej rundzie wracałem do sklepu. To był największy sklep w mieście, z mnóstwem ludzi za ladą. Właściciel nazywał się Hart i był Anglikiem. Sprzedawaliśmy wszelkie możliwe rzeczy, od mydła po jedwabie, od konserw po naparstki i papier listowy. Tutaj musiałem się nauczyć nazw wszystkich naszych towarów i mój zasób słów wspaniale się powiększył. Po pewnym czasie szef uznał, że należy zatrudnić innego chłopca na posyłki, a mnie postawić w sklepie za ladą. Chodziłem teraz w krawacie i błyszczących butach, wynajmowałem pokój w mieście i stołowałem się w jednym z hoteli. Farmerzy, których dawniej znałem, nadziwić się nie mogli, że tak szybko pnę się w górę. Także młoda Bridget z farmy przyszła do sklepu i zobaczyła moją nową godność, musiała chyba do śmierci żałować, że doprowadziła do zerwania. Nie wiem.

Zrozumiałem, że chciałyby porozmawiać ze mną na zewnątrz. Powiedziała bowiem:

– Drogi Nut, czy mógłbyś być tak miły i pomóc mi z tymi pakunkami?

– Z największą przyjemnością! – odparłem. Mogłem z powodzeniem dać znak nowemu chłopcu na posyłki, żeby się tym zajął, ale ja powiedziałem: – Z największą przyjemnością! I powiedziałem to bezbłędnie. Po czym osobiście wyniosłem jej pakunki do wozu, a potem strząsnąłem kurz z ubrania i zapytałem uprzejmie o farmę, o matkę i o Fina. Owszem, Fin wyjechał, a zboże zostało zebrane. Matka jednak nie chce już dłużej męczyć się z farmą, zamierza ją sprzedać, przenieść się do miasta i otworzyć sklep z czekoladą, ciastkami i napojami. Młoda Bridget była przejęta, upatrzyły już sobie nieduży, opuszczony dom na swój zakład, trzeba go tylko wyremontować.

I tu pojawia się mój przyjaciel Patrick, Pat, Irlandczyk, trochę ode mnie starszy, włóczęga, brat łąta i niezwykły facet. Pat, podobnie jak ja, wynajmował w mieście nieduży pokoik na strychu, rozmawialiśmy ze sobą często, obu nas dręczyła tęsknota za domem i byliśmy zgodni co do tego, że wrócimy tam, gdy tylko będzie nas na to stać.

Pat w swojej ojczyźnie pracował przez jakiś czas na budowach i teraz nie miał nic przeciwko temu, by go nazywano architektem. Pat

wymierzał przyszłą restaurację wdowy w stopach i calach, przykładał wielką wagę do tego, by wszystko było jak należy. Zdobył deski i stół, a w moim sklepie kupił gwoździe i papę. Po czym zabrał się do remontu.

Mieliśmy wiele wspólnych spraw i widywaliśmy się codziennie, od czasu do czasu któremuś z nas trafiał się jakiś dolar, którego akurat potrzebował ten drugi i pożyczaliśmy sobie nawzajem książki. Choć ta nasza wymiana książek na niewiele się przydawała, ja nie znałem wystarczająco angielskiego, by czytać Paine a *Age of Reason*, a on nie rozumiał J. P. Jacobsena *Marie Grubbe*, którą sprowadziłem z Chicago. To były młodzińcze, pełne niepewności i pracowite dni, my jednak nigdy nie zapominaliśmy, że chcemy się wyrwać z tego kraju i wrócić do domu, popłakiwaliśmy też czasem w samotności i użalaliśmy się nad sobą.

Pomyśleć, że młoda Bridget nie rzuca się na ziemię i nie szlocha, że dom jej dzieciństwa został sprzedany! Była tam przecież wąska ścieżka do lasu, a w koronach drzew w lesie żyły ptaszki, które teraz zostaną porzucone. Była tam wiosna i kwiaty, i deszcz z nieba, i szum zboża w letni dzień, czy Bridget o tym zapomniała? I strumień, który spływał tak cudownie w dół przez pola, a teraz został sprzedany. O, Panie Boże i Ojczy, strumyk został sprzedany! Dom zastanawia się pewnie i nie rozumie, co się stało, nie malowana frontowa ściana patrzy w ślad za dziewczyną. Bridget powinna przytulić policzek do tej ściany i nigdy od niej nie odchodzić.

– My nie rozumiemy tutejszych ludzi – westchnął Pat. – To dlatego czujemy się tutaj tak źle. W ubiegłym roku pracowałem na jednej farmie w Wyoming. Gospodarz nieustannie studiował drukowane plakaty i obrazki, które dostawał na pocztę, aż przyszedł któregoś dnia i powiada: Wyjeżdżam! Po czym zabrał całą rodzinę i wyjechał na Florydę. Zostawił swoją farmę w Wyoming i wyjechał na Florydę.

– Nie, Pat, my nie rozumiemy tutejszych ludzi. My chcemy stąd wyjechać.

– Ale Bridget to ładna dziewczyna – powiada Pat.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam.

– To bardzo ładna dziewczyna. Pracuję teraz dla niej i dla jej matki. Ty nie znasz Bridget. One mają zamiar otworzyć restaurację.

– No, coś takiego! – powiadam.

Od tego jednak dnia zacząłem trochę nie dowierzać Patowi i jego tęsknocie za domem. Rozmawialiśmy jednak o tym i dyskutowaliśmy.

Owszem, Pat w dalszym ciągu z tym samym entuzjazmem mówił o powrocie do domu, do swojej Erin i wyliczał wszystkie jej wspaniałości i wielkości. Całymi milami ciągną się tam zielone łąki, na których pasie się bydło i owce, a kościołów i zamków nikt nie zliczy.

Ja siedziałem, słuchałem i wtrącałem, że my w kraju też to wszystko mamy.

Ale wtedy Pat nie mógł już przestać, niczym pies, który chwycił trop, i wyliczał dalej, że żaden kraj nie może się równać z Erin, jeśli chodzi o długie łańcuchy górskie, które ciągną się przez dziesięć czy dwadzieścia hrabstw, aż do Atlantyku. A wielkie rzeki i miasta, i jeziora, po których pływają statki, a procesje z kardynałami na czele!

Ja kiwałem głową i mówiłem, że my też to wszystko mamy. Dochodziło do tego, że siedzieliśmy i wychwalaliśmy każdy swoją ojczyznę. Galdhopiggen, mówiłem ja. Lomseggen. Przy Lomseggen stoi kościół, w tym kościele byłem konfirmowany w 1873 roku, mówiłem.

To, co by kamień wzruszyło, nie wzruszało Pata. Był naprawdę jak tropiące zwierzę i mówił gwałtownie. Opowiadał o pewnym irlandzkim wynalazcy, który wynalazł maszynę do latania w powietrzu. Tak, tak. I opowiadał o bazaltowych jaskiniach w Antrim – on sam pochodził z Antrim – wyjaśniał, a jaskinie prowadzą aż do centrum ziemi. Stawał się całkiem szalony, rozpalał go patriotyzm. Rozwodził się nad swoimi gajami oliwnymi i różanymi ogrodami, rozprawiał o rybakach łowiących na muszkę, którzy siedzą jeden przy drugim nad rzekami...

– Ha, ha, ha, łowienie na muszkę – krzywiłem się. – Toś ty chyba nie słyszał o naszych rybakach na Lofotach czy w Finnmarken!

– Nie słyszałem.

– A poza tym czy nie słyszałeś o innych rzeczach, które mamy w Norwegii? Czy nasze ogromne lasy, nasze wodospady to tyle, co czarne za paznokciem? Zamknij się, Pat! Czyż to nie my odkryliśmy Amerykę pięćset lat przed Kolumbem? Czy granice naszego kraju jeszcze i dzisiaj nie sięgają aż do Rosji?

– Do Rosji? – dziwił się Pat i nie wierzył mi.

No dobrze. Ale najważniejsze było to, że my obaj nadal tęskniliśmy za domem. Chociaż ja nie dowierzałem Patowi.

Czy można było nie dowierzać Patowi? Czyż nie zapracowywał się tu aż do bólu? Czyż nie mieszkał na strychu oświetlonym jedynie naftową lampą? Jego rodzina powinna o tym wiedzieć, jego ojciec i matka powinni o tym wiedzieć! Ale on nie chciał pisać i opowiadać im o tym. On, który w ojczyźnie miał w stajni dwa wierzchowe konie, a tutaj miał jedynie skośny daszek z małym okienkiem w żelaznej ramie.

– Naprawdę masz w Irlandii wierzchowe konie?

– Teraz się zdziwisz. Czy ty wiesz, ile okien jest w naszym domu? Dużo więcej niż tutaj w całym mieście. Tutaj, kiedy wysuwam głowę przez okno, widzę tylko sznury do bielizny. Ty nawet nie wiesz, jak mnie denerwują te krzyżujące się sznury do bielizny, z tym praniem, kołyszącym się, powiewającym na wietrze, podczas gdy ja mam pracować, wykonywać moją pracę architekta, rysować proste linie. Wytrzymuję to wszystko ze względu na Bridget, bo Bridget jest bardzo ładną dziewczyną.

– Jak zdołasz wrócić do domu, kiedy tutaj zwiążesz się z dziewczyną?

– Zabiorę ją ze sobą – odparł Pat.

– Zabierzesz ją?

– Zabiorę. Myślałeś, że ją tu zostawię? To ty mnie nie znasz. Oczywiście, że ją zabiorę.

– Chciałbym to zobaczyć – powiedziałem.

Wkrótce jednak wszystko zaczęło iść źle. Po prostu nie mogło iść gorzej.

Sznury od bielizny należały do piekarza Kleista, który na tej działce miał też swoją piekarnię. Pewnej nocy Pat poszedł na działkę, pozdejmował wszystkie sznury i ułożył je ładnie z boku, a rano rozegrało się wielkie przedstawienie. Kleist był Austriakiem, wiedeńczykiem, sympatycznym człowiekiem w średnim wieku, ale nie życzył sobie takich żartów. Rozmawiali poważnie o sprawie i Pat tłumaczył, że dla niego to nie jest żaden żart tylko udręka.

– Nie możesz znieść widoku sznurów do bielizny? – pytał Kleist.

– Nie, nie mogę – odpowiedział Pat.

– Ha, ha, ha, – śmiał się Austriak i uważał, że teraz on może pożartować. Porozwieszał więc sznury od nowa.

Miało się jednak okazać, że to coś więcej niż tylko żarty.

Musiało zdarzyć się akurat wtedy, że młoda Bridget, Bridget z farmy, zaczęła pobierać naukę u piekarza. Miała się nauczyć wypiekać te wszystkie smakowite ciastka i bułki, wiedeńskie chlebki i drożdżówki dla swojej restauracji. Był to chyba rozsądny pomysł matki i córki, powinien być się opłacić. Wszystko szło dobrze przez jakiś czas i Pat nie miał nic do powiedzenia.

Nagle jednak wszystko potoczyło się na opak.

Restauracja została otwarta i cieszyła się dużym powodzeniem. Architekt Pat zrobił dom z chlewika. Była tam nie tylko jedna izba z miejscami do siedzenia dla pijących czekoladę i zimne napoje, lecz także przybudówka na kuchnię i piekarnię, a na górze kilka małych pokoików dla matki i córki.

Piekarz także miał swoje zasługi, bo udzielał dobrych rad przy tym wszystkim, później jednak przesadził. Powinien był teraz siedzieć w domu. Nie był już młody. Jego dzieci były dorosłe i miały pozycje, on tymczasem zaczynał okazywać zainteresowanie tej młodej, ładnej dziewczynie, która chciała nauczyć się jego rzemiosła i taka była zręczna, pomagał w każdym razie przy ustawianiu w przybudówce wielkiego pieca z licznymi płytkami do gotowania i smażenia, pomagał urządzić w przybudówce piekarnię ciastek.

W porządku. Ale ten stary królik zaczął też prać ubrania Bridget! Miał, co oczywiste, zawsze gorącą i zimną wodę w wielkich kotłach i kiedy prał ubrudzone ciastem swoje piekarskie ubrania, mógł przecież uprać także ubrania Bridget. Rozumiał, że ona nie ma do tego warunków i chciał jej pomóc, bardzo to ładnie z jego strony, że tak pomyślał, ale przesadził, co u Pata wywołało złą krew. Piekarz Kleist prał zatem małe fartuszki i staniki, i chusteczki do nosa, które żadną miarą nie mogły być jego...

I rozwieszał to na placu, na tych swoich sznurach!

Pat przyszedł do mnie do sklepu i zażądał, bym mu towarzyszył. Był trupioblady.

– Powinieneś się przeprowadzić, wynająć inny pokój –

powiedziałem mu.

– Nie myślisz tego poważnie – odparł Pat. – Właśnie teraz powinienem mieć widok.

Poszliśmy do piekarza i Pat chciał kupić plac, ale nie miał pieniędzy, a Kleist wcale nie chciał sprzedawać.

– O co ci chodzi? – spytał Kleist. – Piorę i wiem. Ja muszę być czysty i śnieżnobiały przez cały dzień, nie rozumiesz tego?

– Ale ty wieszasz kobiece ubrania – powiedział Pat. – Ty Świnio – dodał.

– Nie możesz patrzeć na kobiece ubrania? – spytał Kleist.

– Nie – odparł Pat.

– Ha, ha, ha – roześmiał się Austriak gromko.

Tymczasem Pat nie umiał się odciąć, stał tylko i wargi mu drgały. Na koniec bardzo głośno zagroził swemu wrogowi, że zaraz mu pokaże, powiadomi o wszystkim swoją rodzinę w Erin, oświadczył, a jego rodzina należy do szlachty. Nie zrobiło to na Kleiście większego wrażenia, patrzył, nie bardzo rozumiejąc, po czym ukłonił się i poszedł sobie.

– Musisz się przeprowadzić – powiedziałem Patowi. – Sam widzisz, że tak nie można.

– Nie przeprowadzę się – obstawał przy swoim Pat.

Nie, oczywiście, jeszcze nie został dostatecznie sponiewierany, jeszcze nie miał dość! Złościłem się na niego okropnie i powiedziałem mu o tym. Jak miałem rozumieć to nowe oblicze Pata? Widziałem jedynie jego komiczne i desperackie zadurzenie, a szlachta, co to takiego? W Irlandii może jest to coś pięknego, ale nie wiedziałem, co mianowicie. Kpiłem sobie z niego, że jest taki zajęty tą małą farmerską córką, że postradał zmysły.

– Mógłbym dla niej pójść na śmierć! – oświadczył.

– To okropne. I to ty, szlachcic... – rzekłem mimochodem.

– To nie ja jestem szlachcicem, to moja matka jest szlachcianką – wyjaśnił.

Wyjął z kieszeni jakiś list i pokazał mi, na odwrotnej stronie koperty widniała maleńka figurka z zielonej emalii, którą on określił jak szlachecki herb, dla mnie było to w każdym razie coś niezwykłego. Nic

z tego nie rozumiałem i pozostawało mi jedynie milczeć, ale zbiło mnie to z tropu. Mimo wszystko żartowałem sobie z jego dwóch wierzchowych koni.

Pat odpowiedział:

– Nut, mój drogi, ty naprawdę nie rozumiesz nic z tych rzeczy. Jesteśmy właścicielami majątku, dlatego ja mogłem mieć dwa wierzchowe konie.

Nadal nie rozumiałem dużo więcej.

Od tego momentu jednak Pat spędzał całe dnie z głową wystawioną przez okienko w dachu i nie spuszczał oczu z rozwieszonego na placu prania. Po prostu oszalał, opanowała go taka straszna zazdrość, że zdawało się, iż nigdy z tego nie wyjdzie. Wyśmiewałem się z niego, ale to nie pomagało. Był niesłuchanie przebiegły, widział wszystko, nikt nie zdołałby go oszukać, mogło się na sznurach pojawiać wiele kobiecych ubrań, ale ani jedna sztuka nie uszła jego uwagi.

Kompletnie zgłupiał.

Trwało do to dopóty, dopóki piekarz Kleist nauczał swojej piekarskiej sztuki, pewnego dnia jednak uznał, że młoda Bridget jest już wyuczona i że może na własną rękę wypiekać ciastka dla restauracji. I wtedy przyszło rozwiązanie.

Piekarz Kleist był podstarzałym, dobrodusznym wieńdęczykiem, a nie żadnym okropnym uwodzicielem, był natomiast mistrzem w swoim fachu i szczyił się swoją pojętną uczennicą. Okazało się też, że wcale mu nie zależy na tych dziesięciu dolarach, które miał dostać za naukę, i odmówił ich przyjęcia. Miał swój własny dobrze prosperujący sklep w mieście i nieźle z niego żył. Teraz więc, po tygodniach i miesiącach, pograżył się znowu w swojej codzienności i nic się nie stało.

W Pacie natomiast dokonana się wielka przemiana: Pat nie był już zakochany w Bridget! Stał się cud! I to jaki cud! Pat nie był już zakochany w Bridget!

On, który upadł tak nisko, którego trafiło to tak boleśnie, on, który dopiero co mówił, że gotów byłby dla niej pójść na śmierć – jak zrozumieć coś takiego? Można to było zrozumieć tylko w jeden sposób: Nie było już teraz nikogo ani nic, o co mógłby być zazdrosny, nic, co by

go pobudzało, więc jego namiętność straciła na sile, jego gwałtowność przygasła.

Biedny Pat, wychudł i zmizerniał, bo nie miał czasu jeść, musiał czuwać przy okienku w dachu, nie mógł stamtąd odejść ani na chwilę, teraz jednak w krótkim czasie odzyskał panowanie nad sobą, podniósł głowę, wyprostował się. Tak właśnie się stało.

Poszliśmy obaj do restauracji. Pat mówił niewiele, podano nam czekoladę i ciastka, zapłaciliśmy. Żadne uczucie nie popychało już Pata do zajmowania się drobnymi reperacjami, przeciwnie, oświadczył, że teraz żąda zapłaty. Matka i córka spojrzały zdumione. Taki był odmieniony; nowe oblicze Pata.

Zapłata, no tak, za pracę, oczywiście. Ale czy nie mógłby może wprowadzić się do nich i mieszkać na piętterku, w jednym z małych pokoi, które wyremontował?

Pat potrząsnął głową.

No to po co w takim razie urządzał te pokoje?

– Potrzebuję moich pieniędzy – powiedział Pat. – Zamierzam wyjechać do Wyoming.

Panie były w najwyższym stopniu niechętne do płacenia i rozzalone. Bridget może nawet bardziej, bo została rozpieszczona przez ojcowskiego i życzliwego piekarza Kleista i nabiła sobie głowę różnymi myślami.

Złościłem się na nią, zrobiła się zanadto sprytna. Biegała teraz w miejskim ubraniu, ale patrzyła bez żalu jak sprzedawano dom jej dzieciństwa. Nie, to nie była dobra dziewczyna.

– Przechodziłem kiedyś koło warsztatu Larsa – powiedziałem jej. – Twój ubijak wciąż jeszcze tam stoi.

– Co takiego?

– Twój ubijak do maselnicy. Nie odebrałaś go.

– Teraz nie jest mi już potrzebny – odparła.

– Możesz go sobie wziąć, Nut. Ha, ha, ha!

– W takim razie pójdę i przyniosę go – rzekłem.

– Cii, Bridget – uciszała ją matka.

– Należy się 240 dolarów za moją pracę – oświadczył Pat.

Matka i córka załamały ręce.



– Postaramy się o wycenę pracy – odpowiedziały bezwstydnie Patowi. O, one dobrze wiedziały, co robią. Wycena zajmie sporo czasu, a Pat potrzebował pieniędzy. W końcu musiał ustąpić i zadowolić się połową sumy tylko po to, by jednak dostać coś do ręki.

Przeklęte baby! – powiedział.

Ja w każdym razie byłem bardzo zadowolony, że rozstał się z Bridget. Mogliśmy więc znowu siedzieć sobie i rozmawiać o naszej przyszłości. Miało się ku wiosnie i zajęci byliśmy planowaniem powrotu do domu. Ja ze swej strony zamierzałem skończyć pracę w sklepie, byłem tam już trzeci rok, ale pensję miałem małą i w ogóle wszystko było do niczego. Teraz zamierzałem wyruszyć na zachód, na prerię, gdzie mogłem mieć utrzymanie i prawie żadnych wydatków podczas pracy.

– To też jest do niczego – oświadczył Pat. – Ja jadę do Wyoming.

– Co będziesz tam robił?

– Rozejrzę się trochę. Powinienem też sprzedać tę farmę, wiesz.

– Jaką farmę?

– Tę, na której pracowałem.

– Jak to? Więc to była twoja farma?

– Tak. Gospodarz ją porzucił i wyjechał na Florydę.

Patrzyłem na niego bez słowa i myślałem: I ty uważasz, że tym samym farma jest twoja? Pat, Pat, jesteś najdziwniejszą figurą i największym awanturnikiem pod słońcem, teraz znowu nie wiem, co o tobie myśleć!

– Sprzedam ją w każdym razie – powtórzył.

– Masz chyba do niej jakieś prawo – rzekłem.

– Należy ci się zapłata za pracę na farmie.

– Tak – potwierdził Pat.

– Rozumiem. Pracowałeś tam od rana do wieczora i nie dostawałeś za to nic.

– Tak – potwierdził znowu.

Kiwnąłem głową, że rozumiem to dobrze.

– I spędziłeś tam wiele czasu, może nawet lata...

– Półtora roku – rzekł Pat.

– Naturalnie. A zatem nie ma żadnych przeszkód. Cieszę się, że mi

o tym opowiedziałeś. Pamiętaj, żeby mi zostawić mi adres, kiedy będziesz wyjeżdżał.

Gdy Pat wyjechał, poczułem się w mieście jeszcze gorzej. Był niezastąpionym kompanem i brakowało mi go bardzo. Pisałem do niego kilkakrotnie, ale nie dostałem odpowiedzi. Może nie miał czasu? Może już całkiem pochłonięty jest powrotem do domu? W końcu, w ostatnich dniach mojego pobytu w tym mieście przyszedł mr. Hart i zaproponował mi znaczną podwyżkę, gdybym zechciał zostać. Było jednak za późno.

W jakiś czas potem dotarłem do farmy Darlumpleyów w Red River Valley i zostałem tam aż do jesiennych zbiorów.

\*

Dziś mijają trzy lata od chwili, gdy zostałem aresztowany. I siedzę oto tutaj.

Nic mi się nie stało, właściwie to wszystko mnie nie dotyczy. Przemineło obok mnie jak ciąg przypadkowych wydarzeń i nie zamierzam nic więcej o tym powiedzieć. Nabrałem wprawy w milczeniu.

Jesteśmy wszyscy w podróży do pewnego kraju, do którego z pewnością dotrzemy. Nie spieszy nam się, zatrzymujemy się po drodze wobec przypadkowych zdarzeń. Tylko szydery, którzy wykrzywają się i stroją grymasy do nieba, wymyślają dla tych przypadków wielkie słowa, oni są bardziej wytrzymali niż my i nie możemy ich uniknąć. Tak, moi drodzy, jesteście bardzo wytrzymali i tak trudno was uniknąć.

Od dłuższego czasu mamy lato, jest ciepło, nawet do 23 stopni w cieniu. I nagle wszystko się zmienia, niebo robi się czyste niczym szkło. Jest noc, ale wychodzę na dwór, żeby na to popatrzeć. Powinna być pełnia, ale księżyc nie ma. Co to znowu? Wszystko trwa w bezruchu, ani jednego komara. Dwie godziny później wychodzę jeszcze raz i ponad wierzchołkami drzew widzę wschodzący księżyc.

Nie ma w tym chyba jakiegoś większego nieporządku, wcale nie, mimo to jednak wpadam w zakłopotanie. Gdybym dwie godziny temu stał dostatecznie wysoko, widziałbym księżyc wynurzający się z morza, niczym ociekająca złotem meduza.

O, moje wciąż słabnące siły psychiczne, które czynią mnie takim głupcem!

Oczywiście, że nie mam sklerozy, ale to także nic mi nie szkodzi, mnie to nie dotyczy. Kiedy jestem dla siebie dobry, mówię, że to podagra. Już ponad rok temu przestałem używać kostura. Do czego mi ten kostur? To była tylko taka pańska maniera z mojej strony, podobnie jak noszenie cylindra i inne takie. Czy kostur stanowił dla mnie jakieś oparcie? Nie. Byliśmy dobrymi towarzyszami, ale nic więcej. Kiedyśmy padali w śniegu, leżeliśmy zawsze daleko od siebie.

Jak to bywa z towarzyszami.

Ale, oczywiście, moja podagra jest okropnie dokuczliwa. Nie słyszę. No, cóż. Ale ja też nie widzę i to jest znacznie gorsze. Nie mogę już czytać gazety, nawet najnędrniejszej gazety. Trudno, niech będzie, jak chce. Zresztą to też w pewnym sensie przesada, bo przy ostrym słonecznym świetle mogę czytać bez trudu.

W Norlandii znaleźliśmy coś, co określaliśmy jako „widzieć, gdzie się idzie”. Kiedy Maren Maria Kjeldsen przychodziła, to znaczyło, że widzi jeszcze, gdzie idzie, ale ona używała kostura i poza tym miała mnóstwo różnych ułomności. Maren Maria była postacią tajemniczą, nikt niczego pewnego o niej nie wiedział, mówiono jednak, że była kiedyś bardzo piękną panną, córką kapitana czy czymś takim, ale były to tylko domysły, ona sama nie mówiła nic. Wszyscy uważali, że pochodziła z lepszej rodziny, miała bowiem nazwisko Kjeldsen, a tak nie nazywał się nikt w naszej części kraju. Kiedy tak wędrowała z domu do domu w naszej okolicy, miała tylko jeden interes: zebrała o trochę machorki, którą zażywała na ból zębów. W młodych latach przyzwyczała się do tytoniu i nie mogła się tego pozbyć, żuła machorkę niczym marynarz. Pod innymi względami też była obrzydliwa i nie miała wstydu. Ale ta kobieta miała najpiękniejsze panieńskie dłonie. Nadziwić się nie mogłem jej rękoma, były trochę poźółkłe, lecz delikatne i piękne, nigdy nieskalane pracą, nigdy nie były też czyste, lecz mimo to piękne.

W końcu Maren Maria trafiła do opieki społecznej i wieś ją utrzymywała, miała wtedy chyba siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat. Widziała jeszcze tyle, że mogła sama odbywać swoje wędrówki od

zagrody do zagrody, nikt nie musiał jej prowadzić. Tę zdolność widzenia zachowała do ostatka.

To wielkie dobro zachować zdolność widzenia, gdzie się idzie przez wiele lat.

\*

Świętego Jana 1948 roku.

Dzisiaj Sąd Najwyższy wydał wyrok i ja kończę moje pisanie.